

GLEND A SANDERS

Sposób na playboya

Playboy McCoy

Przekład: Bogumiła Nawrot

ROZDZIAŁ 1

Wprost nie do wiary! Przecież to ona. Cóż za niesłychany zbieg okoliczności. Nie minęło jeszcze pięć minut, odkąd stanął na pokładzie statku, a oto z mroku wyłoniła się dziewczyna, którą miał nadzieję spotkać. Prawdziwe zrządzenie losu.

Zwrócił na nią uwagę już wcześniej, na maskaradzie z okazji Halloween. Najpierw zaintrygowały go jej długie, zielone włosy i przypięte do nich motyle skrzydła. Tylko przez chwilę mignęła mu twarz dziewczyny – ładna mimo ekscentrycznego makijażu w kolorze zieleni.

O wiele lepiej przyjrzał się jej nogom, dobrze widocznym spod spódnicy z prześwitującego materiału. Zaintrygowany, czyhał na okazję, by zawrzeć z nią bliższą znajomość.

I oto los się do niego uśmiechnął. Dziewczyna podeszła do barierki i zaczęła się wpatrywać w wodę, najwyraźniej nieświadoma tego, że na pokładzie jest jeszcze ktoś oprócz niej. Skrzydła z materiału trzepotały na wietrze, prześwitująca spódnica wirowała wokół bioder i nóg.

McCoy niedbale oparł się o barierkę i z nie ukrywaną przyjemnością przyglądał się nieznajomej. Wolno przeniósł wzrok z krągłych bioder na szczupłe łydki, oplecione jedwabnymi tasiemkami baletek.

Chociaż dziewczynę spowijały koronki i falbanki, te zwykle sznurowadła wydały mu się najbardziej kobiecym elementem jej stroju. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nie, wyobrażając sobie, jak je rozwiązuje, nim ciekawość skłoniła go do przyjrzenia się twarzy nieznajomej.

Widział zaledwie jej fragment, błądy profil osrebrzony światłem księżyca. Bardziej wyczuł, niż usłyszał, jak cicho westchnęła i spostrzegł, że zamknęła oczy.

Uśmiechnął się zadowolony. Roy McCoy nie należał do mężczyzn, którzy pozwalają, by piękna kobieta była samotna w taką księżycową noc.

Morski wietrzyk muskał policzki Laury Randolph i rozwiewał kręcone loki peruki. Odchyliła głowę do tyłu, zaczerpnęła głęboko oceanicznego powietrza, by po chwili wypuścić je wolno, czując, jak razem z nim pozbywa się zmęczenia, Boże, dawno już należał jej się urlop. Nie zdawała sobie z tego sprawy, póki nie wrzuciła walizki do samochodu i nie odjechała kawałek od domu; ogarnęła ją ulga na myśl, że nie wróci do niego wcześniej niż za tydzień.

Siedem dni z dala od dzwoniących telefonów, marudnych klientów i naglących spraw! Sprawiała sobie nowy, wystrzałowy kostium kąpielowy, zapakowała kilka książek, które już dawno chciała przeczytać, i tubkę kremu do opalania. W przerwach między przechadzaniem się po eleganckich butikach i

delektowaniem wyszukanyimi daniami zamierzała korzystać ze słońca i oddawać się lekturze.

Spoglądała na bezmiar oceanu: woda była ciemna, tylko gdzieniegdzie białe osrebrzone blaskiem księżyca grzywy fal. A więc to jest ów owiany złą sławą Trójkąt Bermudzki. Mało nie wybuchnęła śmiechem na wspomnienie mrozących krew w żyłach opowieści. Historie o znikających samolotach, ginących statkach i innych niepokojących zjawiskach wydawały się absurdalne, szczególnie w taką cudowną noc.

Patrząc na połyskującą powierzchnię oceanu, Laura czuła wszystko, tylko nie strach. Ogarnął ją nastrój oczekiwania, jakby miało ją tu spotkać coś wyjątkowego.

Blask księżyca i bezmiar wody, po której sunął elegancki statek pasażerski, tworzyły romantyczną scenerię. Jej kostium migotał i powiewał na wietrze, czuła się atrakcyjna, ponętna i równie tajemnicza jak otaczający ją ocean.

Czemu nie wypowiedzieć życzenia, patrząc na jedną z tych jasnych gwiazd nad głową? – pomyślała, obserwując grę światła na łagodnie falującej wodzie. Fakt, że jej towarzysze podróży – babka, siostra i mali siostrzeńcy – poszli do łóżek o dziewiętej, wcale nie oznaczał, że ona również musi położyć się spać. Miała dwadzieścia pięć lat i żadnych zobowiązań, mogła marzyć, jak by to było przyjemnie dzielić z kimś piękno tego miejsca i tej chwili. Z mężczyzną silnym, opiekuńczym, w którego ramionach czułaby się zupełnie bezpiecznie.

Wzdychając, zamknęła oczy i wyobraziła sobie swój ideał mężczyzny – powinien być ciemnowłosy, przystojny, mieć figlarne ogniki w oczach i uwodzicielski uśmiech. Czując na policzkach delikatne podmuchy, niemal wierzyła, że to nie wiatr pieści jej twarz, tylko dłonie kochanka.

Otworzyła oczy i skierowała wzrok na morską toń, próbując na mieniącej się powierzchni dojrzeć rysy mężczyzny ze swych snów.

Nagle jej uwagę przykuło coś dziwnego. – obszar wody odrobinę ciemniejszej od tej, która go otaczała. Przypominał wir. Zaintrygowana, nie odrywała od niego oczu, póki nie zniknął z pola widzenia.

Ale nim zginął, z jego środka uniosła się mgiełka, choć powietrze było zupełnie przejrzyste. Odniosła wrażenie, że obłok próbuje przybrać jakiś kształt.

Teraz Laurę dobiegło ciche pogwizdywanie, zlewające się z szumem wiatru. Nagle mgła się rozplynęła. Laura poczuła ciarki na całym ciele. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że właśnie to ciche pogwizdywanie przepłoszyło gęstniejący tuman.

Przepłoszyło? Co jej przychodzi do głowy? Czyżby zaczęła wierzyć w fantastyczne opowieści o Trójkącie Bermudzkim? Może to efekt wypitego ponczu, ale przez krótki moment...

„Nie siadaj pod jabłonią z nikim innym”. Laura rozpoznała melodię ze starego filmu o drugiej wojnie światowej. Dziwne, że ktoś gwizdał właśnie tę piosenkę. Była przekonana, że jest na pokładzie sama.

Odwróciła się i ujrzała mężczyznę – wysokiego, ciemnowłosego, zabójczo przystojnego, w mundurze oficera marynarki. Stał naprzeciw niej, opierając się o barierkę.

Laura nie mogła oderwać od niego wzroku. Wyglądał dokładnie tak jak mężczyzna z jej marzeń.

Przestał gwizdać, uśmiechnął się i przytknął do daszka dwa palce. Dołączki! Nie pomyślała o dołączkach. Jak można zapomnieć o czymś tak istotnym?

Powiew wiatru uniósł liście z tiulu, będące elementem jej kostiumu. Kostiumu na Halloween. Nagle zrozumiała, dlaczego wybrał właśnie tę piosenkę. Mężczyzna z jej marzeń był nie tylko przystojny, ale również inteligentny.

– Nie jestem jabłonką – powiedziała z uśmiechem.

– Skarbie – odparł, obrzucając ją spojrzeniem od stóp do głów – każdy, kto by cię wziął za jabłonkę, byłby skończonym głupcem.

Mówił z owym tak podniecającym południowym akcentem. I patrzył na nią łakomie.

Nagle Laura zdała sobie sprawę, jak bardzo obcisłe są jej srebrne rajstopy i trykot, zaś okrywający ramiona tiul jest cienki jak mgiełka; poczuła się zupełnie obnażona pod jego przenikliwym wzrokiem.

– A właściwie jakim jesteś drzewem? – spytał. Laurze zaschło w gardle. Przełknęła ślinę.

– Zaczarowanym.

– Powiniennem się domyślić – powiedział, uśmiechając się szeroko. – Jestem oczarowany.

To nie mogło być przywidzenie. Nawet najbardziej bujna wyobraźnia nie potrafiłaby stworzyć kogoś takiego. W białej czapce zawadiacko przekrzywionej na bakier i z tymi dołączkami był wprost nieprzyzwoicie pociągający.

Zatrzymał się pół metra przed nią. Miał ciemne oczy, ale w świetle księżycy nie można było stwierdzić, jakiego są koloru.

– Czy zaczarowane drzewa noszą imiona?

– Laura – bąknęła.

– Zupełnie a propos.

– To rodzinna tradycja – powiedziała, a głos nadal miała zachrypnięty. – Moja babka ma na imię Róża, siostra – Liliana, a siostrzenica... – urwała w pół zdania, uświadamiając sobie, że plecie bez ładu i składu. Zazwyczaj mężczyźni tak na nią nie działali.

– A siostrzenica?

– Malwina – wymamrotała i odwróciła się, żeby uniknąć jego przenikliwego wzroku.

Stanął obok niej, oparł się o barierkę i spojrzał na wodę.

– Dobrze, kiedy rodzina pielęgnuje jakieś tradycje.

– Uhm – mruknęła z roztargnieniem. Miał bardzo ładne ręce.

– Nazywam się McCoy – przedstawił się. – Roy McCoy.

– Żartujesz! – wyrwało się Laurze, zanim uświadomiła sobie, że jest nietaktowna. – Przepraszam... To bardzo ładne imię. Tylko, że... że się rymuje.

Ku jej olbrzymiej uldze odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

– Również rodzinna tradycja. Wprawdzie to nie takie poetyckie, jak nosić imiona kwiatów i drzew, ale przynajmniej nikt go nie zapomni.

– No właśnie – zgodziła się Laura, myśląc, że jej rozmówca musi być jednak prawdziwy. Nigdy nie nazwałaby mężczyzny swoich marzeń Royem.

– Przyjemny wieczór – zauważył McCoy po chwili milczenia.

– Przyjemny – przyznała, ale nie mogła zapomnieć tej dziwnej mgiełki, która uniosła się z ciemnego, wodnego wiru, przybrała jakiś kształt, a potem zniknęła.

– Dlaczego nie jesteś na maskaradzie?

– Byłam, ale... Moja rodzina poszła spać, a ponieważ ja nie byłam jeszcze zmęczona, postanowiłam popatrzeć na ocean.

– Bardzo tu spokojnie – powiedział McCoy, ujmując w palce kosmyk sztucznych włosów z jej peruki. – Nigdy wcześniej nie spotkałem kobiety z zielonymi włosami.

Owinął pasemko wokół palca, muskając przy tym dłonią jej policzek. Równie dobrze mógł jej dotknąć jakimś gorącym przedmiotem – nie rozpalonym żelazem, ale czymś, co promieniowało przyjemnym, pociągającym ciepłem.

Laura pochyliła głowę i przesunęła policzkiem po jego ręce, jak łaszący się kot.

– Jaka ulga.

– Co masz na myśli? – spytał McCoy, wyraźnie zaskoczony.

– Twoje palce są ciepłe. I prawdziwe.

– Zrobiło mi się gorąco. Tak zawsze działają na mnie piękne kobiety.

– Jeszcze jeden dowód – mruknęła.

– Czego? Roześmiała się cicho.

– Bałam się, że istniejesz tylko w mojej wyobraźni. Intrygujące.

– Skąd taka myśl? – zapytał.

– Akurat wypowiedziałam życzę... wyobraziłam sobie, jak przyjemnie byłoby... dzielić z kimś tę księżycową noc, gdy nagle...

– Pojawiłem się – dokończył. To zbyt niesamowite, by mogło być prawdziwe.

– Pogwizdując starą piosenkę – dodała.

– Starą? – Zastanowił się chwilę. – Tak, zdaje się, że można ją uznać za starą. – Uśmiechnął się, a Laurę przebiegł przyjemny dreszczyk. – A więc... wypowiedziałaś życzenie, żeby ktoś dzielił z tobą tę księżycową noc?

– Pomyślałam sobie, jak miło byłoby ją z kimś dzielić – poprawiła go. – Ujrzałam na wodzie ciemne koło i kłęb mgły, i... – urwała w pół zdania, zawstydzona.

– Ujrzałaś ciemny krąg i... mgłę? – powtórzył McCoy.

– Tak – odparła. – Wydało mi się to... dość dziwne w taką pogodną noc. Szczególnie w tym miejscu.

Objął ją delikatnie. Pomyślała, że przecież się nie znają, że za wcześnie na takie spoufalanie się, ale pragnęła czuć dotyk tej silnej, męskiej dłoni.

– Boże, ale ślicznie pachniesz. To chyba przez te pachnidelka, których używasz – szepnął jej prosto do ucha.

Laura znalazła w sobie dosyć sił, by odsunąć się od mężczyzny na tyle, żeby móc na niego spojrzeć.

– Pachnidelka?

– Perfumy. Pachnidelka.

– Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś je tak nazywał.

– Stare, marynarskie określenie.

– Naprawdę jesteś marynarzem?

– Porucznik McCoy do usług. Znany powszechnie jako Ahoj, McCoy.

– Ahoj, McCoy? – spytała z niedowierzaniem. Uśmiechnął się grzecznie.

– Koledzy wołają na mnie Ahoj. Też się rymuje.

– Stroisz sobie ze mnie żarty.

– Moja droga, nigdy sobie nie żartuję z pięknych kobiet – szczególnie w taką księżycową noc. Czy wszystkie zaczarowane drzewa czynią cuda?

– Tylko w Trójkącie Bermudzkim – odparła, uśmiechając się nieśmiało.

– W Trójkącie Bermudzkim? Wzruszyła ramionami zawstydzona.

No wiesz... Trójkąt Bermudzki. Znikające samoloty.

statki Widma, tajemnicze pole magnetyczne, zakrzywienie czasoprzestrzeni...

– Zakrzywienie czasoprzestrzeni? – McCoy próbował nie okazać zainteresowania.

– Tunele czasoprzestrzenne, przez które ludzie i statki przenoszą się z jednej czasoprzestrzeni do drugiej.

Spokojnie. Okaż zainteresowanie, ale nie przesadne.

– A więc zdarzają się tu takie rzeczy?

– Przynajmniej na filmach – powiedziała. McCoy wzruszył ramionami.

– Od lat nie byłem w kinie.

– Ja też często czekam, aż film będzie na kasecie – przyznała Laura.

– Ale wierzysz, że... że w tym Trójkącie Bermudzkim występują... niewytłumaczalne zjawiska?

– Nie bądź śmieszny! To tylko... No cóż, dziś jest Halloween, a ty pojawiłeś się nagle, nie wiadomo skąd.

– Więc pomyślałaś, że może jestem utkany z mgły?

– Niczego takiego sobie nie pomyślałam. – Westchnęła. – To wszystko przez tę atmosferę Halloween. A wcale by mnie tu nie było, gdyby nie skryte marzenie mojej babki.

– Skryte marzenie? To brzmi intrygująco.

– Cóż, to wcale nie takie intrygujące. Wspomniała memu ojcu, że zawsze skrycie marzyła, by wybrać się na bal kostiumowy przebrana za odaliskę, więc kiedy przeczytał o tym rejsie, organizowanym w miesiącu jej urodzin, wykupił bilety dla całej rodziny, – A więc jesteś tu z całą rodziną?

– Niezupełnie. Na razie tylko z babką, siostrą i słodkimi maleństwami. Ojciec i szwagier zaokrętuja się w Key West, tuż przed przyjęciem urodzinowym babki. Mają posiedzenie... – Laura omal nie powiedziała „sądu”, ale postanowiła zataić, kim jest jej ojciec. Zbyt zależało jej na miłym spędzeniu czasu, by zaraz na początku znajomości zdradzać, że jest córką znanego adwokata Edwarda Randolpha. – ...spotkanie służbowe, na którym muszą być – dokończyła.

– Twój ojciec i szwagier pracują razem?

Laura skinęła głową, a potem powiedziała pogardliwie:

– Mój szwagier jest jego protegowanym. – Zmarszczyła gniewnie brwi. – To takie podobne do ojca – przewrócić nasze życie do góry nogami, a potem beztrudnie ogłosić, że on i Mark nie będą mogli wziąć udziału w trzech czwartych rejsu. Wpadną tuż przed przyjęciem, ale ojciec i tak przypisze sobie całą zasługę za zorganizowanie wszystkiego.

– Zdaje się, że twój ojciec jest urodzonym przywódcą.

– Raczej urodzonym despotą – odparła Laura, a potem dodała: – Nie ma z nim żartów.

– Czy to znaczy, że przystawi mi pistolet do piersi, jeśli spróbuję cię pocałować? – spytał żartobliwie McCoy.

Laura uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– Jestem pełnoletnia. Całuję się, z kim mam ochotę i kiedy mam ochotę.

McCoy uśmiechnął się i przysunął bliżej. Laura podniosła rękę, próbując go powstrzymać.

– Ale... mam swoje zasady. Nie całuję się z marynarzami, których znam krócej niż dziesięć minut.

– Rozumiem – powiedział McCoy. – Cóż, bardzo się cieszę, że się wybrałaś w ten rejs. Ale dlaczego wywołało to taki zamęt w twoim życiu?

Laura zachichotała.

– Tylko mężczyzna może zadać podobne pytanie! To chyba oczywiste, że taka wyprawa wymaga pewnych przygotowań. Musiałam sobie załatwić tydzień urlopu i porobić zakupy. A ponieważ mieszkam w Orlando, mnie przypadło w udziale wożenie mojej babki tam i z powrotem do specjalnego sklepu, aby mogła wybrać strój na przyjęcie z okazji siedemdziesiątych piątych urodzin.

– Czy swój kostium kupiłaś w tym samym sklepie?

– Owszem. Nigdy nie wymyśliłabym czegoś tak oryginalnego.

– Cóż, skarbie, oświadczam, że jestem niezwykle wdzięczny twemu tatusiowi, iż sprawił ci ten kostium i wsadził na pokład.

Laura się uśmiechnęła.

– Zaczynam wierzyć, że wszystko, co słyszałam o marynarzach, to prawda.

– A co słyszałaś?

– Że są bardzo niegrzecznymi chłopcami. McCoy spojrział na nią spod oka.

– Dobrze słyszałaś, skarbie. Niegrzeczny to moje drugie imię.

– Jak to możliwe, McCoy... Przecież się nie rymuje.

– Cóż, za to pasuje jak ulał. Jestem bardzo niegrzecznym chłopcem.

Oczywiście do pewnego stopnia to twoja wina.

– Moja?

– Jak można na ciebie patrzeć i nie mieć zdrożnych myśli?

– Tak działa na ciebie zielony kolor?

– Ty tak na mnie działasz. Nie sądzę, by miało to jakikolwiek związek z tym zielonym makijażem. – Spojrział na zegarek, a potem na Laurę. – Jeszcze dziesięć sekund.

– Dziesięć sekund?

– A będziesz mnie znała dziesięć minut.

– Wolnego! – wykrzyknęła Laura, – Czekam już ponad dziewięć minut – zauważył McCoy. – Zostało nam już tylko kilka sekund. Osiem... siedem...

– To, że minęło dziesięć minut, wcale nie znaczy... – Laura wstrzymała oddech, słuchając, jak mężczyzna odlicza sekundy.

– Sześć... pięć... cztery. Laura zamknęła oczy.

– Trzy... dwa...

Delikatnie musnął jej usta, a potem niespiesznie zaczął je całować, jakby zamierzał przez całą wieczność delektować się ich smakiem.

Jedną rękę położył jej na ramieniu, drugą – obejmował w pasie. Gdyby próbował ją przytulić, powstrzymałaby go, ale czuła tylko ten słodki ciężar na ramieniu... i dotyk ust.

Odnosiła wrażenie, jakby znała McCoya od dawna i nie był to wcale ich pierwszy pocałunek. Sposób, w jaki ją trzymał, był dziwnie znajomy, lecz jednocześnie Laurę przejmował dreszcz towarzyszący każdej nowości.

Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że wszystkie wcześniejsze pocałunki były jedynie preludium do tego, co nastąpiło teraz.

Przez chwilę patrzyła na niego, delektując się grą światła na przystojnej twarzy. Gdy się uśmiechnął, uniosła dłoń, by dotknąć ponętnego wgłębienia w jego policzku.

– Został ci ślad szminki... – powiedziała, wycierając palcem kolorową smugę. – Nie możemy dopuścić, żebyś chodził taki zielony. Ktoś mógłby cię wziąć za kosmitę.

– Zaryzykuję – odparł i pocałował ją jeszcze raz, bardziej namiętnie.

Laura nie pamiętała, by ktokolwiek ją tak całował. Łagodny dotyk jego palców i ciepło dłoni niezwykle ją podniecały.

Nawet kiedy przestał ją całować, nadal pieścił jej twarz. Laura przez dłuższą chwilę nie otwierała oczu, a kiedy w końcu uniosła powieki, westchnęła cicho.

McCoy uśmiechnął się lekko i spojrzał na nią ciepło i łagodnie.

– Cieszysz się, że mnie sobie wymarzyłaś?

ROZDZIAŁ 2

Czy się cieszy, że go sobie wymarzyła? Dusza Laury śpiewała, krew się burzyła, serce waliło. Statek nie zawinął jeszcze do pierwszego portu na tropikalnych wyspach, a już zakosztowała smaku rajów!

– Nie mam na razie powodów do narzekań – odparła cichym głosem.

– Są jeszcze jakieś życzenia, do których spełnienia mógłbym się przyczynić?

Całą postawą dawał do zrozumienia, iż jest do jej usług. Dodała do listy doznań fizycznych, związanych z jego obecnością, uczucie omdlenia w całym ciele.

– Umiesz tańczyć? – spytała z uśmiechem.

– Znany jestem z tego, że od czasu do czasu lubię sobie pohasać na parkiecie.

– W takim razie zatańczmy rock and rolla! – Co?

– Rock and rolla – powtórzyła Laura, patrząc na niego, jakby był niespełna rozumu. – Rocka.

– Nie znam nowoczesnych tańców. Będziesz mnie musiała nauczyć.

– McCoy, co ty pleciesz?

– Plotę? Nic nie plotę.

– Owszem, pleciesz trzy po trzy!

Ten człowiek był nieznośny. I bardzo pociągający.

– Musiałbyś pochodzić z innej planety, żeby nie słyszeć o rock and rollu – powiedziała. Nagle, ogarnięta paniką na myśl, że może tak właśnie jest, spytała:

– Nie jesteś z innej planety, prawda?

McCoy niedbale wzruszył ramionami.

– O ile wiem, niektórzy ludzie uważają Teksas za krainę nie z tej ziemi.

– Jestem pewna, że nawet tam słyszeli o rock and rollu – powiedziała Laura. – Janis Joplin pochodziła z Teksasu.

I Buddy Holly.

– Czy to... piosenkarze lub ktoś w tym rodzaju?

– „Czy to piosenkarze lub ktoś w tym rodzaju?” – powtórzyła Laura, przedrzeźniając go. – A czy Zygmunt Freud był psychiatrą?

– Freud? Ten jajcarz z Wiednia, który wszystko tłumaczył popędem seksualnym?

Jajcarz z Wiednia?

– Mniejsza o to – powiedziała Laura i ujęła go pod rękę.

– Chodź, marynarzu. Chodźmy... pohasać na parkiecie. „Zatańczmy i nie martwmy się, a później znów pocałujemy się w blasku księżyca i...”

To, co mogło nastąpić później, pozostawało wielką niewiadomą.

Orkiestra kończyła właśnie wiązanekę dyskotekowych przebojów. Rozglądali się za wolnym stolikiem, kiedy konferansjer zapowiedział:

– A teraz, proszę państwa, cofniemy się nieco w czasie i zmienimy nastrój dzięki niezrównanemu Chubby Checkerowi.

– Chubby Checkerowi? – spytał McCoy. Laura złapała go za rękę i pociągnęła na parkiet.

– Zatańczymy twista.

– Twista?

– Na pewno słyszałeś o twiście.

Wyraz jego twarzy świadczył o czymś innym.

– To taniec?

Laura spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Nie taniec, tylko prawdziwy przewrót w kulturze.

– Jeśli to taniec, jestem gotów – powiedział. – Ale musisz mi pokazać kroki.

Znaleźli kawałek wolnego miejsca między parą przebraną za Antoniusza i Kleopatę a mężczyzną z pieluszką i kobietą w śpioszkach i niemowlęcej czapeczce. McCoy spojrzał pytająco na Laurę, czekając na instrukcje.

– W tym tańcu nie ma kroków – wyjaśniła. – Wsuń nogę do przodu, unieś piętę i wykonuj takie ruchy, jakbyś chciał zgnieść pluskwę. O, tak.

McCoy z takim zapałem naśladował ruchy Laury, że mało nie zrobił dziury w podłodze.

– Teraz wyobraź sobie, że trzymasz ręcznik i wycierasz pośladki.

– Co wycieram? – spytał, przekrzykując muzykę.

– Pośladki! – Rozbawiona wskazała swoją zgrabną pupę. McCoy z zachwytem patrzył na jej kształtne biodra pod spódniczką z prześwitującego materiału.

– Och!

Spoglądał na nią tak, jakby uważał ją za najbardziej ponętną dziewczynę na świecie, i Laurę ogarnęła miła świadomość, że jest pożądana. Już dawno tak się nie czuła – zbyt dawno, stwierdziła. Nie pamiętała, kiedy rozkoszowała się myślą, że jest dla jakiegoś mężczyzny atrakcyjna i pociągająca; kiedy pozwalała sobie na spontaniczność i nieprzejmowanie się konsekwencjami.

Laura stała się ostrożna w kontaktach z mężczyznami gdzieś między Carlem, który zapomniał jej powiedzieć, że ma narzeczoną studiującą za granicą, a Mike'em, który zamienił jej pracę w banku w piekło po tym, jak ze sobą zerwali. Kiedy po stażu awansowała na pracownika wydziału kredytów, stwierdziła, że ma dosyć problemów w życiu, aby jeszcze dodawać do nich komplikacje natury uczuciowej.

Teraz była na wakacjach, miała przed sobą cztery wolne dni. Cztery dni, podczas których nie musiała się martwić o wczoraj ani o jutro. Nagle poczuła

dotkliwy głód, a McCoy, ze swymi uroczymi dołeczkami i spojrzeniem pełnym zachwytu, wprost idealnie nadawał się do jego zaspokojenia.

– Co teraz? – spytał.

No właśnie... Laura rzuciła mu promienny uśmiech. Wszystko!

Stopniowo wzbogacała taniec o kolejne elementy, ruchy rąk i nóg, skłony i skręty. Wiła się, kokietowała, kusiła, rytmicznie kręcąc biodrami i wymachując rękami. McCoy naśladował każdy jej ruch.

Kiedy orkiestra skończyła wiązanek twistów, oboje byli porządnie zasapani. Konferansjer znów podszedł do mikrofonu i zapowiedział, że jeszcze bardziej cofną się w czasie, do epoki, w której na parkietach królował swing.

Na twarzy McCoya pojawił się szeroki uśmiech. Chwycił Laurę za rękę.

– Teraz im pokażemy, jak się tańczy, skarbie!

– Nie umiem... – zaprotestowała Laura. Widziała na starych filmach, jak tańczono shimmy, ale sama nigdy nie próbowała.

– Nauczyłem się tego na studiach. Pokażę ci! – powiedział. McCoy.

W innych okolicznościach Laura za nic nie zgodziłaby się eksperymentować na parkiecie pełnym ludzi, ale ten wieczór był wyjątkowy. Zniknęła gdzieś Laura Randolph, spięta i nierzadko zagubiona pracownica banku z Orlando; dziś wieczorem przemieniła się w zaczarowane drzewo, tajemniczą kobietę, trochę lekkomyślną, nieco ekscentryczną, dość nieobliczalną.

A mężczyzna, czarującym uśmiechem zachęcający ją do naśladowania swoich ruchów, nie był zwyczajnym mężczyzną; jego entuzjizm okazał się zaraźliwy, a urok nieodparty. Był przystojny i elegancki, dobrze wychowany, a jednocześnie swawolny, przypominał rozbrykanego chłopca tak pełnego radości, że chwilami ta radość po prostu z niego tryskała.

Laura przestała się przejmować, że może z siebie zrobić pośmiewisko, naśladowała go, wymachując nogami i rękami, jakby całe życie nie robiła niczego innego, tylko tańczyła shimmy. Nie pamiętała, kiedy czuła się równie wolna i lekka.

Pod koniec utworu nabrał tempa i ewolucje McCoya stały się bardziej szalone. Po jednej, szczególnie skomplikowanej figurze, na którą składały się szybki obrót, a potem skłon do przodu, zderzyli się ze sobą tak mocno, że Laura o mało się nie przewróciła. Chwyciła go za rękę, żeby nie upaść, a McCoy objął ją mocno w pasie.

Dla Laury w tym momencie przestał istnieć cały świat; nie liczyło się nic poza tymi silnymi, pewnymi dłońmi, które ją przytrzymały, i ciepłym spojrzeniem. Roy miał niebieskie oczy, ale nie był to błady błękit ani kolor nieba o poranku, tylko głęboki, ciemny granat nocy. Nic dziwnego, że przy świetle księżyca wydawały się czarne.

Uświadomiła sobie, że do końca życia nie zapomni tego wieczoru. Bez

względu na to, co ją spotka w ciągu następnych pięciu minut albo pięciu dziesięcioleci, będzie potrafiła w najdrobniejszych szczegółach odtworzyć to, co czuła, patrząc teraz na Roya McCoya.

Atrakcyjna. Podziwiana. Upagniona. Po wsze czasy zachowa tę chwilę w pamięci, by się nią delectować w samotności. Bo póki będzie żyła, zawsze, gdy ogarnie ją zmęczenie, zwątpienie lub smutek, znajdzie pocieszenie we wspomnieniu tego cudownego momentu.

Nie wiedziała, czy to rezultat oderwania się od szarzyzny dnia codziennego, jakaś anomalia magnetyczna występująca w Trójkącie Bermudzkim czy też, po prostu, osobowość McCoya. Nie interesowały jej przyczyny. Upajała się słodką myślą, że przez chwilę – króciutką chwilę – była śliczna, ponętna i pożądana, a nie dobrze wychowana, skromna i dość atrakcyjna.

– O, coraz lepiej – szepnął McCoy. Orkiestra skończyła grać shimmy i rozległy się pierwsze takty „Księżycowej serenady”. McCoy objął ją, ona położyła mu dłoń na ramieniu i zaczęli wirować w tańcu. Czuła bijące od niego ciepło i miała ogromną ochotę wtulić twarz w jego szeroką pierś.

– Coś się stało? – spytał.

– Staram się nie dotknąć twojego munduru – powiedziała. – Mogłabym zostawić na nim ślady makijażu.

– Skarbie, nie wiesz, że dżentelmen jest przygotowany na każdą sytuację? – Przystanął, wyciągnął z kieszeni białą chusteczkę i rozpostarł ją na ramieniu. – Przytul się, skarbie.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że ta chusteczka była już wcześniej używana? – spytała, przycisnąwszy do niej policzek.

– Tylko do ocierania łez na smutnych filmach – odparł, a potem szepnął prawie do samego ucha: – Ładna melodia. Nikt jej nie gra tak jak Glenn Miller.

– Będziesz cały zielony – ostrzegła go Laura, kiedy przytknął brodę do jej skroni.

– Kto by się przejmował takimi drobiazgami? – mruknął. Skończyła się „Księżycowa serenada”, orkiestra zaczęła grać kolejny utwór Glenna Millera. Laura słyszała już wcześniej tę piosenkę, ale nie mogła sobie przypomnieć jej tytułu. Zresztą nie miało to znaczenia, póki melodia była wolna i Laura mogła tańczyć w ramionach McCoya.

– Pachniesz jak anioł – powiedział.

– Zaczarowane drzewa z natury roztracają przyjemny zapach – odparła. Znów ogarnęło ją uczucie, że to tylko sen. Była gotowa uwierzyć, że pojawił się tu za sprawą jej wyobraźni.

Oboje uznali, że wolne melodie skończyły się zbyt szybko. McCoy uniósł głowę i cicho zaprotestował. Stali na parkiecie, trzymając się za ręce i czekali, aż orkiestra znów zacznie grać.

– Jeszcze jeden twist – powiedział McCoy, kiedy rozległy się pierwsze takty żywiołowej muzyki.

– To nie twist – poprawiła go Laura. – To Rolling Stonesi.

– Nie wiem, jak to się tańczy – przyznał szczerze.

– Rób to, co ci dyktuje serce.

Uściskał mocniej jej rękę. Niemal pozerął ją wzrokiem.

– Nie mogę zrobić publicznie tego, co „dyktuje mi serce”. Laura wiedziała, że ona również nie, jeśli nie chce wywołać skandalu. Czerwieniąc się, powiedziała:

– Po prostu... spróbuj wczuć się w muzykę. Początkowo starania McCoya przynosiły mierne rezultaty, lecz w połowie następnej piosenki wypracował własny styl, przy którym popisy Billy’ego Raya Cyrusa były amatorszczyzną. Spodnie opinały go niczym druga skóra. Laura nie mogła oderwać od niego oczu.

Podobnie jak większość kobiet obecnych na sali. McCoy jednak nie zwracał na nie uwagi. Dla niego istniała tylko Laura. Jego pełne zachwyty spojrzenie i ciepły uśmiech przywracały jej wiarę w siebie.

Laura mogłaby tańczyć całą noc, i to wcale nie dlatego, że od kilku miesięcy uczęszczała na zajęcia z aerobiku. Oto partnerował jej najprzystojniejszy mężczyzna, jaki kiedykolwiek żeglował po pełnym morzu – niezależnie od tego, skąd się wziął.

McCoy. To nazwisko wyjątkowo dobrze do niego pasowało – tak dobrze jak elegancki mundur.

Zauważył jej pełne podziwu spojrzenie i uśmiechnął się. Na widok dołączków w jego twarzy działały się z nią dziwne rzeczy. Tańczyła jeszcze bardziej zapamiętała, w ogóle nie czując zmęczenia. Wiązaną przebojów zakończyła żywiołowa wersja piosenki „I Can’t Get No Satisfaction”.

– Proszę państwa, dzięki niezwykłym i tajemniczym siłom działającym w Trójkącie Bermudzkim nasze dzisiejsze spotkanie zaszczyca wyjątkowy gość – obwieścił z zagadkową miną konferansjer. – Proszę nie zadawać pytań, tylko wziąć się za ręce i powitać Króla.

Przy wtórze oklasków i okrzyków zachwyty w głębi estrady ukazał się sobowtór Elvisa Presleya. Młody, krótko podstrzyżony chłopak rzucił wyszywaną cekinami pelerynę, wymamrotał do mikrofonu „Dobry wieczór państwu” i zaczął śpiewać „Love Me Tender”, a orkiestra cicho mu akompaniowała.

– Sądzę, że ta piosenka jest specjalnie dla nas – szepnął McCoy do Laury. Nawet się nie spostrzegła, kiedy wyciągnął chusteczkę i rozpostarł ją sobie na ramieniu.

Laura położyła głowę na jego piersi i tańczyła zasłuchana w bicie serca McCoya.

– Podoba mi się ten Król – powiedział McCoy, kiedy po „Love Me Tender” przysła kolej na „I Can’t Help Falling in Love With You”. Laura niemal omdlała w jego ramionach.

– Mnie też – zgodziła się. – Niezły jest, prawda? Nie wszyscy naśladowcy potrafią dobrze śpiewać jego wolniejsze przeboje.

– Naśladowcy?

– Naśladowcy Elvisa – powiedziała rozmarzona. – Na ogół lepiej sobie radzą z szybkimi utworami.

Piosenkarz niespodziewanie urwał sentymentalną balladę i podrygując konwulsyjnie, zaczął śpiewać ochryłym głosem jakąś rytmiczną piosenkę. McCoy znieruchomiał w pół kroku i złożył pocałunek na skroni Laury.

– Masz ochotę jeszcze trochę poszaleć czy wolisz pójść na pokład, by sprawdzić, czy wciąż świeci księżyc?

Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

– Wolę sprawdzić, czy nadal świeci księżyc.

Wyszli na pokład i skierowali się do baru. McCoy uniósł brwi.

– Co powiesz na lampkę wina?

Lampka wina w świetle księżyca. Jakie to romantyczne.

– Poproszę – powiedziała pośpiesznie. Barman nalał wino i podał im kieliszki.

– Proszę kartę pokładową.

– Kartę pokładową? – powtórzył McCoy, grzebiąc w kieszeni. – Zdaje się, że nie mam jej przy sobie. Czy nie mogę po prostu zapłacić?

– Nie przyjmujemy gotówki, proszę pana.

– Ale... – wyciągnął banknot dziesięciodolarowy.

– Takie są przepisy.

– Nie ma sprawy – powiedziała Laura. – Oto moja karta. – Podała barmanowi kartę.

– Nie mogę pozwolić, żebyś... – odezwał się McCoy, wyraźnie zmieszany.

– To tylko dwa kieliszki wina – powiedziała Laura.

– Ale nie mogę pozwolić, żeby kobieta... To...

– Uspokój się, marynarzu – powiedziała Laura ze śmiechem. – Nawet jeśli się okaże, że jesteś żigolakiem, nie pozbawisz mnie oszczędności całego życia.

Znaleźli ustronny kącik na górnym pokładzie. Było w najdrobniejszych szczegółach tak romantycznie, jak Laura to sobie wyobrażała. McCoy wznosił toast.

– Za spełnione marzenia.

Wyraz jego oczu sprawił, że chociaż wino było zimne i cierpkie, Laura odniosła wrażenie, że kieliszek wypełniała ambrozja. Gdyby mogła,

zatrzymałaby czas, by ta chwila trwała wiecznie. Ponieważ było to niemożliwe, zapisała ją sobie w pamięci. Uniosła kieliszek.

– Za światło księżycy i oceany.

Zamiast wypić, pocałowali się. Okazało się, że pocałunek może mocniej uderzyć do głowy niż jakikolwiek trunek. McCoy stanął za Laurą i ją objął. Sączyła wolno wino, czując, jak pali jej przetyk.

Noc była bezwietrzna, wody nie marszczyła najmniejsza fala.

– Nadal tam jest – powiedziała wreszcie Laura, spoglądając na księżyc.

– Tak – odparł McCoy. – Przypuszczam, że jest tam od milionów lat, dodając kobietom urody.

– Dlaczego jesteś taki pewny, że jestem piękna?

– Znam się na tym.

Laura tak bardzo pragnęła mu wierzyć! Chciała wierzyć, że nie intrygowały go wyłącznie długie, kręcone loki jej peruki i zielony makijaż, krążące wokół głowy motyle i powiewna spódnica.

– A skąd wiesz, co się kryje pod tą zieloną peruką i makijażem? Może jestem pospolita jak chwast.

Objął ją mocniej w pasie.

– I bez tego kostiumu będziesz miała taką figurę. Tak samo zabrzmiał twój głos i śmiech... czy westchnienie. Tak samo będziesz pachniała. To nie tylko przyjemna woń roztaczana przez zaczarowane drzewo.

Laura roześmiała się cicho.

– To bardzo drogie... pachnidła. Ojciec mi je daje na każde urodziny i gwiazdkę. Ułatwia sobie życie.

– Kiedy mówisz o swym ojcu, stajesz się zgryźliwa.

– Naprawdę? – Laura pociągnęła długi łyk wina. – W takim razie nie mówmy o nim. Jest zbyt... realny.

– Ty też wydajesz mi się realna.

– Ale jestem zaczarowanym drzewem, a ty moim spełnionym marzeniem – powiedziała Laura.

McCoy delikatnie wyjął jej z dłoni kieliszek i razem ze swoim postawił w bezpiecznej odległości. Wyprostował się, wziął ją w objęcia i wolno zbliżył wargi do jej ust. Ten pocałunek miał w sobie gwałtowność, której brakowało poprzednim.

Laura westchnęła i przywarła do niego. Zanurzyła palce w jego gęstych włosach, strącając mu przy tym czapkę z głowy. Złapała ją w locie, położyła mu dłonie na ramionach i pozwoliła, by zawładnęła nią błogość. Czuła się bezpiecznie w tych mocnych ramionach, całowana z żarliwością, która budziła w niej pożądanie.

Kiedy McCoy z westchnieniem oderwał od niej usta, nadal się do niego tuliła, przyciskając, by ta chwila trwała bez końca.

Żar pocałunku sprawił, że w całym ciele czuła przyjemne ciepło i rozleniwienie.

– Czy było to dla ciebie wystarczająco realne? – spytał cicho McCoy.

W blasku księżyca jego oczy były czarne jak węgiel.

– Był zbyt doskonały – powiedziała, unosząc rękę, by lekko musnąć jego policzek. – To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Boję się, że w każdej chwili znikniesz, albo że pojawi się UFO i cię porwie.

Pocałował ją w skroń.

– Lauro...

– Słucham?

Westchnął głęboko, jakby przytłaczał go jakiś ciężar, i po chwili wahania spytał:

– Co to jest UFO?

ROZDZIAŁ 3

Laure przeszły ciarki. Zmieszana, wylękłona, odwróciła się i spojrzała na niego.

– UFO. Nie zidentyfikowane obiekty latające.

– Nie zidentyfikowane... masz na myśli latające spodki czy coś w tym rodzaju? – spytał McCoy.

– Latające spodki czy coś w tym rodzaju – powtórzyła Laura, przedrzeźniając go, a potem spytała: – Dobra, McCoy, co tu jest grane?

– Słucham?

– Nie udawaj niewiniątka. Coś mi tu nie pasuje. Nic mi tu nie pasuje.

– Ponieważ nie wiem, co to znaczy UFO?

– Moi mali siostrzeńcy wiedzą, co to jest UFO – odparła Laura. – A także kto był Królem.

McCoy patrzył na nią w milczeniu.

– Nawet się nie uśmiechnąłeś, kiedy na estradzie pojawił się ten pseudo Elvis – ciągnęła.

– Przecież nie zrobił nic śmiesznego – powiedział McCoy bez zająknięcia.

– Nie wydało ci się zabawne, że się pojawił cały i żywy akurat w Trójkącie Bermudzkim.

– Powiedziałem ci, że nie jestem na bieżąco z najnowszą muzyką.

– Elvis Presley to nie „najnowsza muzyka” – stwierdziła Laura. – To kultowy wykonawca. Umarł wiele lat temu, ale co rusz pojawiają się plotki, że nadal żyje, że widziano go w różnych niezwykłych miejscach. Dlatego wszyscy wybuchnęli śmiechem – z wyjątkiem ciebie.

McCoy wzruszył ramionami i uśmiechnął się przeprasząco. Rozzłościło ją to.

– Wybrałeś się w rejs po Trójkącie Bermudzkim, a nigdy o nim nie słyszałeś. Coś tu nie gra, McCoy. Gdyby to był jakiś drugorzędny film, pomyślałabym, że jesteś przybyszem z kosmosu albo szpiegiem, albo...

– Skarbie, zapewniam cię, że nie mam nic wspólnego ze szpiegostwem i jestem najnormalniejszym człowiekiem pod słońcem. – Uśmiechnął się kpiąco.

– Wystarczy jedno twoje słowo, a jestem gotów ci to udowodnić.

Laura, zdezorientowana, zmarszczyła czoło. Nagle przyszło jej do głowy jeszcze jedno wytłumaczenie.

– McCoy, cierpisz na amnezję?

– Moja pamięć jest bez zarzutu, skarbie. – W takim razie jak wyjaśnisz...

– Nie potrafię ci tego wyjaśnić, skarbie. Mogę ci tylko powiedzieć, że powinienem być na zupełnie innym statku.

– Pomyliłeś statki? – Przypomniała sobie drobiazgową kontrolę przed wejściem na pokład. Jakakolwiek pomyłka zdawała się wykluczona. Ale nawet gdyby rzeczywiście znalazł się na pokładzie niewłaściwego statku, nie tłumaczyło to, dlaczego nigdy nie słyszał o UFO ani o Elvisie Presleyu.

Chwycił ją w ramiona i spojrzał prosto w oczy.

– To, co ci powiem, zabrzmii nieprawdopodobnie.

– Nic mnie nie zaskoczy bardziej niż mieszkaniowiec Teksasu, który nigdy nie słyszał o rock and rollu, ani marynarz, który nie wie, co to jest Trójkąt Bermudzki.

– Masz hipnotyczne spojrzenie.

On też. Czują, że zaczyna ulegać jego wpływowi.

– McCoy! – powiedziała z przyganą w głosie.

Opanował się, widząc, że nie pora teraz na żarty, i oświadczył poważnie:

– Lauro, sądzę, że naprawdę sobie mnie wymarzyłaś.

– Jak to?

McCoy westchnął głęboko.

– Opowiem ci wszystko, chociaż możesz nie dać wiary moim słowom.

– Nic nie jest już w stanie mnie zdziwić.

McCoy wzruszył ramionami i rozpoczął swoją opowieść.

– Dziś wieczorem byłem na mostku na swym okręcie. Miałem wieczorną wachtę. Morze było spokojne, dopiero co wzeszedł księżyc, i pomyślałem sobie, że ostatni raz widziałem kobietę kilka miesięcy temu.

– Cóż, to z pewnością wiele wyjaśnia – zauważyła złośliwie.

Zmarszczył czoło, a po chwili ciągnął dalej.

– Wyobrażałem sobie, jak by to było przyjemnie znaleźć się obok kobiety, i nagle poczułem się... jakoś dziwnie. Zamknąłem oczy i potrząsnąłem głową, żeby się pozbyć tego uczucia, a kiedy je otworzyłem... – zawiesił głos – kiedy je otworzyłem, stałem na pokładzie statku wycieczkowego, gdzie akurat trwał bal przebierańców.

– To maskarada z okazji Halloween.

– Właśnie to powiedział facet z mikrofonem. Myślałem, że wszystko sobie uroiłem, że to halucynacje – więc zamknąłem oczy przekonany, że gdy ponownie je otworzę, będę na swoim okręcie. Ale się myliłem.

Przesunął pieśczośliwie dłońmi po jej ramionach.

– Kiedy je otworzyłem, ujrzałem ciebie w tym fantastycznym kostiumie i w zgrabnych baletkach. Może to zabrzmii dziwnie, ale wiedziałem, że jestem tu, żeby się z tobą spotkać.

Laurze zakręciło się w głowie. Gdy zamknęła oczy, by odzyskać równowagę, ujrzała ciemny krąg wody i tuman mgły. Zapragnęła, by pojawił się mężczyzna, z którym mogłaby dzielić ten wieczór, i z mroku wyłonił się McCoy.

– Symultaniczne życzenia – powiedziała, czując, że kolana się pod nią uginają.

McCoy przyjrzał się jej uważnie.

– Słucham?

– W jednej chwili wypowiedzieliśmy takie samo życzenie. W Trójkącie Bermudzkim. To niemożliwe, ale... Nie rozumiesz? Pragnęłam twojej obecności. Ty pragnąłeś mojej. Nastąpiło jakby sprzężenie naszych jednoczesnych życzeń...

– I przenieśliśmy się tutaj – dokończył McCoy. – To musi być to. Jak tylko cię ujrzałem, wiedziałem, że jestem tu dla ciebie. Chciałem iść za tobą, ale trochę się bałem. Pomyślałem, że najpierw powinienem rozeznac się w sytuacji. Chodziłem więc z pokładu na pokład, pragnąc lepiej poznać statek. Świetnie mi szło, póki nie natknąłem się na gazetę i nie zobaczyłem daty.

– Daty? – Laurze mocniej zabiło serce. Nigdy nie słyszał o rock and rollu!

– W... w którym roku... opuściłeś swój okręt? – wyjąkała, bojąc się odpowiedzi.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim.

– Druga wojna światowa. – Znow wszystko zawirowało. – Muszę usiąść.

McCoy podtrzymał ją.

– Uspokój się, skarbie. Tylko mi tu nie zemdlej. Pomógł jej zejść na niższy pokład i usiąść na leżaku. Przysunął sobie drugi na tyle blisko, by mogli się trzymać za ręce.

– Chcesz, żebym ci przyniósł coś do picia? – zaoferował się. – Wyglądasz na trochę roztrzęsioną.

Laura pokręciła głową.

– Nie. Już mi przeszło. Tylko... muszę zebrać myśli.

To było niesamowite. Niezwykłe. A jednak, jeśli w to uwierzyć, nie pozbawione sensu. I wiele wyjaśniało. Na przykład to, że jej mężczyzna z marzeń rozpoznał piosenkę z lat czterdziestych i był mistrzem shimmy, ale nie wiedział, kto to jest Król czy Chubby Checker. To dlatego pogwizdywał melodię popularną podczas drugiej wojny światowej, kiedy ujrzała go po raz pierwszy.

– Wszystko pasuje – powiedziała oszołomiona – ale to takie... niesamowite.

– Masz rację – zgodził się McCoy. Uwierzyła mu! Nadal oszołomiona, Laura spytała:

– Czy widziałeś coś... dziwnego... na morzu, zanim... to się stało?

Naprawdę mu wierzyła! – Dziwnego?

– Ciemny krąg lub... mgłę?

– Mgłę? Nie. Mówiłem ci, że była jasna noc.

– Pomyślałam, że może.

– Może widziałem to samo co ty? Skinęła głową.

– Wspomniałaś coś wcześniej o zjawisku zakrzywienia czasoprzestrzeni?
– Nigdy w to nie wierzyłam, ale krążą opowieści o supertajnych eksperymentach wojskowych z teleportacją marynarzy, kręci się filmy o statkach i samolotach przemieszczających się przez tunele czasoprzestrzenne. No wiesz, statki widma, które pojawiają się nie wiadomo skąd i po jakimś czasie znikają.

Laura była jednocześnie odrętwiała i ożywiona. Jeszcze jej się nie zdarzyło spotkać człowieka podróżującego w czasie.

– A więc uważa się, że w tym rejonie oceanu występują... anomalie.

– Myślałam, że to wszystko reklama. W Hollywood kręcą mnóstwo drugorzędnych filmów, których akcja toczy w Trójkącie Bermudzkim. Wiesz, że ci z Hollywood miewają zwariowane pomysły... a może nie wiesz.

– Ostatni film, jaki widziałem, to „Buck Privates” z Abbottem, Costello i siostrami Andrews. Nie wyobrażam sobie, by można było wymyślić coś bardziej zwariowanego.

– Wierz mi, można. Kiedy jakiś film odniesie sukces, kręcą dalszy ciąg, eksploatując temat do znudzenia, a akcja każdego kolejnego filmu jest coraz bardziej nieprawdopodobna.

– Czy nadal robią westerny?

– Oczywiście. Kilka lat temu Clint Eastwood zdobył Oscara za „Bez przebaczenia”.

– Kto to jest Clint Eastwood?

Przez chwilę przyglądała mu się ze zdumieniem. Potem nachyliła się i objęła go. McCoya zaskoczyła gwałtowność uścisku i jego siła.

– Dlaczego siedzimy tu i rozmawiamy o gwiazdach filmowych, kiedy... – Cofnęła się na tyle, by móc mu spojrzeć w oczy. – Och, McCoy, co ty teraz zrobisz?

Mężczyzna patrzył na Laurę przez dłuższą chwilę. Była niezwykle piękna i subtelna. Uniósł rękę do jej twarzy i pieszczotliwie przesunął palcem po policzku.

– Kiedy tak na mnie patrzysz, rozumiem, że jesteś zdolna siłą swego marzenia przenieść mężczyznę w czasie.

– Nie wiem, jak ci pomóc – powiedziała. McCoy zmusił się do uśmiechu.

– Lepiej szybko coś wymyśl, skarbie. Sprowadziłaś mnie tutaj, więc za mnie odpowiadasz.

– Słucham? Nie jestem...

– Niektóre prymitywne ludy uważają, że jeśli ktoś uratuje komuś życie, staje się za niego odpowiedzialny – nie dawał za wygraną McCoy. – W moim przypadku to jeszcze bardziej oczywiste. Ostatecznie, odbyłem podróż w czasie tylko na twoje życzenie.

– Ale ja naprawdę... Znów się uśmiechnął.

- Żadnych wykrętów. Jestem cały twój.
 - Co mogłabym zrobić?
 - Możesz zacząć od nakarmienia mnie.
 - Nakarmienia?
 - Słyszałem coś o nocnym bufecie.
 - Jak możesz w takiej chwili myśleć o jedzeniu?
 - To proste, jeśli się nie miało nic w ustach ponad pięćdziesiąt lat.
 - Wolne żarty.
 - Cóż, to prawda. Przeniosłem się zbyt późno, by zdążyć na obiad.
- Laura zmarszczyła brwi.

– Skoro jesteś naprawdę głodny, należałoby cię nakarmić. – To już było coś.

Aby dojść do restauracji, musieli przejść przez kasyno, hol, w którym stały automaty do gry, i salę z grami telewizyjnymi. McCoy przystanął, by popatrzeć na dwóch małych dzieci pochłoniętych zabawą.

- Czy to rodzaj bilardu?
- W nowoczesnym wydaniu – powiedziała Laura z uśmiechem.

Trochę dalej pasażerowie zbierali się w sali kinowej na nocny seans. McCoy zatrzymał się i zerknął przez otwarte drzwi na wielki ekran telewizyjny.

– Zaglądałem tu podczas wcześniejszego pokazu, ale nie zauważyłem smugi światła z projektora.

Laura zachichotała.

– Bo jej nie ma. To telewizja, obraz pojawia się z wideo... – Westchnęła i powiedziała jaśniej: – Z magnetowidu. To wszystko elektronika.

– Ach, więc to miałaś na myśli, wspominając wcześniej o czekaniu, aż film się pojawi na kasecie.

– Tak. Najpierw zdzierają z widzów po siedem i pół dolara za bilet do kina, a potem wypuszczają filmy na kasetach. Ludzie je wypożyczają i oglądają w domu.

– Bilet do kina kosztuje siedem i pół dolara? – powtórzył McCoy.

Laura skinęła głową.

- Niestety. McCoy gwizdnął.
- Siedem i pół dolara za bilet!

Ruszyli dalej w milczeniu. Laurze aż się kręciło w głowie, kiedy próbowała wyobrazić sobie siebie na jego miejscu. Było tyle rzeczy, których nigdy nie widział ani o których nie słyszał...

- Ładnie pachnie – powiedział, kiedy weszli do restauracji.
- To włoski bufet. Może mają pizzę.
- Co to jest pizza?
- Nigdy nie jadłeś pizzy? Pokręcił głową.
- Słyszałem, jak chłopaki z Chicago o niej rozmawiali.

– W takim razie czeka cię prawdziwa uczta, marynarzu. Wybór dań był imponujący: można było tu znaleźć wszystko, począwszy od przystawek, zimnych mięs i sałatek przez makarony o najwymyślniejszych kształtach po różne gatunki serów i mięsa, polane sosami jarzynowymi. Na środku stały wyczarowane z warzyw baśniowe morskie stwory, tworząc oryginalną dekorację.

Pizzę znaleźli na samym końcu długiego bufetu. Tak zasmakowała McCoyowi, że spałaszował cztery kawałki. Laura jadła wolno, uważnie obserwując swego towarzysza.

– Wiesz co, to frapujące przyglądać się, jak odkrywasz różne rzeczy.

McCoy uniósł brwi.

– Na przykład gry komputerowe i pizzę? Laura uśmiechnęła się do niego.

– Nigdy się właściwie nie zastanawiałam nad tym, jak szybko zachodzą zmiany, jak bardzo dzisiejszy świat różni się od tego sprzed pięćdziesięciu lat. Musisz być... oszołomiony.

McCoy uśmiechnął się uprzejmie.

– Mężczyźni zawsze się czują oszołomieni w towarzystwie pięknej kobiety, skarbie. To się nigdy nie zmieni. Powiedziałaś, że jak to się nazywa?

– *Cannoli* – odparła Laura. – I nadal nie rozumiem, jak możesz w takiej chwili myśleć o jedzeniu.

– Skarbie, od trzech miesięcy karmili mnie jajkami w proszku. Moim kubkom smakowym jest wszystko jedno, który mamy teraz rok.

– Czysty cholesterol – mruknęła Laura, spoglądając z mieszaniną zazdrości i pogardy na bitą śmietaną z dodatkami.

– Co to takiego?

– Lepiej, żebyś nie wiedział – odparła Laura. I tak miał dosyć problemów, czemu go miała jeszcze straszyć cholesterolem.

Skończył *cannoli* i rozparł się wygodnie na krześle. Wyglądał na najedzonego i zadowolonego.

– Co teraz? – spytała cicho Laura po chwili milczenia. McCoy się uśmiechnął.

– Teraz, kiedy mnie nakarmiłaś, możemy porozmawiać o tym, gdzie mnie przenocujesz.

Laura otworzyła usta ze zdumienia.

– Gdzie cię przenocuję? McCoyowi nawet nie drgnęła powieka.

– Pragnę ci zwrócić uwagę, że jestem na tym statku pasażerem na gapę. Jeśli położę się spać na leżaku, to ktoś zauważy.

Laura zasepiła się i zaczęła zastanawiać nad tym problemem. W końcu stwierdziła:

– Musimy komuś powiedzieć. McCoy sceptycznie kiwał głową.

– Komu?

– Komuś, kto tu rządzi. Kapitanowi.
– A co twoim zdaniem zrobi kapitan, kiedy mu powiem, że zostałem przeniesiony w czasie? Odstawi mnie z powrotem na „Quincy”?

– Coś wymyślimy, ale przynajmniej staniesz się pełnoprawnym pasażerem.

– Albo trafię do najbliższego więzienia. Nic z tego, skarbie. Wolę się zdać na ciebie.

– Ale cóż ja mogę zrobić?

Widocznie nie na tyle mocno przeżywał swoje położenie, by zapomnieć, że przede wszystkim jest mężczyzną. Poczwała na sobie jego namiętny wzrok.

– Oprócz rzeczy zupełnie oczywistej, która jest prawdopodobnie nie na miejscu, biorąc pod uwagę ogólną sytuację, możesz mi zapewnić jakiś przytulny kąt.

Chciał zamieszkać w jej kajucie! Poczwała ucisk w gardle.

– Nie wiem, McCoy. Moja kajuta jest bardzo mała, poza tym.

– Jeśli będę spał na leżaku albo ukrywał się w szalupie ratunkowej, może to wzbudzić podejrzenia.

– Ale dzielić kajutę...

– Chyba się mnie nie boisz, co?

– Nie o to chodzi – odparła Laura. Wakacyjny romans to jedno, a perspektywa spędzenia nocy z mężczyzną z innej czasoprzestrzeni to zupełnie coś innego. Czy znalazłszy się z nim sam na sam w kajucie trzy na cztery metry, potrafi mu się oprzeć? Cóż, mało prawdopodobne. – Może gdybyś mnie nie pocałował...

– Ale cię pocałowałem, skarbie – powiedział, uśmiechając się zarozumiale. Uniósł jej dłoń do ust i całował każdy palec po kolei.

Laura musiała walczyć ze sobą, by mu jej nie wyrwać. Mogła odwrócić wzrok i na niego nie patrzeć, ale i tak podniecał ją każdy jego dotyk.

– A ty się wcale nie opierałaś – ciągnął. – Wydawało mi się, że mnie lubisz.

– Lubię – oświadczyła. – Dlatego nie mogę pozwolić...

– Och – powiedział McCoy, wyraźnie rozczarowany. – A więc niewiele się zmieniło. Kobiety takie jak ty wciąż nie mogą...

Laura poczuła, że zapłonęły jej policzki.

– Kobiety takie jak ja?

– No wiesz, dziewice. Stare panny.

– Dziewice? – spytała Laura z niedowierzaniem. – Stare panny?

McCoy się speszył.

– Staralem się być delikatny. Laura zrobiła gniewną minę.

– Cóż, masz dobrze po dwudziestce, a wciąż jesteś wolna – próbował się bronić.

– Nikt już nie nazywa niezameężnych kobiet „starymi pannami” – poinformowała go cierpko Laura – ani „dziewicami”. Nie wywołują żadnych negatywnych skojarzeń. Określa się je po prostu jako „kobiety samotne”. Dziewczyny przestały uważać, że muszą mieć męża, by ich życie stało się pełne.

– Och – powiedział McCoy – wielka szkoda.

– Wcale nie! To coś wspaniałego. Kobiety niekoniecznie muszą się ograniczać do tradycyjnej roli kapłanki domowego ogniska. Są teraz wyzwolone. I mają nieograniczone możliwości ułożenia sobie życia.

– Hmm. Cóż, przypuszczam, że skoro potrafiły opanować umiejętność pilotowania samolotów... – McCoy się zadumał.

– Ale samotnym kobietom nadal nie wypada... pomyślałem, że może w tej dziedzinie coś się zmieniło.

– Co nie wypada? – spytała Laura.

– Zabawić się – powiedział, unikając jej wzroku.

– Nikt im tego nie broni – z oburzeniem stwierdziła Laura.

– Prawdę mówiąc, bardzo dobrze, kiedy kobiecie sprawia przyjemność... zabawianie się.

McCoy odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał.

– Skarbie, nie spotkałem jeszcze kobiety, która by tego nie lubiła.

Laura próbowała nie analizować tej uwagi. Zbyt łatwo można sobie było wyobrazić, jaką przyjemność potrafił dać kobiecie. Zakosztowała już jego pocałunku.

– Dopiero niedawno wolno im się do tego przyznawać. Kiedyś było to nie do pomyślenia.

– A więc dlaczego masz jakieś zastrzeżenia?

Spojrzała na niego z oburzeniem.

– Ja?

– Czyżbyś nie lubiła...

Laura poczuła, że znów się czerwieni.

– Pewnie, że lubię.

– Ale nie chcesz, żebym spał w twojej kajucie. Wyrwała mu rękę.

– Nawet cię nie znam. Uśmiechnął się szelmowsko.

– Ależ, skarbie, znasz mnie od dawna. Jestem mężczyzną z twoich marzeń.

– Teoretycznie może tak – zgodziła się Laura. McCoy uśmiechnął się szerzej, ukazując dołeczki.

– Jestem człowiekiem z krwi i kości, skarbie. Jeśli chcesz się przekonać, możesz mnie dotknąć, gdzie tylko chcesz.

– Och, dosyć cię już... – Jak mu się udawało tak ją podniecić? – Zamierzałam powiedzieć, że nie mam żadnych wątpliwości.

– A więc o co chodzi?

– O to, że dopięto od kilku godzin znam cię jako człowieka z krwi i kości. Uśmiech McCoy'a zastąpiło zmarszczenie brwi.

– Wiesz, jak niewygodnie się śpi na tych leżakach?

– Daj mi trochę czasu na przemyślenie wszystkiego. McCoy spojrzał na zegarek.

– Skarbie, dochodzi pierwsza. Co będziemy robić przez ten czas, kiedy się będziesz zastanawiała?

Laura pomyślała, żeby wrócić na pokład – ocean, światło księżyca odbijające się w wodzie, tropikalny wietrzyk – ale doszła do wniosku, że może to zbyt ryzykowne. Potem przypomniała sobie, że do drugiej nad ranem czynna jest dyskoteka.

Nie była w nastroju do zabawy, ale uznała to za bezpieczniejsze niż stać z nim w blasku księżyca. Z udanym entuzjazmem złapała go za rękę i wstała.

– Co powiesz na prawdziwą muzykę lat dziewięćdziesiątych z tańcami?

McCoy uśmiechnął się zmysłowo.

– Prowadź, skarbie. Nigdy nie rezygnuję z tańca z piękną kobietą.

– To może się okazać trochę odmienne od tego, do czego jesteś przyzwyczajony – ostrzegła go, kiedy szli.

Wyjaśniła, co to jest dyskoteka, ale nie słuchał jej zbyt uważnie. Nie miała mu tego za złe. Gdyby to ona znalazła się na pokładzie jego okrętu, chyba nie interesowałoby jej zbytnio, jak działają radary.

Dyskoteka była na samym dole i by do niej dotrzeć, musieli zejść na niższy pokład i pokonać długi, pusty korytarz. McCoy zatrzymał się gwałtownie.

– Lauro, cokolwiek się stanie – powiedział – chcę, żebyś wiedziała, że nie jesteś kobietą, która przypadkowo znalazła się na pokładzie. Czy to w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim czy w dwutysięcznym czterdziestym trzecim, zawsze czułbym się przy tobie tak samo.

Przesunął delikatnie palcami po jej policzku i ustach. Jak można mu się oprzeć, kiedy mówi takie słodkie rzeczy i pieści ją w ten sposób? Jak można mu odmówić pomocy, skoro istnieje między nimi pokrewieństwo dusz? Jej westchnienie było oznaką kapitulacji. Usłyszał je wyraźnie.

– Och, skarbie – powiedział pośpiesznie i pocałował ją. Odpowiadała na każdą jego pieśczętę, każdy mocniejszy uścisk. Domagał się, a ona ustępowała; ona się domagała, on ją obdarzał, by potem samemu domagać się od niej jeszcze więcej. Posunęli się tak daleko, na ile pozwalała przyzwoitość.

– Może lepiej chodźmy potańczyć – powiedział, dysząc ciężko.

Laura bez słowa skinęła głową.

Ciekawe było obserwowanie jego reakcji na światła stroboskopów, błyskające w rytm dudniącej muzyki. Nie było w niej melodii, nie było słów; tylko rytm, żywy i pierwotny. Głośniki nastawiono na cały regulator, co

wykluczało wszelką rozmowę. Laura wzięła więc McCoya za rękę i wskazała parkiet.

Tańczyła nie tylko, by mu pokazać, jak to się robi. Przede wszystkim tańczyła dla niego. Naśladował każdy jej ruch. I chociaż się nie dotykali, czuli się tak, jakby się obejmowali.

Był jeszcze bardziej pociągający z twarzą zaczerwienioną z wysiłku i wzburzonymi, wilgotnymi włosami. Laura zauważyła, że kobiety rzucają w jego kierunku spojrzenia pełne podziwu, ale on nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Interesowała go tylko Laura, wiedziały o tym wszystkie obecne kobiety, a przede wszystkim ona.

Nie dziwiło jej to. Był mężczyzną z jej marzeń, mężczyzną, którego sobie zażyczyła, i kiedy wzbogacił krok, który opanował do perfekcji, pomysłowym obrotem, uśmiechając się zabójczo i czarując ją swymi dołeczkami, Laura podjęła decyzję: pozwoli mu się przespać w swojej kajucie. Zgodziła się na ten rejs, mając nadzieję na romantyczną przygodę i dobrą zabawę; wypowiedziała takie życzenie, stojąc na pokładzie i patrząc na księżyc tańczący na połyskujących falach. Jeśli McCoy został przeniesiony w czasie, aby zadośćuczynić jej życzeniu, czy mogła się sprzeciwić przeznaczeniu?

Piosenka skończyła się niespodziewanie i disc jockey w swojej budce w głębi sali zawył do mikrofonu niczym samotny kojot.

– Zabawa trwa! – oznajmił. – A teraz na specjalne życzenie państwa *karaoke*! Prosimy do mikrofonu pasażera „Morskiego Diabła” o znanej państwu twarzy i głosie!

„Król”, ten sam, który wcześniej występował na głównej imprezie, dumnym krokiem wszedł na podwyższenie. Powitały go gwizdy i oklaski gromadki uczestników zabawy.

– Niech żyje Król! – zawołał młody mężczyzna w białym garniturze, dołączyło się do niego kilka osób. Ich okrzyki zagłuszył podkład muzyczny.

Laura się ożywiła, rozpoznawszy melodię i pochyliła się na tyle blisko, by krzyknąć McCoyowi do ucha: – Wprost nie wierzę!

– Czemu?

– Patrz i słuchaj – powiedziała, a potem z przyjemnością obserwowała, jak Król kręci się, podryguje i podskakuje w rytm piosenki.

– Śpiewa o psie?

Laura skinęła głową, śmiejąc się.

– Gzy on zawsze... tak podrygiwał? – spytał McCoy.

– Uhm. Wywołał tym skandal w całym kraju.

Pod koniec „Hound Dog” rozległy się okrzyki z żądaniem bisu. Król skinął disc jockeyowi, siedzącemu w budce, który uniósł kciuk w górę i zapowiedział:

– Oto kolejny z super przebojów Króla.

– Trochę lepiej – powiedział McCoy, obejmując Laurę i wirując z nią na niewielkim parkiecie przy melodii „I Can’t Help Falling in Love With You”.

– Ten twój rock and roll jest niczego sobie, ale o wiele bardziej wolę muzykę, która pozwala mi trzymać cię w objęciach.

Laura odpowiedziała westchnieniem. Czuła się wspaniale, będąc dokładnie tu, gdzie była, tańcząc z nim w rytm starej, sentymentalnej piosenki o głupcach i miłości.

Jednak wkrótce Król ukłonił się teatralnie, żegnany wrzaskiem zachrypniętych wielbicieli, i w głośnikach zadudnił heavymetal.

– Chcesz przy tym tańczyć? – krzyknął McCoy.

Laura potrząsnęła głową i wyprowadziła go z sali na korytarz.

– Muszę złożyć wizytę w izdebce zaczarowanych drzew. Spojrzenie McCoya prześlizgnęło się po jej twarzy.

– Boję się spuścić cię z oczu.

– Uspokój się, McCoy. Niektóre rzeczy są niezmiennie, a jedną z nich są wizyty w toalecie.

Niechętnie skinął głową, a potem zmusił się do uśmiechu.

– Tylko się pośpiesz, dobrze?

Która kobieta nie wróciłaby prędko, kiedy mężczyzna tak się do niej uśmiecha? – pomyślała Laura. Która mogłaby się oprzeć tym dołączkom, temu spojrzeniu pełnemu uwielbienia? Która kobieta potrafiłaby odmówić mężczyźnie ze swych snów?

Zmagła się z fałdzistą spódnicą i zatraskami przy trykocie, kiedy usłyszała, jak otwierają się drzwi do toalety i ktoś wchodzi do środka. Były to przynajmniej dwie kobiety, rozmawiały z ożywieniem i chichotały. Laura uśmiechnęła się, wygładzając warstwy szyfonu. Najwyraźniej nie tylko ona dobrze się dziś wieczorem bawiła.

Jedna z kobiet powiedziała:

– Widziałas na parkiecie McCoya?

Laurze najpierw zrobiło się gorąco, a później oblał ją zimny pot. Bała się, że za chwilę nogi odmówią jej posłuszeństwa. Rozmawiały o McCoyu, jakby go znały – i to bardzo dobrze.

– Tak, tańczył rocka – odezwał się drugi damski głos.

– Playboy McCoy znów w akcji.

Laura stała bez ruchu, a to, co słyszała, rozdzierało jej serce. Playboy McCoy?

– Chyba nie masz na myśli... – odezwał się pierwszy głos, przybierając dziwny ton, jakby rozmówczyni próbowała hamować śmiech.

– Nie mów tego – ostrzegł drugi głos.

– Podrywacz – powiedział pierwszy głos, oddzielając sylaby.

– McCoy by ci dał, gdyby cię usłyszał.

Laura nie mogła tego dłużej znieść. Postanowiła, że nie będzie kryła się w toalecie i podsłuchiwała. Bez względu na to, jak okrutna może okazać się prawda o jej wyśnionym mężczyźnie, musi się wszystkiego dowiedzieć.

Oczywiście zawsze mogła go zabić. Broniłby ją najlepszy adwokat od spraw kryminalnych w kraju, utrzymywałaby, że ogarnęła ją chwilowa niepoczytalność, chociaż byłby to klasyczny przykład usprawiedliwionego zabójstwa w afekcie.

Zamierzała pozwolić mu przespać się w swojej kajucie. Myślała o spędzeniu z nim nocy!

Wyprostowała się, uniosła wysoko głowę i otworzyła drzwi kabiny.

– Proszę mi wybaczyć... – zwróciła się do kobiet.

Spojrzały na nią jednocześnie. Obie były w kostiumach. Laura zwróciła na nie uwagę już na maskaradzie. Jedna była ubrana w dziewiętnastowieczną suknię i czepek wiązany pod brodą. Wcześniej trzymała tablicę z hasłem „PRECZ Z DIABELSKIM RUMEM”. Druga z kobiet, szczupła Murzynka, miała na sobie koktajlową sukienkę wyszywaną czerwonymi cekinami, jakie były modne w latach trzydziestych.

Zmieszały się, rozpoznając w niej kobietę, z którą tańczył McCoy.

– ...ale usłyszałam przypadkiem nazwisko McCoy – powiedziała Laura.

Wymieniły zakłopotane spojrzenia. Potem, z trudem hamując śmiech, czarnoskóra dziewczyna uniosła wzrok do góry i wykrzyknęła:

– O, rety!

Laura zebrała resztkę godności.

– Jak to się mówi, wyszło sztydło z worka. Dlaczego nagle zrobiliście się takie małowmowne? Chcę się dowiedzieć wszystkiego o McCoyu i nie ruszę się stąd, póki nie uzyskam informacji.

Laura wiedziała, że mogą nazwać ją zbyt obcesową i zwyczajnie wyjść, ale miała nadzieję, że nie odmówią jej wyjaśnień.

– Jak kobieta z kobietą – dodała z nadzieją. Zwolenniczka abstynencji westchnęła głęboko. Była wysoka, nad czołem piętrzyła jej się burza rudobrazowych loków, na nosie miała piegi.

– Chyba możemy jej powiedzieć – zwróciła się do przyjaciółki.

Czarnoskóra dziewczyna skinęła przyzwalająco głową. – Jest naszym profesorem.

– Profesorem? – Laura spodziewała się wszystkiego, tylko nie tego.

– Tak. Jest asystentem na wydziale historii. Prawdopodobnie zostanie kierownikiem katedry, kiedy obecny szef odejdzie na emeryturę – odparła czarnoskóra dziewczyna.

– Czyli nie jest marynarzem – powiedziała Laura z zadumą. – Ale ten mundur...

Na co liczył McCoy, wmawiając jej, że został przeniesiony w czasie?

Laura zmarszczyła czoło. Jakby nie wiedziała! Miała zamiar zaprosić do swej kajuty podstępnego, chytrego uwodziciela. Boże, jak bardzo kobieta może stracić głowę!

– McCoy zawsze wkłada ten mundur, kiedy wyjeżdżamy.

– Zawsze? – powtórzyła Laura, nie rozumiejąc.

– Podczas zajęć z żywej historii – powiedziała przeciwniczka alkoholu.

– Żywej historii?

– Przebieramy się za różne postacie z naszej historii i rozmawiamy z ludźmi o tym, jak wyglądało dawniej życie. Zazwyczaj udajemy się do szkół, ale czasami urządzamy festyn lub jarmark.

– Byłyśmy pewne, że jesteś tu razem z McCoyem – powiedziała rudowłosa. – Dziwiłyśmy się, że nie pokazał się z tobą o wpół do dwunastej.

– Wcale nie – zaprzeczyła czarnoskóra dziewczyna, uśmiechając się niewinnie.

Ruda roześmiała się dobrotliwie.

– To prawda. Nie dziwiłyśmy się. Po prostu przyjęłyśmy, że McCoy jest... jest zajęty czymś innym.

– Byliśmy na pokładzie i podziwialiśmy gwiazdy – powiedziała Laura. I McCoy kłamał jak z nut! – Co skłoniło was do udziału w tym rejsie?

– Jakaś znajoma McCoya załatwiła nam bilety za pół ceny w zamian za udział w naszej zabawie. Jesteśmy wszyscy na ostatnim roku i ten rejs to coś w rodzaju próbnego balu absolwentów. Nieoficjalna podróż przed uzyskaniem dyplomów. Nasi rodzice przychylniej przyjęli ten pomysł, kiedy się dowiedzieli, że będzie z nami profesor.

– Nawet... Playboy McCoy?

– To tylko głupie przezwisko – powiedziała czarnoskóra dziewczyna. – Znasz studentów. Jest kawalerem i zawsze kręci się koło niego jakaś kobieta. Poza tym się rymuje.

– Zauważyłam.

– W przeciwieństwie do drugiego przezwiska – powiedziała zwolenniczka abstynencji.

Czarnoskóra dziewczyna popatrzyła na przyjaciółkę ostrzegawczo.

– Jesteś dzisiaj okropna.

– Niektórzy studenci przezywają go Podrywacz McCoy. Częściowo dlatego, że jest taki przystojny, a częściowo z uwagi na cykl prowadzonych przez niego wykładów. Seks w ciągu wieków.

– To najpopularniejsze wykłady na uczelni – wyjaśniła czarnoskóra dziewczyna.

– Rozumiem – powiedziała Laura. Och, jak świetnie rozumiała!

– Błagam, nie wydaj nas, że powiedziałyśmy ci o tym przezwisku – poprosiła Murzynka. – Nie przeszkadza mu Playboy, ale nie znosi, jak się go

nazywa Podrywaczem.

– To będzie nasza mała tajemnica – obiecała Laura z ponurą miną.

– Świetnie – powiedziała z wyraźną ulgą czarnoskóra dziewczyna.

– Dlaczego przebiera się za marynarza? – spytała Laura.

– Mundur jest autentyczny – wyjaśniła rudowłosa. – Należał do jego dziadka.

– Nic dziwnego, że wygląda jak prawdziwy – powiedziała Laura. – A wy kogo udajecie?

– Carry Nation, działaczka społeczna, bardzo mi miło – przedstawiła się rudowłosa dziewczyna, kłaniając się grzecznie.

– Jestem przeciwniczką alkoholu i walczę o równouprawnienie kobiet.

– A ty? – spytała Laura, patrząc na Murzynkę.

– Mae Washington, śpiewaczka bluesowa z Cotton Club w Harlemie, gdzie czarni mogą zabawiać najbogatszych mieszkańców Nowego Jorku, ale muszą korzystać z tylnych drzwi. – Uśmiechnęła się ironicznie. – Czasami udaję Harriet Tubman, ale pomyślałam, że na statku wycieczkowym bardziej na miejscu będzie Mae.

– Poza tym musisz śpiewać z zespołem – przypomniała jej Carry Nation.

– O, tak – powiedziała Murzynka. – Grając, jak zwykle, drugie skrzypce przy Królu.

– Ten naśladowca Elvisa też jest z waszej grupy? – spytała zdumiona Laura.

– Elvis i Mark Twain – odparła Carry Nation.

Laura odwróciła się do lustra, nastroszyła perukę, poprawiła motyla, który zwisał, jakby napił się ponczu rumowego, i poprawiła makijaż. Uśmiechnęła się do studentek.

– Lepiej już pójdę. Nie chcę, żeby Podrywacz za długo czekał.

– Nie jesteś... wściekła na niego, co? – spytała rudowłosa.

– Z powodu tego, co o nim powiedziałyśmy?

– Wściekła? – Laura zmusiła się do uśmiechu. – Ależ skądże! Dziękuję, że mi zaufałyście.

Dziewczyna tylko krzyknęła „klawo!” i wytarła czoło. Miało to znaczyć: Co za ulga. McCoy to miły facet. Nie chciałabym mu popsuć szyków.

Uśmiech Laury nie mógł być słodszy.

– Nie myślcie już o tym. Wszystko będzie w porządku.

Mówiła szczerze. Ostatecznie zamierzała zaprosić McCoya do swej kajuty i wykorzystać całą swą inteligencję i wszystkie kobiece sztuczki, jakie знаła, by McCoy przeżył niezapomnianą noc.

Miała tylko nadzieję, że kiedy skończy z Playboyem McCoyem, nie będzie musiała korzystać z usług swego ojca adwokata.

ROZDZIAŁ 4

Czekał tam, gdzie go zostawiła, opierając się niedbale o framugę drzwi, zabójczo przystojny w mundurze i białej czapce na głowie. Dostrzegł ją i obserwował, jak szła w jego kierunku.

Ahoj, McCoy, dobre sobie! Przeniesiony w czasie z innego okrętu! Jedyne, co było bardziej imponujące od jego tupetu, to jej naiwność!

Uśmiechnął się i na widok jego dołeczków chętnie by krzyknęła: Och, McCoy, dlaczego mnie okłamałeś?

Dała się nabrać. Mało brakowało, a przespałaby się z nim, choć poznali się zaledwie kilka godzin temu.

Cóż, ona też miała tupet i potrafiła być podstępna. Niewykluczone, że znajdzie się w jej łóżku – ale nie tak, jak to sobie wyobraża! Podrywacz McCoy na własnej skórze poczuje sens przysłowia: „Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie”.

Laura zmusiła się do uśmiechu, ujęła go pod ramię, cmoknęła w policzek i szepnęła:

– Myślę, że starczy już tych tańców na jeden wieczór?

– Co chcesz przez to powiedzieć, skarbie?

Laura miała ochotę wydrapać mu te roześmiane oczy. Zrobić coś z tymi rozkosznymi dołeczkami. Nieprawda. Oszukiwała samą siebie. Pragnęła, by wróciły te czarowne chwile, kiedy wierzyła, że jest jej ucieleśnionym życzeniem.

– Już późno – stwierdziła. – Może poszlibyśmy do mnie?.

– My?

– Jak słusznie zauważyłeś, sama cię tu sprowadziłam. Nie mogę pozwolić, byś spał na leżaku.

Przesunął pieszczotliwie dłońmi po jej ramionach.

Tokujący głuszec! – pomyślała Laura. Dlaczego wcześniej nie zauważyła jego filisterskiego i próżnego uśmiechu? A raczej dlaczego jej to nie przeszkadzało? I jakim prawem jest tak cholernie przystojny, że aż zapomniała o czymś tak podstawowym jak instynkt samozachowawczy? Poczekaj, McCoy. Będiesz mnie jeszcze błagał o litość. Będiesz gorzko żałował, że nie istnieje ów okręt, na który mógłbyś czmychnąć.

– Tędy – powiedziała Laura, skręcając gwałtownie, i pobięła przed nim, szeleszcząc tiulowymi liśćmi. Zielone, sztuczne loki podskakiwały jej na głowie, motyle chwiały się wokół twarzy.

McCoy podążał za nią sprężystym krokiem człowieka, do którego uśmiechnęło się szczęście. Raj znajdował się na drugim końcu statku, dzieliło go od niego zaledwie dziesięć minut drogi.

Kajuta Laury przypominała jego własną: pod ścianami znajdowały się wąskie koje, na środku zostawiono tak mało wolnego miejsca, że trudno się było obrócić. Naprzeciw wejścia wbudowana była maleńka szafa. Przez uchylone drzwi do łazienki widać było lustro i umywalkę, a na półce damskie kosmetyki.

Niewielkie rozmiary kajuty automatycznie narzucały nastrój intymności. Szelest kostiumu, zapach perfum, bijące od niej ciepło drażniły jego i tak już rozbudzone zmysły. Laura przysiadła na skraju łóżka i odwiązała sznurówkę pantofelka. Wolno rozplątała tasiemki, krzyżujące się na łydce, zdjęła baletkę, po czym wsunęła do niej sznurówki.

McCoy patrzył jak zahipnotyzowany na jej wdzięczne ruchy. Odstawiła baletki na podłogę i westchnąwszy głęboko, wsparła się na łokciach, uniosła nogi i zaczęła poruszać stopami.

– Uwielbiam tę chwilę, kiedy wieczorem mogę zdjąć buty. A ty?

Głos miała słodki jak miód kapiący z plastra, w ogóle była jedną wielką słodyczą. Gdyby na łóżku było choć trochę więcej miejsca, McCoy jednym susem znalazłby się obok Laury. Ale wszelkie akrobatyczne sztuczki groziły, że oboje skręcą sobie kark. Oto, do jakich wyrzeczeń zmuszony jest człowiek, odbywający rejs luksusowym statkiem wycieczkowym.

Zrobił dwa kroki w jej stronę, ale kiedy zamierzał usiąść, powstrzymała go.

– Nie tu, mój marynarzu. Tam. Wskazała drugą koję.

– Ale... – powiedział, cofając się nieco.

– To nie najlepszy pomysł, żebyśmy... no wiesz. McCoy uniósł brew.

– Żebyśmy co?

Laura wstała i zaczęła się mocować z zapięciami żakietu obszytego liśćmi.

– Właściwie to nie twoje miejsce. Mam na myśli dzisiejsze czasy. Nie wiadomo, z jakimi siłami mamy do czynienia. Jeśli... jeśli damy się ponieść emocjom, kto wie, co się stanie.

McCoy zaśmiał się cicho.

– Zgadzam się.

– Coś strasznego.

– Skarbie, zgadzam się, że to straszne spędzić noc w tej małej kajucie, słuchając twego oddechu i nie móc cię dotknąć.

Wyciągnął ręce, ale się cofnęła. Zsunęła żakiet z ramion i rzuciła go na łóżko. Serce McCoya zabiło mocniej. Trykot opinał jej piersi niczym srebrzysta skóra.

– Naprawdę nie powinniśmy kusić losu – powiedziała.

– Przecież znalazłem się tu za jego zrządzeniem – próbował argumentować.

– Być może, ale byliśmy wtedy w Trójkącie Bermudzkim.

– Zajeła się troczkami u spódnicy.

– I co z tego?

Spojrzała na niego.

– Kiedy dopłyniemy do Nassau, opuścimy obszar Trójkąta. Równie dobrze możesz wtedy... – Pstryknęła palcami w powietrzu. – Trzask-prask! Zniknąć.

Spódnica zsuwała się wolno z bioder. Laura podniosła ją i cisnęła na łóżko. Szyfon popłynął w powietrzu niczym barwny spadochron i opadł na żakiet.

– Skarbie, nigdzie się nie wybieram – zapewnił ją. Nie teraz, kiedy rajstopy i trykot mogły równie dobrze być warstewką farby rozprowadzonej na jej ciele.

Gdy tym razem cofnęła się o krok, dotknęła plecami drzwi szafy. McCoy położył jedną dłoń na jej ramieniu, drugą objął Laurę w pasie i zbliżył usta, chcąc ją pocałować. W ostatniej chwili odwróciła głowę.

– Jak to? – zaprotestował McCoy. – Nawet mnie nie pocałujesz?

– To by tylko skomplikowało i tak trudną sytuację, McCoy. Bardzo mi się podobaś. – Uśmiechnęła się do niego słodko, ale po chwili przybrała śmiertelnie poważną minę. – Gdy mnie całujesz, zakłócasz moje procesy myślowe.

– Skarbie, pocałunek powinien zakłócać procesy myślowe człowieka.

– Ale mamy do rozważenia poważny problem – wyjaśniła Laura. – Kiedy byłam w toalecie, wszystko sobie uświadomiłam. Jesteśmy w niezwykłym położeniu. Mówisz, że nigdzie się nie wybierasz, ale nie wiesz tego na pewno. Nie spodziewałeś się, że się tu znajdziesz, i co? Na dobrą sprawę w każdej chwili możesz się przenieść gdzie indziej, a jeśli... w jakiś sposób będziemy ze sobą złączeni, możesz mnie pociągnąć za sobą.

– Złączeni?

Laura kokieteryjnie wzruszyła ramionami.

– Gdybyśmy... no wiesz...

– Domyślam się, o co ci chodzi – mruknął McCoy.

– To zrozumiałe – powiedziała Laura – że nie mogłam cię zostawić na leżaku na pokładzie, ale to nie oznacza, że mamy się narażać na ryzyko.

– Ależ, skarbie...

– Drugie łóżko. To moja propozycja. Decyduj się.

– Jak sobie życzysz – odparł chmurnie McCoy. Dziewczyna najwyraźniej miała nie po kolei w głowie, ale postanowił zrobić dobrą minę do złej gry – zresztą, co mu pozostawało?

Laura nabrała głęboko powietrza.

– Dobrze – stwierdziła rzeczowo i szorstko. – Ponieważ zejdziesz mi w łazience trochę dłużej, może pójdziesz się umyć pierwszy?

– Jak sobie życzysz, skarbie. Ty tu decydujesz. Mam nadzieję, że dysponują odpowiednią ilością zimnej wody.

Laura z irytacją potrząsnęła głową.

– Naprawdę nie powinieneś ciągnąć tego tematu. Tylko pogarszasz sytuację. Spróbuj pomyśleć o czymś innym.

– Dobrze – sarkastycznie burknął McCoy, bezczelnie mierząc ją od stóp do głów.

– Nie wiesz, ile czasu jest ci sądzone tu spędzić, powinieneś go jak najlepiej wykorzystać – poradziła mu. – Możemy porozmawiać o postępie technicznym od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku.

– O postępie technicznym? – Czyżby mówiła serio? Wystarczyło jedno spojrzenie, by się w tym utwierdzić. Była najzupełniej poważna, i przejęta.

– Technika pomoże ci przestać myśleć o seksie – powiedziała, otwierając drzwi szafy.

– Mhm – sceptycznie mruknął McCoy.

– Gdzie ja...? – Zniknęła do pasa w szafie, wypinając zgrabny tyłeczek. Wyglądał tak kusząco, że McCoya aż śwędziły ręce, by go poklepać.

Wyprostowała się i uśmiechnęła radośnie, wręczając mu jakiś mały przedmiot.

– Masz szczęście. Znalazłam zapasową szczoteczkę do zębów.

– Dzięki.

– Może cię zainteresować sposób, w jaki została zapakowana – ciągnęła Laura. – Nazywa się to opakowanie z folii samokurczliwej. Ten przezroczysty materiał to tworzywo syntetyczne, tak zwany plastik. Rozciąga się pod wpływem ciepła. Ogrzewają go i zawijają w niego wyroby. Ta technologia pozwala na zapakowanie dwóch przedmiotów tak, że tworzą zgrabną paczuszkę.

Podając mu szczoteczkę do zębów i miniaturową tubkę pasty, nie cofnęła natychmiast ręki, a jej spojrzenie świadczyło, że kpi sobie z własnego postanowienia, aby zachować między nimi dystans.

– Folia samokurczliwa – powtórzył McCoy ze ściśniętym gardłem.

– Właśnie – bąknęła, a zabrzmiało to jak pomruk zmysłowej rozkoszy. Ich ręce wciąż się stykały. Sztuczne włosy peruki łaskotały go w ramię.

McCoy chwycił Laurę za rękę i przygarnął do siebie, pragnąc poczuć jej ciało. Biło od niej ciepło, kobiece i zmysłowe, a także zapach drogich perfum.

– Czy to jeden z przykładów postępu technicznego, o którym wspominałaś? – spytał McCoy. – Technologii, która ma oderwać moje myśli od spraw seksu?

Skinęła głową bez słowa. Roześmiał się.

– Nie zdaje egzaminu, skarbie.

Odwróciła się od niego, wyrywając mu rękę.

– To śmieszne! – wykrzyknął. Postanowił wszystko wyjaśnić, i to zaraz.

Na pewno będzie wściekła, co całkiem zrozumiałe, ale przynajmniej przestanie się martwić, że McCoy przeniesie się gdzieś w czasie i zabierze ją z sobą.

Kiedy po raz pierwszy uświadomił sobie, że dała się nabrać na jego bajeczkę o „Ahoj, McCoy”, zdziwił się. Powinien od razu wtedy odkryć karty. Zrobiłby to... gdyby tak skwapliwie nie uwierzyła, że jest uosobieniem jej marzeń i nie polectała tym jego męskiej próżności. Sposób, w jaki na niego patrzyła, sprawił, że sam pragnął w to wierzyć.

I dlatego pozwolił jej się łudzić, że sprowadziła go myślami!

– Lauro... – Wyciągnął rękę, ale się cofnęła.

– Już późno – powiedziała. – Proszę, idź się umyć. Chciałabym trochę побыć w łóżku, zanim zadzwoni budzik.

Nie ty jedna, pomyślał McCoy. Najwyraźniej nie był to najlepszy moment na wyjawienie, że zaszła drobna mistyfikacja.

Laura zaczekała, aż McCoy zamknie za sobą dokładnie drzwi do łazienki. Dopiero wtedy zdjęła kostium i wyjęła atlasowy strój nocny, obsyty koronką.

Układała delikatną bieliznę na różne sposoby, póki nie doszła do wniosku, że wygląda tak, jakby niedbale rzuciła ją na łóżko. Kusząco odwinęła koc i nastroszyła poduszkę. Rozpyliła w powietrzu perfumy, a potem usiadła na skraju łóżka i skrzyżowała nogi. Czekając na McCoya, przeglądała czasopismo.

Za chwilę miał się rozpocząć drugi akt zemsty.

McCoy, owinąwszy się ręcznikiem, spoglądał na swoje odbicie w lustrze, zastanawiając się, czy powinien poszukać maszynki jednorazowej i ogolić ciemny zarost na policzkach. Zdecydował, że lepiej nie. Niektóre kobiety to podnieca.

Kropla wody spadła na brzeg dziadkowego identyfikatora. Sięgnął po ręcznik, by ją wytrzeć, ale się rozmyślił. Zwilżył dłonie pod kranem i skropił wodą tors. Skoro ma udawać „brutala”, czemu nie iść na całość?

Kiedy wszedł do kajuty, Laura siedziała na łóżku i czytała. Odłożyła czasopismo i wolno wstała, jej niewinny uśmiech kłócił się z łakomym spojrzeniem, jakim obrzuciła jego po – stać, owiniętą ręcznikiem.

Skinęła głową w stronę łóżka, które mu przydzieliła.

– Możesz... możesz się położyć, kiedy będę w łazience. McCoy obdarzył ją swym najbardziej uwodzicielskim uśmiechem.

– Dobrze, skarbie.

Zagarnęła pomarańczową bieliznę tak niezgrabnie, że majteczki spadły na podłogę. Chichocząc, co można było wziąć za objaw zdenerwowania, wykrzyknęła:

– Ale ze mnie gapa!

Przykucnęła, by je podnieść, a potem wstała wolno, ani na moment nie spuszczać wzroku z ręcznika, którym się owinął. W końcu się wyprostowała.

Spojrzała na majteczki. Były uszyte z pomarańczowego atłasu i koronki.

– Może cię zainteresować ten materiał.

– Tak? – powiedział, zastanawiając się, co tu, u diabła, jest grane. Musiała wiedzieć, co robi, patrząc na niego w ten sposób, zagryzając dolną wargę, pokazując mu intymne części garderoby.

– To syntetyk, jak nylon, ale trwalszy. Widzisz? McCoy gapił się na majteczki.

– No, dalej – zachęcała go. – Dotknij.

– Słucham? – spytał głupio McCoy. Nie może tego mówić serio – Dotknij – powtórzyła. – Przesuń materiał między palcami. Jest jedwabisty.

McCoy wyobraził sobie dotyk chłodnego atłasu.

– Koronka się rozciąga. Sprawdź.

– Nie chcę...

– Śmiało. Rozciągnij ją. Widzisz? Niesamowicie przylega. Bez żadnych gumek, bez guzików i zapięć. Czy to nie cud techniki?

– Techniki?

– Takie niesamowite tworzywo sztuczne – powiedziała, – Owszem – zgodził się McCoy. – Niesamowite. Laura wyrwała mu majteczki z ręki.

– Daje dużo do myślenia, prawda? Mam na myśli postęp techniczny.

Zanim zdołał odpowiedzieć, zniknęła za drzwiami łazienki. Zduśiła okrzyk radości i powtórzyła bezgłośnie:

– Tak! Tak! Tak!

W tym czasie McCoy, poruszając się z wdziękiem i szybkością niedźwiedzia, odrzucił koc, odwinął ręcznik, który tak zafascynował Laurę, wskoczył do łóżka i przykrył się do pasa.

Pościel była chłodna, materac cienki, poduszka twarda, ale doszedł do wniosku, że nie zakłóci mu to snu bardziej niż świadomość, że Laura Randolph leży na wyciągnięcie ręki. Czy to złudzenie, czy też w pokoju unosił się jej zapach?

Minęło dziesięć minut. Odgłos płynącej wody przyprawiał go o katusze, kiedy przypomniał sobie Laurę w obcisłym trykocie i uzmysłowił, że znajduje się parę metrów od niego, nagusienka i ociekająca wodą. Minęło jeszcze pięć minut i szum wody ustał. Czy te delikatne stukania to odgłosy uderzania łokciami o ściany malutkiej łazienki podczas wycierania?

McCoy poruszył się na łóżku. Jak, do diabła, wpakował się w taką kabałę? A co ważniejsze, jak się z niej wyplącze?

W łazience zaszumiała suszarka. McCoy wyciągnął się na łóżku, ręce podłożył pod głowę i zaczął się zastanawiać nad swym położeniem. Będzie musiał jej wszystko wyjawić, ale bardzo ostrożnie. Musi jej powiedzieć prawdę, nie wywołując uczucia zażenowania, iż uwierzyła w tę historyjkę.

Nie ulegało wątpliwości, że sytuacja wymagała finezji.

Jednego był pewien: nie zamierzał spędzić całej nocy sam na tym niewygodnym łóżku.

Otworzyły się drzwi do łazienki, buchnął z niej obłok wonnej pary, z którego wynurzyła się Laura spowita w pomarańczowy atłas. Szlafroczek, związany w pasie, ledwo sięgał połowy ud. Pod nim dostrzegł zarysy krótkiej koszulki.

McCoy zmusił się do leżenia bez ruchu, obserwując sposób, w jaki materiał załamywał się na krągłościach Laury. Powstrzymał jęk, patrząc na zarys piersi dziewczyny, potem przesunął wzrok na jej nogi. Nie rozczarował się. Zobaczył to, co sobie wyobrażał, kiedy ją wcześniej obserwował w prześwitującej spódnicy – gładkie, zgrabne, olśniewające nogi.

– No, marynarzu – powiedziała nerwowo – już nie jestem zielona. Zdałam egzamin?

Uniósł wzrok. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, nim zatopił wzrok w jej twarzy. Rysy pozostały takie same – delikatne i śliczne. Włosy, ciemnoblond, sięgały do ramion, otaczając twarz falami.

Miała pomalowane tylko usta – czymś przezroczystym, błyszczącym; czymś, co sprawiało, że pragnął je całować.

– Czy zdałaś egzamin? – powtórzył McCoy. – Skarbie, jesteś ideałem urody.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zostawię w łazience światło i lekko uchylone drzwi? – spytała. – Zawsze się trochę denerwuję, kiedy śpię poza domem.

– Nie krepuj się – odparł McCoy. – Nie przeszkadza mi światło.

– Przypuszczam, że przywykłeś do światła, hałas i obecności innych ludzi. Mam na myśli okręt. Tylu tam marynarzy.

– Mhm – mruknął McCoy.

Z wdziękiem podeszła do drzwi łazienki i trochę je uchylła.

– Można już zgasić lampkę nocną? – Kiedy się pochyliła do wyłącznika, szlafroczek zsunął się jej z ramienia, ukazując nagie ciało. Pełna zażenowania poprawiła materiał.

Oboje roześmieli się nerwowo.

Laura przykucnęła obok jego łóżka niespodziewanie, wzięła jego identyfikator i odczytała, co było na nim napisane.

– Grupa krwi A plus.

McCoy skinął głową i złapał ją za rękę.

– Skarbie...

– Możesz mnie pocałować jeden raz – powiedziała. – Na dobranoc.

Z całej siły powstrzymywał się, by nie wciągnąć jej do łóżka. Honor mu nie pozwalał wsunąć rąk pod jej koszulkę i dotknąć jedwabistej skóry na ramionach. Kiedy wypuścił ją z objęć, był zamroczony.

Jej ciepłe dłonie wciąż spoczywały na jego piersi. Była piękna, delikatna i taka ponętna. Zamknęła oczy i westchnęła rozmarzona.

– Lauro... – powiedział.

– Dobranoc, McCoy.

Srebrne światło z łazienki padło na jej postać, kiedy podeszła do swojego łóżka i zdjęła szlafroczek. Na ten widok McCoyowi zaschło w gardle. Koszulka ledwo zakrywała jej pupę, nagle przypomniał sobie wyraźnie gładkość majteczek, i które wcześniej wcisnęła mu w rękę.

„Przylega bez żadnych gumek” – powiedziała o elastycznej koronce i w wyobraźni ujrzał te wspaniałe wypukłości, opięte przez rozciągliwą koronkę.

Wsunęła się między prześcieradła i ułożyła wygodnie.

– Wiesz co, McCoy? – spytała. Jej szept zabrzmiał w panującej ciszy niezwykle głośno.

– Słucham, skarbie?

– Miło dla odmiany spotkać mężczyznę, który szanuje kobiety. Dzisiejsi panowie... – Westchnęła.

McCoy wyciągnął rękę spod głowy i przewrócił się na bok, by móc na nią patrzeć. Leżała plecami do niego, McCoy pragnął dotknąć jej gołych ramion i pocałować w kark.

Wybrała sobie wspaniały moment, by mówić o szacunku. Nie pamiętał, kiedy goręcej pragnął jakiegokolwiek kobiety, a z drugiej strony czuł, że żadna kobieta nie była bardziej niedostępna. Jutro wszystko wyprostuje, ale dzisiaj...

Westchnął. Dzisiaj musi mu wystarczyć patrzenie, jak Laura śpi. A raczej jak próbuje usnąć. Co chwila poruszała się lub wydawała jakiś odgłos, który przykuwał całą jego uwagę. Westchnienie, cichy jęk – wszystko to drażniło jego zmysły.

W końcu uniosła się, walnęła w poduszkę i znów się położyła.

– Nie możesz usnąć, skarbie? – spytał.

– To dlatego, że nie jestem u siebie i... przez te myśli.

– Aha – mruknął McCoy. Tak, wiedział coś niecoś o tych myślach.

Minęło kilka minut. Na próżno próbował drzemać, każde jej poruszenie wywoływało w nim dreszcz.

– McCoy? – rozległ się jej głośny szept.

– Słucham, skarbie?

– Boisz się?

Doznawał teraz różnych uczuć, ale strach nie był jednym z nich.

– Czy się boję?

– Gdyby mnie przytrafiło się to, co tobie, czułabym się bardzo samotna.

McCoy nie odpowiedział.

– Myślę, że chciałabym, żeby mnie ktoś przytulił. Słuchał w milczeniu, zastanawiając się, co powinien zrobić. Nie chciałby Wykorzystać jej hojnej

natury.

– Chyba nie stałoby się nic złego, gdybyśmy... się przy – tulili.

– Jesteś pewna, skarbie?

– Uważam to niemal za swój obowiązek. McCoy usiadł i spuścił nogi na podłogę.

– Musisz się owinać ręcznikiem – powiedziała. Skinął głową. Laura podparła się na łokciu.

– Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że popatrzę? McCoy zamarł w bezruchu.

– Jeśli chcesz, mogę zamknąć oczy – powiedziała Laura.

– Ale zdążyłam się już zorientować, że masz ładne bułeczki, więc gdybyś się po prostu odwrócił tyłem....

– Bułeczki?

– Och, zdaje się, że to nowe słowo. Znaczy tyle, co pośladki.

– Chcesz popatrzeć na moje bułeczki?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Oczywiście mogę zamknąć...

– Skarbie, możesz wytrzeszczać te swoje patrzałki i podziwiać moje pośladki do upojenia. – Stał tyłem do niej i przez chwilę się nie ruszał. Wiedząc, że Laura patrzy na niego, poczuł się bardzo dziwnie. Pośladki go piekły, jakby stanął za blisko ognia, i był bardzo zadowolony, że Laura nie widzi, jaki efekt wywołała jej bezczelna obserwacja.

Złapał ręcznik i owinał się nim.

– No więc jak, skarbie – spytał, odwracając się – czy moje bułeczki zdały egzamin?

– Okazały się jeszcze lepsze, niż sobie wyobrażałam – powiedziała, przeciągając się rozkosznie. Patrząc na nią, bał się, że ręcznik jest w niebezpieczeństwie. – Och, i nie zapomnij wziąć swojej poduszki.

Złapał poduszkę, a Laura przekręciła się na bok.

– Przykryj się tylko kocem i narzutą – powiedziała. A więc ma ich odgradzać prześcieradło.

– Jak sobie życzysz, skarbie.

Położył się obok niej i wyciągnął rękę. Uniosła głowę, a następnie wtuliła ją w zagłębienie łokcia. Jej włosy pachniały kobieco i podniecająco. Zmieniła pozycję tak, że przylgnęła do niego całym ciałem. Nawet przez prześcieradło promieniowało od niej ciepło.

Westchnęła i położyła mu dłoń na piersiach. – Jak przyjemnie – mruknęła.

– Mhm – zgodził się McCoy.

– Mam nadzieję, że to pomoże. – Pomoże?

– Na tę samotność – wyjaśniła, – Wywołaną... no wiesz... podróżą w czasie.

– Mhm.

Jej oddech łaskotał go w pierś.

– To naprawdę wstyd.

– Co takiego? – Jak na osobę, która chciała się trochę przespać, zanim zadzwoni budzik, nagle zrobiła się dziwnie rozmowna.

– Że tak musi być. – Przytuliła się bliżej i ziewnęła. – Masz takie fajne bułeczki. Miło byłoby ich dotknąć.

– Nikt ci nie broni, skarbie.

– Nie, nie, nie mogę.

– Ależ możesz. – Pocałował ją w czubek głowy.

– Sądzę, że to nie najlepszy pomysł – powiedziała i przekreśliła się na bok, tak że leżała teraz plecami do niego.

McCoy uniósł głowę i pocałował ją w nagie ramię.

– Wydaje mi się, że to świetny pomysł.

– To jeszcze pogorszy sytuację. A i tak mamy twarde orzech do zgryzienia. – Zaczęła się wiercić, dotyk jej ciała przez prześcieradło był jak najgorsza tortura.

– Jestem twarde jak skała Gibraltaru – wymamrotał.

– Takie gadanie niczego nie ułatwi, McCoy. – Znów się przekreśliła, tym razem położyła mu rękę na piersi, a nogę przerzuciła przez jego nogę.

McCoy przytulił ją mocniej i pocałował namiętnie. Kiedy w końcu się od niej oderwał, wyznał:

– To nieludzkie, skarbie.

– Ale ryzyko... Nie możemy kusić losu.

– Przecież znalazłem się tu za jego zrządzeniem.

– A co jeśli...

– Za dużo mówisz – przerwał jej. Znów próbował ją pocałować, ale odepchnęła go.

– A jeśli znajdę w ciąży?

– Nie stosujesz... – O mało nie zapytał, czy nie używa jakiś środków antykoncepcyjnych, ale ugryzł się w język. – Skarbie, można tego uniknąć. Zaufaj mi. Mam w portfelu prezerwatywę.

– Nie zawsze są skuteczne – rzuciła jednym tchem.

– Ejże, moja droga, to część wyposażenia marynarki amerykańskiej. Marynarka nie przyjęłaby niepełnowartościowych wyrobów.

– Ma teraz pięćdziesiąt lat – zauważyła. – Skąd możemy mieć pewność, że się nie zestarzała, podróżując w czasie.

– Ja się nie zestarzałem – powiedział. – Ani mój mundur.

– Ale guma nie jest taka trwała jak wełna czy ludzkie ciało. Mogła sparcieć.

– Nie sparciała – powiedział, całując ją w kark. – Zaufaj mi.

– Dobre sobie! – zawołała Laura, z całej siły odpychając go rękami i nogami.

McCoy, kompletnie zaskoczony, wyleciał w górę, a potem upadł ciężko na podłogę.

ROZDZIAŁ 5

– Co u...? – stęknął McCoy.

– Ufać ci! – wykrzyknęła Laura, patrząc na niego. – Nie powierzyłabym, ci nawet podlewania kaktusów, panie przeniesiony tu z innej czasoprzestrzeni!

– Wiesz wszystko?

– Tak! – syknęła. Patrzyła na niego płonącym wzrokiem. – I możesz poprawić ten ręcznik, bo nie robi na mnie wrażenia.

McCoy spojrział. Ręcznik mu się zsunął z bioder, co – biorąc pod uwagę okoliczności – wcale nie było dziwne.

– Nie?

– Rzadko kiedy imponują mi załgani, kombinujący, intrygujący... profesorowie historii.

– Bardziej cię denerwuje to, że jestem profesorem, czy to, że zajmuję się historią?

Laura cisnęła w niego poduszką.

– Złości mnie kłamstwo, kręctwo i manipulowanie, ty artysto! A teraz wkładaj na grzbiet ten swój fałszywy mundur i wynoś się z mojej kajuty.

Przytrzymując jedną ręką końce ręcznika, McCoy podniósł się wolno i uśmiechnął.

– No, uspokój się, skarbie. Może byśmy sobie wszystko wyjaśnili.

– Jesteś nikczemnym łotrem i tyle!

– Bardzo cię wzburzyło to drobne nieporozumienie.

– Drobne nieporozumienie? Opowiedziałeś mi jakąś niestworzoną bajeczkę o tym, że przeniosłeś się tu z innej epoki, żeby spełnić moje marzenie, zamierzałeś zaciągnąć mnie do łóżka i nazywasz to drobnym nieporozumieniem? McCoy, to nie jest drobne nieporozumienie, tylko podłe, podstępne, przebiegłe szachrajstwo.

– No, no, uspokój się. Nie opowiedziałem ci tego, żeby zaciągnąć cię do łóżka. Doszło do szalonego qui pro quo.

– Ha! – Laura skrzyżowała ręce na piersiach. Włosy opadły jej na czoło, zasłaniając twarz. Krótka koszulka z atlasu opinała każdą wypukłość jej ciała. Wyglądała niezwykle ponętnie.

– To był element zabawy – powiedział McCoy. – Powinnaś zapytać, czy przybywam na tę maskaradę z innej epoki, to wygrałabyś butelkę szampana.

Laura przysiadła na piętach.

– Słucham?

– Ogłosili to na początku, kiedy przedstawiali orkiestrę. Ponieważ byłaś w sali, zakładałem, że słyszałaś i wiesz, co jest grane.

– Widocznie powiedzieli to wtedy... kiedy mój siostrzeniec wylał na moją

siostrę poncz i musiałam pomóc go wytrzeć, żeby nie zrobiła się plama.

Kiedy wróciły z toalety, jej siostrzeniec wspomniął coś o gościach z zamierzchłych czasów; Liliana zbagatelizowała to, nie chcąc, żeby dzieci uwierzyły w te głupstwa o Trójkacie Bermudzkim. Laura pozostała nieugięta.

– To niczego nie zmienia. Powinieneś mi wszystko powiedzieć, kiedy się zorientowałeś, że nie mam o niczym pojęcia, a nie... wykorzystywać moją niewiedzę.

– Sądziłem, że prędzej czy później sama się zorientujesz. Nie chciałem cię wprowadzać w zakłopotanie.

– Wprowadzać mnie w zakłopotanie?! – spytała z niedowierzaniem Laura. – Wkręciłeś się podstępem do mojej kajuty i martwiłeś się, że wprowadzisz mnie w zakłopotanie?

– Z tą kajutą samo jakoś tak wyszło. Nie planowałem sobie tego.

– Coś takiego!

– Daj mi szansę, dobrze? To nie tylko moja wina. Grałem tylko rolę. Skąd mogłem wiedzieć, że natrafię na kogoś tak naiwnego?

– Tylko dlatego, że jestem ufna...

– Ufna? Skarbie, kupiłabyś wieżę Eiffla od paryskiego straganiarza!

– To jeszcze nie powód, żeby mnie wykorzystywać. Powinieneś mi wszystko wyjaśnić, kiedy się zorientowałeś, że o niczym nie wiem.

– Może powinienem – powiedział łagodnie i czule – ale kiedy tak, na mnie patrzyłaś, wierząc, że jestem urzeczywistnieniem twoich marzeń...

– Byliśmy w Trójkacie Bermudzkim – próbowała się bronić. McCoy się uśmiechnął.

– Myślałaś, że jestem wcieleniem twoich marzeń. Skarbie, jestem tylko człowiekiem. Nie różnię się od innych.

– Wielka mi nowina! – powiedziała Laura, pragnąc, żeby zabrzmiało to sarkastycznie. – I nie patrz tak na mnie! Jesteś czarujący jak sprzedawca cudownego jadu, ale pod płaszczykiem tego czaru ukrywa się prawdziwa zmija!

– Czy to oznacza, że dziś w nocy nie będziemy razem spać?

– No nie! – krzyknęła Laura wyprowadzona z równowagi, zrywając się z łóżka. – Dostyc tego. Wynoś się! – Wskazała drzwi. – Precz!

McCoy się roześmiał.

– Tylko żartowałem, skarbie. Wiedziałem, że kiedy wyrzuciłaś mnie z łóżka, nici z naszej randki.

– Spodnie, McCoy!

– Co tylko każesz, skarbie.

– Przestań mnie tak nazywać. Nie jestem twoim „skarbem”. Nie jestem niczym „skarbem”!

Uśmiechnął się.

– Spodnie, McCoy.

– Dobrze, dobrze. – Odwrócił się do niej plecami i wziął spodnie, leżące w nogach łóżka. Puścił ręcznik i rzucił, patrząc przez ramię:

– Nie musisz zamykać oczu.

– Masz szczęście, że nie mam pod ręką kija! Wykręcił głowę, żeby mogła zobaczyć jego figlarny uśmiech.

– Nigdy nie próbowałem tych masochistycznych sztuczek, ale dla ciebie...

– Nie waż się odwracać! – ostrzegła. Śmiech McCoya działał jej na nerwy.

– A więc nie zamknęłaś oczu.

– Nie zamykam oczu w obecności niebezpiecznej bestii. McCoy wciągnął spodnie.

– Potraktuję to jak komplement.

– Zarozumialec. Odwrócił się.

– Nie chciałybyś mi pomóc przy tych guzikach? Jest ich trzynaście – dokładnie tyle, ile dawnych kolonii, jak pasów na fladze.

– Bierz kurs na Connecticut i wynoś się, McCoy. Uporał się ze spodniami, wciągnął bluzę i spojrzał na Laurę. Prychnęła i odwróciła głowę. Wziął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała.

– Dla porządku, panno Randolph, jesteś najbardziej seksownym drzewem, z jakim byłem w łóżku.

Laura szarpnęła głową.

– Nie powinieneś tego mówić, McCoy.

– Specjalnie powiedziałaś, jak to miło spotkać mężczyznę, który szanuje kobiety?

– Chyba wciąż łudziłam się nadzieją, że w końcu powiesz mi prawdę.

– A gdybym powiedział?

Wzruszyła ramionami.

– Nie zrobiłeś tego.

– Nigdy nie miałem zamiaru cię wykorzystać ani oszukać. Po długiej chwili milczenia położył jej dłonie na ramionach.

– Nie spojrzysz na mnie, skarbie?

Wolno odwróciła głowę, aż ich oczy się spotkały.

– Już późno, McCoy.

– Masz rację. – Pocałował ją w czubek nosa. – Porozmawiamy o tym jutro.

Podszedł do drzwi i przystanął z ręką na klamce. – Do zobaczenia na śniadaniu, skarbie.

– Po moim trupie! – mruknęła Laura.

Ale nie była pewna, czy nie oszukuje samej siebie.

Laura wygramoliła się z łóżka i niechętnie podeszła do drzwi kajuty.

– To ty, Liliano?
– Nie zgadłaś, skarbie!
– McCoy? – Uchyliła drzwi, żeby się upewnić. – Cóż to za pomysły dobijać się do mnie o tej porze?

McCoy najdelikatniej jak potrafił pchnął drzwi i wsunął przez szparę rękę. Trzymał w niej filiżankę z parującą kawą.

– Czy to nie miło, kiedy mężczyzna, o którym śniłaś, przynosi ci z samego rana kawę?

– Wcale o tobie nie śniłam – odparła Laura. Właściwie nie kłamała. Przez całą noc nie zmrużyła oka, tylko rzucała się na łóżku, myśląc o nim.

Wzięła filiżankę, ale nie otworzyła szerzej drzwi.

– Która godzina?

– Prawie ósma. Mogę wejść? Czuję się głupio, stercząc na korytarzu.

– To się czuj dalej – powiedziała bezlitośnie. – Nie jestem ubrana, McCoy się roześmiał.

– Ten pomarańczowy drobiazg nie okrywa dziś rano mniej, niż okrywał w nocy.

Laura wysunęła głowę i rozejrzała się.

– Cicho bądź! Jeszcze cię ktoś usłyszy i wyciągnie fałszywe wnioski.

– Chodzi ci o to, że ktoś może pomyśleć, że ostatniej nocy byłem w twojej kajucie?

– Co tu robisz?

– Przyszedłem, żeby ci przynieść kawę i zabrać na śniadanie.

– Śniadanie jem w rodzinnym gronie.

– Przyniosłem cukier i śmietankę do kawy, jeśli sobie życzysz.

– Tylko śmietankę – powiedziała, wyciągając rękę. McCoy wsunął jej w dłoń torebkę ze śmietanką.

– Wiesz, że powinnaś pić czarną kawę. To wyrabia charakter.

– To nie ja cierpię na jego brak.

– Masz rano cięty język. Dobrze wiedzieć.

– Dla ciebie to całkowicie nieużyteczna wiedza – zauważyła Laura. – Spływaj, McCoy.

– Powiedziałem ci, skarbie, że przyszedłem, żeby cię zabrać na śniadanie.

– A ja powiedziałam...

– Że jadasz śniadania w rodzinnym gronie – dokończył za nią McCoy. – Skłamałaś.

– Skłama...

– To bardzo proste, moja droga panno Randolph. Po pierwsze, jesteś przydzielona do pierwszej tury, więc gdybyś jadła w restauracji, już byś tam była.

– Nie jadamy w restauracji.

– Po drugie, właśnie teraz, kiedy tu stoimy, dwoje dzieci pod opieką kobiety nieco od ciebie starszej i krągłej, ale wyraźnie podobnej, i kobiety mniej więcej w wieku twojej babci je w jadalni omleły. Nie jesteś z nimi, więc jeśli nie zamierzają zjeść śniadania dwa razy, nie spożyjesz go w ich towarzystwie.

– Liliana zabiłaby cię za te „krągłe kształty” – powiedziała Laura.

– To celna uwaga, ale nie ma związku ze sprawą. Po trzecie, wciąż jesteś w tej swojej prześlicznej nocnej koszulce, z czego można wysnuć wniosek, że jeszcze nie jadłaś śniadania.

Laura spojrzała groźnie.

– Śniadanie to najważniejszy posiłek w ciągu całego dnia – poinformował ją. – Nie należy z niego rezygnować. Na pokładzie jest bufet. Możemy wypić słoneczny cocktail z odrobiną szampana.

– Jeśli się zgodzę, odejdziesz i pozwolisz mi się ubrać? McCoy skinął głową.

– Potrzebuję pół godziny.

– Wrócę za dwadzieścia minut.

Laura się nie sprzeczała, bo wyszedł, na czym jej najbardziej zależało. Zajęło jej mniej niż minutę odszukanie i włożenie różowo-białego kompletu z szortami, który zostawiła sobie na Nassau. Zawiązanie końców bluzki w atrakcyjny węzeł nad pępkiem zajęło kolejne pół minuty. Dała sobie pięć minut na uczesanie włosów i zrobienie delikatnego makijażu, po czym wrzuciła do torby kartę pokładową i tubkę kremu do opalania.

Pewna, żerna jeszcze dużo czasu, otworzyła drzwi. Jeśli uda jej się dotrzeć do mało uczęszczanych schodów na rufie i wejść na pokład, na którym zbierali się uczestnicy wycieczki do Nassau, mogłaby przeczekać w damskiej toalecie, póki nie nadejdzie pora wsiadania do autokarów. McCoy może do woli walić w drzwi jej kajuty, ale nic nie wskóra. Wyślizgnęła się na korytarz.

– O, jesteś wcześniej. Lubię kobiety, które nie mizdrzą się przez cały dzień przed lustrem.

Laura zgarbiła się lekko, odwracając się w stronę, skąd dobiegł znajomy głos.

– Miałeś przyjść dopiero za dziesięć minut. Chciałam przez ten czas kupić gazetę.

McCoy nachylił się i pocałował ją w czubek nosa.

– Jesteś piękna, ale łziesz jak pies. Zjeżyła się.

– Niektórym ludziom kłamstwo nie przychodzi tak łatwo jak innym.

McCoy ujął ją pod ramię i ruszył w stronę głównych schodów.

– Och, skarbie, nie bądź złośliwa. Mamy nowy dzień. Wczorajsze nieporozumienie.

– Nieporozumienie? – Laura, zatrzymała się gwałtownie.

– Mówiłeś, że przeniosłeś się tu z okrętu!
– A ty że jesteś zaczarowanym drzewem.
– To co innego.
– Nie widzę różnicy. Braliśmy udział w zabawie kostiumowej. Ty byłaś drzewem, ja marynarzem z czasów drugiej wojny światowej.
– Zamierzałeś się ze mną kochać, nie mówiąc mi prawdy!
– Powiedziała to wystarczająco głośno, by usłyszały ją dwie kobiety zmagające się z opornym zamkiem u drzwi kajuty. Obrzuciły ją spojrzeniami pełnymi oburzenia. Laura najchętniej schowałaby się w mysiej dziurze.

McCoy rzucił im promienny uśmiech.

– Dzień dobry paniom.

W odpowiedzi usłyszał jedynie prychnięcie. Gdy tylko udało im się otworzyć drzwi, szybko weszły do środka, jakby się bały, że McCoy i Laura wepchną się za nimi. Niemal natychmiast na korytarzu rozległ się odgłos zamykanej zasuwki.

Laura spojrzała chmurnie na McCoya, który mruczając coś pod nosem, znów złapał ją za rękę.

– Chodźmy.

– O, tak – powiedziała Laura, kiedy ją ciągnął. – To w sam raz na zaostrzenie apetytu.

„Morski Diabeł” zacumował obok innego statku wycieczkowego, który zasłaniał całkowicie widok z jednej strony. Drugi statek cumował właśnie z drugiej burty. McCoy i Laura przeszli wzdłuż bufetu, nakładając na talerze owoce i drożdżowe bułeczki, potem McCoy ustawił się w kolejce po omlet, a Laura poszukała stolika.

Obserwowała gorączkową krzątanicę marynarzy, kiedy nadszedł McCoy, balansując dwoma talerzami i uśmiechając się czarująco.

– Proszę mi wybaczyć, panienko. Nie mogłem nie zauważyć, że przy pani stoliku jest wolne miejsce. Wolno się dosiąść?

– Zaryzykowałeś, pytając o zgodę – odparła Laura, kiedy sadowił się na wolnym krześle. McCoy pochylił się przez stół, wyciągając rękę.

– Doktor Roy McCoy, profesor historii.

Laura niechętnie ujęła jego wyciągniętą dłoń i uściśnęła.

– Laura Randolph. Miło mi poznać prawdziwego McCoya.

– Widzę, że jest dziś pani w nastroju do żartów, panno. Randolph.

– Powiedzmy, że uduszenie ciebie dziś rano nie sprawiłoby mi tyle przyjemności, co wczoraj w nocy.

McCoy spowaźniał.

– Zatem całkowite przebaczenie nie wchodzi w grę, ale nie sądzisz, że moglibyśmy spojrzeć na to, co się stało wczoraj, zachowując właściwe proporcje?

– Zachowując właściwe proporcje?

– Gdybym podał się za kawalera, chociaż w domu czeka na mnie żona i dzieci, albo udawał milionera, w gruncie rzeczy będąc żigolakiem, to co innego. Nie jestem oszustem ani włamywaczem. Za bardzo wczułem się w rolę odgrywaną na zabawie kostiumowej, a ty... – uśmiechnął się i uniósł brwi – może okazałaś się zbyt naiwna?

Laura wzruszyła lekko ramionami i uśmiechnęła się do niego blado.

Podniesiony na duchu tym objawem kapitulacji, McCoy drażył temat.

– Wczoraj wieczorem spędziliśmy ze sobą dużo czasu i na to, co między nami zaszło, w minimalnym stopniu wpłynęły moje bajeczki. I na to, że zwróciliśmy na siebie uwagę, i na to, że tańczyliśmy, i na moje gorące pragnienie, by się z tobą kochać.

– Masz na myśli przespanie się ze mną.

– By się z tobą kochać – powtórzył z naciskiem. – Lauro, bez względu na to, co twoim zdaniem o mnie wiesz, nie należę do mężczyzn, którzy szukają partnerek na jedną noc lub przelotnych miłostek. Skłamałbym, gdybym próbował zaprzeczać, że pociągasz mnie fizycznie, ale intrygujesz mnie również jako kobieta.

Spojrzał na nią błagalnie i Laura poczuła, że jej opór słabnie. Nie chodziła tylko o to, że był przystojny z tymi swoimi kruczoczarnymi rzęsami, granatowymi oczami i zabójczymi dołeczkami. Nie tylko jego czarujący uśmiech i południowy akcent drażnił jej zmysły. Istniało coś, co wywoływało wzajemny pociąg fizyczny; coś nieuchwytnego, nieokreślonego i nieodpartego. Okłamałaby samą siebie, gdyby temu zaprzeczyła – i nie przyznała, że to równie niebezpieczne jak igranie z ogniem.

Sięgnął po jej dłoń.

– Zaczniemy wszystko od początku. Bez żadnych przebieranek, bez odgrywania ról. Bądźmy po prostu dwojgiem ludzi, którzy spotkali się podczas rejsu i postanowili go odbyć w swoim towarzystwie.

Laura wiedziała, że powinna mu wyrwać dłoń, ale nie zrobiła tego. Miała świadomość, że nie wolno jej patrzeć w te intensywnie ciemnoniebieskie oczy, ale patrzyła. Zdawała sobie sprawę, że nie należało przyjmować zaproszenia na śniadanie, a to zrobiła. Wiedziała, że McCoy może być niebezpieczny, ale nie przejmowała się tym.

Była spragniona ryzyka, jakie wiązało się z tą znajomością. Miała dosyć rozważnego i powściągliwego zachowania. Chociaż raz w swym dorosłym życiu chciała być szalona i nieobliczalna. Pragnęła zapomnieć o przezorności i rozkoszować się dniem dzisiejszym. Była młoda, bez zobowiązań, odbywała rejs, a jej towarzyszem pragnął zostać cudowny mężczyzna.

Mężczyzna, który wmówił ci, że go tu sobie sprowadziłaś, ostrzegł ją głosem rozsądku, tak przyzwyczajony do tego, że posiadał nad nią pełną władzę.

Bo chciałam w to uwierzyć. Rozpaczliwie pragnęłam uwierzyć, spierała się w duchu. Potem uśmiechnęła się szeroko do mężczyzny siedzącego naprzeciwko.

– Zgoda.

– Zgoda? – powtórzył i roześmiał się radośnie. – Świetnie! A więc, skarbie, co będziemy dzisiaj robili?

– Dziś rano... – przygarbiła się lekko, jakby rozczarowana – ...wybieram się razem z moimi najbliższymi na wycieczkę po wyspie.

– Idź na wagary.

– Nie mogę – powiedziała z żalem. – Naprawdę nie mogę. Liliana jest w okropnym nastroju, ponieważ jej mąż jeszcze się nie zjawił. Obiecałam, że wybiorę się z nią i pomogę zająć się dziećmi. Muszę poświęcić im trochę czasu. Tak szybko rosną, a rzadko je widuję.

– Nie mieszkają w pobliżu?

– Nie. Mieszkają w Miami, tam, gdzie ojciec, a ja w Orlando, ponad trzysta kilometrów od nich.

– A po wycieczce? – nie poddawał się. Laura pytająco uniosła brwi.

– Bazar i... plaża?

– Jesteśmy umówieni, skarbie. O której godzinie zaczyna się wycieczka?

Laura spojrzała na zegarek.

– Zbiórka za piętnaście minut. Ich spojrzenia się spotkały.

– W takim razie mamy dwanaście minut, żeby porozmawiać.

Nagle stwierdzili, że nie mają o czym. Po dłuższej chwili milczenia McCoy roześmiał się wesoło.

– A więc, skarbie, spod jakiego jesteś znaku? Uśmiechnęli się zakłopotani i znów umilkli. W końcu Laura spytała:

– Naprawdę prowadzisz zajęcia zatytułowane „Seks w ciągu wieków”?

McCoy obdarzył ją jednym ze swoich czarujących uśmiechów.

– Znowu seks, skarbie? Czy nigdy nie myślisz o niczym innym?

– Chodzi mi o wykłady, McCoy.

– Ależ, skarbie, jeśli zbyt wcześnie zacznę z tobą rozmawiać o seksie, pomyślisz, że jestem łatwy.

Chrząknęła, ale kącki jej ust – bardzo ponętnych, zauważył McCoy – drgały od powstrzymanego śmiechu.

– No dobrze. Wygrałaś. Możemy rozmawiać o seksie, ile tylko chcesz. Możesz mnie nawet namówić na ćwiczenia praktyczne, ale pod jednym warunkiem: musisz obiecać, że będziesz mnie później szanowała.

– Nie pytam o twoje wykłady, żeby narazić na szwank twoją cnotę.

– Możesz pytać o wszystko, skarbie.

– Może jednak powinniśmy porozmawiać o pogodzie – powiedziała z irytacją Laura.

McCoy się roześmiał.

– Wolę mówić o seksie. – Widząc jej groźne spojrzenie, dodał pośpiesznie: – W ciągu wieków. O wykładach. Właściwie to tani chwyt. Czysta pogoń za sensacją.

Odpowiedział na jej pełne niedowierzania spojrzenie konspiracyjnym mrugnięciem.

– Nie umiałem wymyślić nic pewniejszego niż seks, żeby zainteresować studentów historią.

– Musisz mieć jakiś program. Czego ich uczysz? – Uśmiechnęła się złośliwie. – A może nie powinnam pytać?

– Trochę tego, trochę owego. Przypadki; kiedy seks wpłynął na bieg historii. Słynne kurtyzany i romanse. Prawa regulujące zachowania seksualne. Pochodzenie powszechnie znanych terminów związanych z seksem.

– Podaj mi jakiś przykład – poprosiła.

– Cóż, wydarzeniem semestru jest oglądanie filmów z okresu drugiej wojny światowej na temat zapobiegania chorobom wenerycznym. Studenci uważają, że to prawdziwy przebój. I taki jest cel moich wykładów – zainteresować ich historią i sprowokować do myślenia o przyczynach i skutkach w dziejach ludzkości.

– W jaki sposób stare filmy o chorobach wenerycznych mogą skłonić do myślenia przyczynowo-skutkowego?

– Uświadamiają im, że prezerwatywy istnieją w tej czy innej postaci niemal od zarania ludzkości. Większość z nich sądzi, że zostały wymyślane przez badaczy zajmujących się AIDS. Rozmawiamy o tym, jak wojny powodują przemieszczanie się ludzi i jak to przemieszczanie wpływa na mieszanie się kultur.

– Oni myślą, że uczą się o seksie, a w gruncie rzeczy zdobywają wiedzę historyczną.

– Właśnie! Jeśli uda nam się nauczyć ich myśleć, daty i wydarzenia to sprawa drugorzędna.

– Lubisz uczyć, prawda?

– Inaczej nie byłbym wykładowcą. Nie lubisz swojej pracy?

– Ostatnio nie – przyznała Laura. – Rozważam.

– Ej, patrz! To McCoy!

– Rzeczywiście. Widzisz, wcale nie wypadł za burtę.

McCoy i Laura spojrzeli zdziwieni. Do ich stolika podchodzili Elvis Presley i Mark Twain, albo przynajmniej studenci, którzy się za nich przebrali na wczorajszej maskaradzie. McCoy zmarszczył czoło.

– Chłopaki, co wy tu robicie o tej porze? Myślałem, że do południa będziecie spali.

– Nie, kiedy dają żarcie – odparł Mark Twain.

– Powinienem się domyślić, że sprowadzi was tu łakomstwo – zauważył McCoy. – Elvis, który okazał się znacznie młodszy bez baków i wypomadowanych włosów, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Laury. Tonem legendarnego wykonawcy spytał McCoya:

– Słuchaj, stary, nie przedstawisz nas pani?

McCoy zmarszczył brwi, ale ugiął się przed nieuniknionym.

– Panno Randolph, chciałem pani przedstawić dwóch moich studentów, Mike’a Baskina i Jasona Andersona.

– Niektórzy ludzie dla wygody wołają na mnie Król – powiedział Mike.

– Mike zamierza w przyszłym roku rozpocząć studia podyplomowe ze stosunków międzynarodowych i zostać kiedyś dyplomata – wyjaśnił McCoy. – A Jason przymierza się do prawa.

– Mark Twain w roli obrońcy – zażartował Mike.

– Czemu nie? – powiedział Jason. – A Elvis zrobi furorę na dyplomatycznych przyjęciach.

– Chłopaki, nie przyszliście tu jeść? – spytał McCoy z wyraźną aluzją w głosie.

– Tak, stary – odezwał się Mike głosem Elvisa. – Może mi zrobią kanapkę z masłem orzechowym.

– Nie ma mowy! – stwierdził Jason. – Chodź. Ustawimy się w kolejce po omlety. – Zwrócił się do McCoya i Laury. – Zaraz wrócimy.

– Ale... – zaprotestował McCoy. Młodzi ludzie go nie usłyszeli. – Nie wychowane dzikusy! – mruknął. Spojrzał na Laurę. – Nie chcę się tobą z nikim dzielić.

Laura roześmiała się cicho.

– Nie zapominaj, że zaraz i tak cię opuszczę.

– Odprowadzę cię do schodów.

– Nie musisz.

McCoy się uśmiechnął.

– Skarbie, zrobię to. W przeciwnym razie nie będziemy mieli chwili tylko dla siebie i nie mógłbym cię pocałować tak, jak na to zasługujesz.

Laura wciąż czuła ten pocałunek, kiedy kilka minut później zeszła ze statku, by odszukać swych bliskich w tłumie pasażerów czekających na autokary.

– Czekamy na autobus, bo jedziemy do fortu – poinformował ją Tyler. – Mama mówi, że mają tam armatę.

– Mogą mieć – poprawiła go Liliana. – Nie wiem na pewno.

– Chcę z niej wystrzelić! – powiedział Tyler.

– Nie sądzę, żeby ci pozwolili – stwierdziła Laura. – Jeszcze byś zatopił jakiś statek.

Tyler zachichotał.

– Tak!

– Spójrz, co mam – powiedziała Malwinka, szturchając Laurę w brzuch plastikową rurką przybraną wstążkami. – Widzisz?

Laura przyjrzała się rurce, wypełnionej błyszczącym płynem z plastikową repliką „Morskiego Diabła” w środku, potem spojrzała na swą siostrzenicę przypominającą cherubinka o zaróżowionej buzi i niesfornych, jasnych loczkach.

– Śliczne, Malwinko.

– Jest zaczarowana – oświadczyła dziewczynka. Energicznie potrząsała rurką, aż wstążki furkotały w powietrzu.

Laura odwróciła się do siostry i babki.

– Depeszowali dzisiaj, prawda?

– Depeszują codziennie – powiedziała Liliana z westchnieniem.

Na plac zajechało pięć mikrobusów.

– Pasażerowie z zielonymi biletami na wycieczkę po Nassau proszeni są o zajmowanie miejsc – zawołał oficer.

– To my – zauważyła babka Laury.

– Chodźmy – powiedziała Liliana, zaganiając dzieci do kolejki.

– To nie autokar – stwierdził Tyler.

– To mikrobus – wyjaśniła mu matka.

– Chciałem jechać autokarem – zaczął marudzić Tyler.

Ze sterczącymi włosami i naburmuszoną buzią przypominał nieznośnego urwisa. Laura uklękła, by go przytulić, ale odepchnął ją, nadąsany.

– Tyler! – krzyknęła matka.

– Dobrze już, dobrze – powiedziała Laura.

– Wcale nie. Jest niegrzeczny. A ty nie powinnaś tak się za nim wstawiać, kiedy się niewłaściwie zachowuje.

– Przepraszam! – odezwała się chmurnie Laura. Chciała przytulić Tylera, bo był rozczarowany. Co Liliana wie o postępowaniu z dziećmi?

Kolejka przesuwawała się wolno. Po – jak im się wydawało – długim czekaniu w gorącym, porannym słońcu stanęli przed mikrobusem. Ale przewodnik, nadzorujący wsiadanie, spojrzał na dzieci, a potem na Lilianę.

– Ile osób?

– Pięć – odparła Liliana; – Dwoje dzieci i trzy osoby dorosłe.

– Proszę odejść na bok i poczekać na następny pojazd, żeby mogli państwo pojechać razem – polecił przewodnik.

Laura westchnęła. Czyżby dla czegoś takiego zrezygnowała z przedpołudnia z McCoyem o cudownych dołeczkach?

Prawie nie uwierzyła, kiedy usłyszała, jak ktoś z daleka woła jej imię, ale okrzyk powtórzył się, głośniejszy i wyraźniejszy – i Tyler powiedział:

– Ciociu Lauro, woła cię tamten pan.

McCoy! Biegł w jej stronę, wymachując zielonym biletem. To niemożliwe! A jednak.

– Kto to? – spytała Malwinka.

– No właśnie – wtrąciła Liliana tonem wścibskiej starszej siostry.

Laura spojrzała na nią.

– Znajomy. Liliana prychnęła. jakby chciała dać do zrozumienia, że nie wierzy własnym oczom.

– Widzę, że nie tracisz czasu.

Laura powstrzymała się od powiedzenia, że to nie jej interes, i pomachała McCoyowi.

ROZDZIAŁ 6

Zdobycie biletu na wycieczkę, która za chwilę miała się rozpocząć, wcale nie było takie proste. McCoy musiał się nieźle nagimnastykować, aby oczarować panienkę zajmującą się rezerwowaniem miejsc. Smaczku wszystkiemu dodawało to, że McCoy unikał jak ognia uczestnictwa w zorganizowanych imprezach. Gdy jednak ujrzał, jak Laura rozpromienia się na jego widok, był zadowolony, że udało mu się zdobyć bilet. A zabytki były tu od wieków i nadal pozostaną, gdyby postanowił wrócić i je obejrzeć.

Zresztą Laura Randolph. intrygowała go bardziej niż wszelkie atrakcje wyspy! Biegnąc w jej stronę, próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz aż tak bardzo zafascynowała go jakaś kobieta. Przedstawicielki płci pięknej przypominały zabytki historyczne – były zawsze interesujące, każda na swój sposób, ale występowały w takiej obfitości, że trzeba było czegoś rzeczywiście nadzwyczajnego i niespotykanego, by wprawić go w zachwyt.

Laura miała właśnie w sobie coś nadzwyczajnego i niespotykanego. Widok obnażonych nóg poniżej wściekle różowych szortów jeszcze bardziej pobudzał jego bujną wyobraźnię. Podobnie jak kawałek odsłoniętego ciała między szortami a różowo-białą bluzką.

– Cieszę się, że ci się udało – powiedziała, kiedy dołączył do nich.

Zastanawiał się, czy naprawdę się go spodziewała, czy też chciała jedynie, by pomyśleli tak jej bliscy.

– Ogarnęła mnie nagła ochota na zwiedzanie. Przedstawiła go, informując, że jest profesorem historii.

McCoy uklonił się Róży Randolph, wysokiej, siwowłosej starszej pani o dumnej, niemal królewskiej postawie, a następnie uścisnął dłoń siostrze Laury i jej dzieciom.

– Kto to jest profesor? – spytała dziewczynka, pucółowata blondyneczka o złotych lokach, przyglądając mu się podejrzliwie wielkimi, zielonymi oczami.

– Profesor to taki nauczyciel – wytłumaczyła Laura.

– Jak pani O'Toole? – spytała Malwinka.

– Pani O'Toole jest przedszkolanką – wyjaśniła siostra Laury, widząc jej zakłopotaną minę.

– Mniej więcej – powiedziała Laura. – Tylko że uczy studentów.

Przewodnik dał znak, by zajmować miejsca w mikrobusie. Pani Randolph wsiadła pierwsza, a za nią Liliana, by pomóc dzieciom wdrapać się po stopniu, który był wysoki nawet dla dorosłych. Tyler wspiał się ze zwinnością naturalną dla większości sześciolletnich chłopców, ale Malwinka, mniejsza, podniosła rączki, by jej pomóc. McCoy, przyzwyczajony do licznych własnych siostrzenic i siostrzeńców, odruchowo objął ją w pasie i podsadził.

– Dziękuję – powiedziała Liliana.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł McCoy, szczypiąc Malwinę w nos. Dziewczynka uśmiechnęła się kokieteryjnie i zajęła miejsce wskazane przez matkę.

Ach, te kobiety! – pomyślał McCoy. Już się z tym rodzą. Jego siostrzenice zachowywały się identycznie.

Potem pomógł Laurze, ujmując ją pod łokieć. Postawiła nogę na stopniu i przeniosła na nią ciężar ciała, dając mu możliwość przyjrzenia się z bliska najpierw nogom, a potem odzianej w szorty pupie.

McCoyowi aż zaparło dech. Wspiął się za Laurą i zajął miejsce obok niej. Wsiadło jeszcze kilka osób i na długiej, wąskiej ławce zrobiło się ciasno.

Ostatnią rzeczą, której pragnęła Laura, kiedy udo McCoya dotknęło jej nogi, było wystawiać się na badawcze spojrzenia tuzina obcych ludzi, nie mówiąc już o najbliższych. Widząc, że Tyler i Malwinka przyglądają się McCoyowi, jakby ujrzeli przybysza z kosmosu, Laura zrozumiała, co czuje jedna z koleżanek biurowych, która często opowiadała, jak jej małe dzieci traktują jej znajomych.

Wcale nie lepsza była Liliana spoglądająca na nią ukradkowo, kiedy myślała, że McCoy nie widzi, z miną mówiącą „Należą mi się wyjaśnienia”. A babka! We wzroku starszej pani było tyle zrozumienia, że aż peszyło to Laurę. Wiedziała, że jej babka zbyt dużo w życiu widziała, by nie zauważyć fascynacji zrodzonej między wnuczką a jej nowym znajomym.

Czuła, jak robi jej się gorąco, szczególnie gdy szorstkie włoski na jego łydkach ocierały się o jej nogi. Zażenowana, skrzyżowała nogi, próbując zmniejszyć intymny kontakt potęgowany jeszcze przez ścisk i szarpanie mikrobusu.

Dzieci szybko znużyły rzucane od czasu do czasu wyjaśnienia, po których następowały długie przerwy wypełnione jedynie podziwianiem niewiele im mówiących widoków. Wkrótce zaczęły się wiercić i rozpychać w zatłoczonym, dusznym pojeździe.

– Nic nie widzę – poskarżył się Tyler. – Malwina cały czas rusza głową.

– Na pewno nie robi tego specjalnie – powiedziała Liliana. – Malwinko, przesun się, żeby Tyler mógł wyglądać przez okno.

Minęła minuta, dwie, trzy. Tyler znowu zaczął narzekać:

– Ona mi zasłania. Robi to specjalnie.

– Wcale nie! – zaperzyła się dziewczynka.

– Bądź tylko ostrożniejsza – powiedziała Liliana, a potem zwróciła się do Laury z chmurną miną: – Szkoda, że nie ma tu Marka, by mógł się cieszyć rodziną. Przypomnij mi, żebym wysłała Rennowi Westfieldowi kartkę z podziękowaniami.

Laura zdrętwiała. Nie miała czasu ostrzec siostry, by nie wspominała o

ojcu. Teraz mogła mieć jedynie nadzieję, że McCoy nie dosłyszał nazwiska i nie zorientował się, czyimi są córkami.

Nadzieja prysła, kiedy McCoy spytał:

– Renn Westfield? Senator, którego czeka proces za zamordowanie zięcia?

– Właśnie on – odparła Liliana. – Czy Laura nic panu nie powiedziała? To przez ten proces ojciec i Mark nie mogli popłynąć z nami.

Na twarzy McCoya najpierw odmalowało się zaskoczenie, potem zrozumienie, w końcu ciekawość. Spojrzał na Laurę. – Twoim ojcem jest Edward Randolph?

– Tak – powiedziała Laura.

– Nie wiedział pan o tym? – spytała zdumiona Liliana.

– Jakoś nie było okazji o tym wspomnieć – powiedziała szybko Laura, ale z miny McCoya wywnioskowała, że jej nie wierzy. Żeby uniknąć pytań, próbowała wymyślić coś, co odwróciłoby jego uwagę.

Córka Edwarda Randolpha. McCoyowi było głupio, że nie zorientował się wcześniej. Laura nie powiedziała jednak niczego, co świadczyłoby, że jest córką sławnego adwokata. Edward Randolph był na tyle znaną postacią, że takie przemilczenie było znamienne, szczególnie gdy skojarzył je ze sposobem, w jaki unikała rozmowy o ojcu.

Zastanowiło go to i postanowił przy najbliższej okazji wyjaśnić sprawę. Fakt, że ojciec Laury był głośnym i kontrowersyjnym adwokatem, nie wydawał mu się teraz ważniejszy od tego, że dotykała stopą jego nogi. Czekał, kiedy gwałtownie ją cofnie. Spojrzał na nią, by się przekonać, czy zdaje sobie sprawę, gdzie trzyma stopę.

Wiedziała. Bardzo wolno uniosła kąciki ust w najniewinniejszym uśmiechu – równie niewinnym jak ten dotyk nogi:

zwykle dotknięcie palcem w tekstylnych tenisówkach nogi w grubej, bawełnianej skarpetce.

Nie powinno go to tak podniecać, ale podniecało. A spojrzenie jej oczu było kuszące.

Zostaną kochankami. McCoy nie miał co do tego cienia wątpliwości. Dzisiaj, jutro, pojutrze; na statku, na wyspie, w Orlando; wcześniej czy później, tu albo tam, dojdzie między nimi do zbliżenia. Miał nadzieję, że nastąpi to wcześniej, ale był gotów zaczekać, bo kiedy nastąpi...

Kiedy nastąpi, będzie to coś niezwykłego. Przepętny niecierpliwym oczekiwaniem, delikatnie przycisnął udo do jej nogi i uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie, widząc zdumioną minę Laury.

Mikrobus zatrzymał się z piskiem opon pośród dziesiątek samochodów i autokarów.

– Fort Charlotte – obwieścił kierowca. – Przewodnik czeka obok wejścia.

Świeże powietrze i jasne słońce stanowiły pożądaną odmianę po duchocie panującej wewnątrz pojazdu. Przed nimi wznosił się osiemnastowieczny fort, sprawiając wrażenie zupełnie nie zniszczonego przez turystów.

Przewodniczka, śliczna miejscowa dziewczyna w wieku Laury, zgrabna, z włosami zaplecionymi w warkoczyki, powitała ich uśmiechem, a potem opowiedziała historię fortu.

– Fort został zbudowany pod koniec osiemnastego wieku przez lorda Dunmore'a, który nazwał go Fort Charlotte na cześć żony króla Jerzego III. Koszty wzniesienia fortu okazały się o wiele wyższe, niż spodziewał się lord Dunmore, i w owych czasach zaczęto nazywać fort Kaprysem Dunmore'a. Na szczęście przez wszystkie te lata z tego dogodnego punktu obserwacyjnego nie padł ani jeden strzał. Proszę zachować ostrożność podczas schodzenia. Kamienne stopnie są niebezpieczne.

Schody były rzeczywiście śliskie. Miało się wrażenie, że wiodą do samego wnętrza ziemi.

Zaprowadziły ich do niezbyt dużej sali, przez otwarte drzwi widać było mniejsze pomieszczenia, wszystkie z wyjątkiem jednego były puste i przypominały grotty.

W powietrzu unosiła się przejmująca wilgoć; Laura niemal się spodziewała ujrzeć nietoperze, wiszące głowami w dół, i mech porastający kamienne mury. Na środku sali stało naturalnej wielkości koło tortur z manekinem „ofiary” o udreżonej twarzy.

– Sobotnie rozrywki – zauważył McCoy. Wykorzystał to, że Laura odruchowo się wzdygnęła, by objąć ją ramieniem i ucisnąć dla dodania otuchy.

– Czy ten pan płacze? – spytała Malwinka, wskazując manekin.

– Tak – powiedziała Liliana.

– Dlaczego? – spytała dziewczynka.

– Bo go boli – odparła matka.

– Dlaczego?

– Bo inni ludzie są dla niego niedobrzy – wyjaśniła Liliana.

– Ale fajne! – wykrzyknął Tyler.

– Wcale nie fajne, tylko okropne – poprawiła go Liliana. Malwinka przytuliła się mocno do matki i ukryła twarz w fałdach jej spódnicy.

– Nie podoba mi się tutaj.

– Mnie też nie – zgodziła się z nią Liliana.

– A mnie tak – oświadczył Tyler i pobiegł naprzód, by zwiedzać na własną rękę.

– Dlaczego ludzie są dla niego niedobrzy? – spytała Malwinka, kiedy Liliana przeciskała się przez tłum turystów, próbując dogonić Tylera.

– Nie wiem.

– Prawdopodobnie próbują go zmusić do wyjawienia tajemnicy – powiedział McCoy.

– Koło było w owych czasach powszechnie stosowanym narzędziem tortur, ale nie ma dowodów, że kogokolwiek torturowano w Forcie Charlotte – wyjaśniła przewodniczka. Jej uwaga nie rozproszyła jednak podejrzeń turystów, ponieważ rozległ się pisk, a potem przeraźliwy jęk, który wypełnił całą salę echem.

Tyler odkrył niezwykle właściwości akustyczne wysoko sklepionych pomieszczeń o kamiennych ścianach.

Tłum zareagował początkowo milczeniem, potem rozległy się nerwowe śmiechy, kiedy się zorientowano, skąd pochodzą mrozące krew w żyłach odgłosy. Nabrały one jeszcze większej intensywności, gdy Malwinka przyłączyła się do Tylera.

– To jedna z tych chwil, kiedy się cieszę, że jestem ciotką, a nie matką – mruknęła Laura do McCoya.

McCoy spojrzał na Lilianę, próbującą nie zwracać uwagi na karcące spojrzenia obecnych.

– Dzisiejsi rodzice całkowicie stracili kontrolę nad dziećmi – powiedziała z dezaprobatą jakaś starsza pani, – Ależ, Helen, wiesz, że dzieci muszą gdzieś wyładować energię – odparła jej towarzyszka.

– Na wszystko jest odpowiedni czas i miejsce – odparowała Helen. – Ja nauczyłam swoje dzieci grzeczności. Dobre lanie od razu przyniosłoby skutek.

– Dobre lanie odświeżyłoby jej pamięć, co to znaczy wychowywać dzieci – powiedziała Róża Randolph wystarczająco – co głośno, by usłyszeli ją Laura i McCoy.

Liliane udało się uciszyć dzieci – wyprowadziła je przez drzwi naprzeciwko wejścia do fortu. Laura, McCoy i Róża ruszyli za nią. Schody w górę były nie mniej zdradliwe od tych, którymi zeszli, a napór tłumu jeszcze utrudniał wspinaczkę.

– Dlaczego czuję się tak, jakby na zewnątrz czekali ustawieni w dwuszeregu żołnierze, by być świadkami, jak publicznie zrywają nam szlify? – spytała Laura, kiedy wolno wchodzili po schodach.

– Biorąc pod uwagę nastrój tego tłumu, powinniśmy się cieszyć, że nie czeka na nas pluton egzekucyjny – orzekła Liliana.

– Och, nic daj się wyprowadzić z równowagi przez jedną starą babę – odezwała się Róża. – Jej dzieci prawdopodobnie wyrosły na zahukanych neurasteników.

– W przeciwieństwie do obrońców sądowych o międzynarodowej sławie – dodała ironicznie Laura.

– Wiedziałam, że Edward jest urodzonym adwokatem od chwili, kiedy zaczął mówić – powiedziała z dumą pani Randolph. – On nie rozmawiał, tylko

perorował.

– Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają – mruknęła Laura pod nosem.

McCoy znów dosłyszał w jej głosie nutkę niechęci i dziwne napięcie. Widocznie nie była tak dumna z rodzinnych powiązań jak jej siostra i babka. Ciekawe dlaczego.

Róża szła z przodu. McCoy ujął starszą panią pod ramię, gotów służyć jej pomocą, gdyby się potknęła lub poślizgnęła na nierównych stopniach. Laura podążała za nim.

– Lauro? – zwrócił się do niej.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że do niej zagadnął, póki nie uśmiechnęła się do niego i nie uniosła lekko brwi. Widząc ten uśmiech, te jasne oczy, tę śliczną twarz, nagle zrozumiał, dlaczego jest na tej okropnej wycieczce, dlaczego tłoczył się w mikrobusie, a potem dał oprowadzać po forcie razem z innymi turystami niczym stado baranów.

Powodem była ta kobieta, nadal czekająca, by jej wyjaśnił, czemu wypowiedział jej imię i nie mająca pojęcia, jak kojące było samo jego brzmienie. Laura.

– Nic – powiedział, uśmiechając się łagodnie i patrząc znacząco. I wtedy niespodziewanie, pod naporem tłoczących się za nią ludzi, potknęła się i by nie upaść, chwyciła jego koszuli. Pod dotykiem jej palców przebiegł go dreszcz. Dręczyła go myśl, ile upłynie czasu, nim znów będą mogli zostać sam na sam.

Wyjście z fortu można było porównać do opuszczenia grobowca. Słońce zdawało się jaśniej świecić, powietrze było świeższe niż wtedy, kiedy zaczęli zwiedzanie. Z fortu rozciągał się wspaniały widok na całą wyspę i oblewające ją turkusowe wody oceanu. Liliana pokazała dzieciom statki i łodzie, a Róża zaczęła się bawić w przypuszczenia, który statek jest ich i kto pozostał na pokładzie.

Laura w milczeniu chłoneła widok. Kiedy McCoy stanął za nią i położył jej delikatnie dłonie na ramionach, wydało jej się to czymś najbardziej naturalnym na świecie.

– Łatwo zrozumieć, dlaczego Kolumb był tak oczarowany Nowym Światem, prawda?

– Kolumb? – spytała Laura.

– Tak. Po raz pierwszy przybił do brzegów Ameryki gdzieś w tych okolicach. Od tamtych czasów wiele się zmieniło. Inaczej myślimy, inaczej się ubieramy, inaczej jemy – a wszystko za sprawą tamtego dziewiczego rejsu w wielkie nieznane.

– Zaczynasz mówić jak profesor historii – zauważyła żartobliwie Laura.

– Przepraszam. Czasami daję się ponieść. Po prostu mam skłonności do widzenia świata, który znamy, jako wielkiego stosu krzyżujących się i przeplatających gałązek. Każda z nich to kawałek historii, jakieś pojedyncze

wydarzenie. Gdyby wyjąć którąkolwiek, cały stos uległby zmianie. Wciąż rośnie i przeobraża się, bo wciąż dorzucane są nowe gałązki. Wszystko, co się dzieje w tej chwili, też stanie się taką gałązką.

– Nawet nasza obecność tutaj?

– Nawet to. Pomyśl, na losy ilu ludzi wpłynęło to, że zdecydowaliśmy się wziąć udział w tym rejsie. Agentów sprzedających bilety, załogi statku, pracowników portów, do których zawijamy. Weź chociażby tę wycieczkę – nasza przewodniczka zarabia na życie, oprowadzając turystów i zapewniając wszystkim, że z tych murów nigdy nie padł ani jeden strzał. – Wskazał głową młodą kobietę, która prosiła kolejną grupę turystów, by zachowali ostrożność podczas schodzenia.

– Ale jesteście bardzo małutkimi gałązkami – ciągnął. – Co innego taki Kolumb... Czasami stos, wielki stos, rośnie w określony sposób i staje się pewne, że następna gałązka padnie pod określonym kątem i cały stos ulegnie zasadniczemu przeobrażeniu. Rejs Kolumba był jedną z takich istotnych gałązek, chociaż gdyby to nie był Kolumb, znalazłby się jakiś inny podróżnik, ponieważ w tamtym punkcie dziejów ludzkości stos czekał na coś takiego.

– Czy w ten sposób uczysz historii? – spytała Laura, myśląc, że w jego oczach jest tyle zapалу, iż uwierzyłaby we wszystko, co by powiedział.

McCoy wzruszył ramionami.

– Studenci mogą znaleźć fakty i daty w książkach. Próbuje zwrócić ich uwagę na to, co się dzieje wokół nich, i zmusić do zastanowienia, jak wydarzenia mogą zmienić kształt stosu.

Umilkł. Wpatrywała się w niego ze szczerym podziwem, co go trochę rozpraszało.

– Nigdy nie miałam takiego profesora jak ty – powiedziała.

McCoy uśmiechnął się. – Wcale bym nie chciał, żebyś była moją studentką.

– Dlaczego? – spytała Laura, chociaż domyślała się, co usłyszy.

– Ponieważ nie umawiam się ze swoimi studentkami. Laurze ziemia zakołysała się pod nogami, gdy sobie uświadomiła, jak bardzo pragnie poczuć dotyk ręki McCoya. Wymarzyła go sobie, był ucieleśnieniem jej snów, pragnęła wspomnień, które jego dotyk wypalił w jej sercu, umyśle i duszy. – Nie jestem twoją studentką – powiedziała gwałtownie. Nie wyobrażała sobie, że spojrzenie jego oczu może się stać jeszcze bardziej gorące czy zachłanne, a jednak.

– Skarbie, wie to każda komórka mego ciała.

Po krótkiej chwili, która zdawała się trwać wieczność, Laura odzyskała na tyle panowanie nad sobą, by zauważyć:

– Znów nazwałeś mnie „skarbem”.

– Nie masz chyba nic przeciwko temu?

Czy ma coś przeciwko temu? Całe życie czekała na mężczyznę, który

patrzyłby na nią tak jak McCoy i nazywał ją pieszczotliwie „skarbem”.

– Powinnam mieć – powiedziała. – Niektórzy uznaliby porównanie kobiety ze skarbem za uwłaczające lub... uprzedmiotawiające.

– Chyba nie zamierzasz się zmienić w wojującą feministkę, co?

Laura się uśmiechnęła.

– Nie, póki będziesz się do mnie zwracał „skarbie”. McCoy pociągnął za jeden koniec jej bluzki.

– Włożyłaś to specjalnie, prawda?

– Zamiast przez roztargnienie wystąpić nago? – zażartowała.

McCoy jęknął.

– Niebezpiecznie używać słowa „nago” w obecności mężczyzny w takim stanie.

– A niby w jakim jesteś stanie? – spytała figlarnie. Chwycił palcami końce bluzki i szarpnął je lekko.

– Jestem uwiązany mocniej niż końce tej bluzki.

– Czy rozważałeś przecięcie węzła mieczem? – spytała Laura.

– Tu nie chodzi o przecięcia węzła.

– W takim razie o co, panie profesorze?

– O jeszcze mocniejsze jego zaciśnięcie.

Laura była tak pochłonięta przekomarzaniem się z McCoyem, że nie zdawała sobie sprawy z obecności siostrzenicy, póki dziewczynka nie szarpnęła jej za nogawkę szortów.

– Ciociu Lauro, tam jest jacht. Widzisz go?

– Jacht? – powiedziała Laura, próbując wykrzesać z siebie nieco entuzjazmu. – Gdzie?

– Tam – odparła Malwinka, wskazując rączką. – Widzisz? Taki duży. Mama mówi, że należy do kogoś bardzo bogatego. Może nawet do księcia lub księżniczki.

– Księcia lub księżniczki? – powtórzyła Laura.

– Aha. Mieszkających gdzieś hen, daleko. Jak w bajkach. McCoy dotknął ramienia Laury.

– Zaraz wracam. Chcę zamienić z przewodniczką kilka słów.

Laura skinęła głową, a kiedy McCoy oddalił się, całą uwagę poświęciła siostrzenicy.

– Powiedz mi coś więcej o tym księciu i księżniczce.

– To tylko taka głupia zabawa – prychnął Tyler.

– W takim razie któż to może być, jeśli nie książę albo księżniczka? – spytała Laura.

– Michał Anioł – odparł Tyler.

– Michał Anioł? Ten artysta? – spytała Laura. Malwinka zachichotała.

– Ten z serialu o żółwiach Ninja!

– No właśnie! Ma mnóstwo pieniędzy. Stać go na jacht – powiedział Tyler.

– A co robi na Bahamach? – spytała.

– Szuka złych facetów – odparł Tyler.

– Złych facetów?

– Tak. Kiedy ich znajdzie, to ciach, ciach i po sprawie!

– Okręcił się na jednej nodze i zademonstrował szereg ciosów karate.

– Gdzie poszedł twój towarzysz? – spytała babka Laurę.

– Rozmawia z przewodniczką.

– Bardzo familiarnie – zauważyła Liliana. – Jest ładniutka, prawda?

Laura spojrzała w stronę wejścia do fortu.

– Prawdopodobnie wypytuje ją o fort.

– Prawdopodobnie – powiedziała Liliana z powątpiewaniem.

– Jest profesorem historii – przypomniała jej Laura. – Ma bzika na punkcie historii, a ten fort liczy prawie tyle lat co Stany Zjednoczone. To normalne, że się nim interesuje.

– Najzupełniej normalne – zgodziła się Liliana.

Laura zjeżyła się na sarkastyczny ton siostry. Gdyby należała do kobiet zazdrosnych – a nie należała – mogłaby niechętnym okiem przyglądać się temu tute-a-tute. McCoy i przewodniczka byli całkowicie pochłonięci rozmową; McCoy stał z głową nachyloną w stronę młodej kobiety, jakby nie chciał uronić ani jednego jej słowa.

Rozmawiają na temat historii, powiedziała sobie Laura. O czym innym mogliby rozmawiać? A jednak gdyby należała do kobiet zazdrosnych – ale nie należała – mogłaby się zastanowić, czy McCoy przypadkiem nie flirtuje z dziewczyną. A gdyby była podejrzliwa – a taka nie była – mogłaby pomyśleć, że McCoy w jednej minucie zaleca się do niej, by w chwilę później czarować przewodniczkę.

Playboy McCoy. Nagle przypomniała sobie jego przezwisko. A niech to! Lilianie znów się udało. Zawsze potrafiła zachwiać pewnością siebie Laury, szczególnie gdy chodziło o mężczyzn.

Nigdy więcej! – przysięgła sobie Laura. Nie zamierzała pozwolić siostrze, by jej dokuczała.

– Hej, dzieciaki – powiedziała, kucając. – Widzicie ten rów? Wiecie, że była tam kiedyś fosa?

– Co to jest fosa? – spytała Malwinka.

– To rów wypełniony wodą, jak rzeka. Jeśli ktoś chciał się dostać do fortu, musiał przepłynąć w pław lub łodzią. Dzięki temu żołnierze zyskiwali czas, by się przygotować.

– Do czego? – spytała dziewczynka.

– Do walki, ty głuptasie – powiedział Tyler, okręcając się na pięcie i

znów wyrzucając ręce w ciosie karate.

– Czy to nie ludzie z naszego mikrobusu? – spytała Róża, wskazując grupkę turystów.

– Lepiej pójdźmy za nimi – powiedziała Laura. – Chyba nie chcemy tu zostać.

– A co z profesorem? – spytała Liliana.

Laura wzruszyła ramionami. Nie miała najmniejszego zamiaru dać się sprowokować siostrze.

– Jest dorosły. Poradzi sobie.

Kiedy szły w stronę bramy, rzuciła podejrzliwe spojrzenie w kierunku McCoya i przewodniczki. Nadal byli pogrążeni w rozmowie niczym złodzieje planujący skok.

Playboy McCoy w akcji? – pomyślała. Chcąc ukarać siebie za podejrzliwość i poczucie niepewności, zmusiła się do odwrócenia wzroku, żeby McCoy przypadkiem nie zobaczył, jak się w niego wpatruje.

Nie zdążyli jeszcze dotrzeć do bramy, kiedy McCoy dołączył do nich. Spojrzał na Laurę i roześmiał się szeroko, ukazując czarujące dołeczki.

– Próbowalas mi się wymknąć?

Oczy mu błyszczały i Laura stwierdziła, że rumieni się jak zadurzona nastolatka. Nie była jednak nastolatką, a rumieniec na jej twarzy nie był wywołany samą jego obecnością, ale bardzo zmysłową obietnicą, którą wyczytała w roześmianych oczach.

– Dowiedziałeś się czegoś interesującego o forcie? – spytała.

– Tylko tego, że nawiedzają go duchy – odparł. Znaczące mrugnięcie świadczyło, że dowiedział się czegoś więcej, ale Laura nie miała czasu, by wypytać go o szczegóły, bo Tyler na wspomnienie duchów natężył słuch.

– Duchy? – spytał przejęty.

– Duchy żołnierzy z przeszłości – wyjaśnił McCoy. – Powiadają, że późną nocą słychać w forcie ich jęki i zawodzenia.

– Ale fajnie! – wykrzyknął Tyler. – Chcę tam wrócić i ich posłuchać!

– Nie! – powiedziała Malwinka. – Ja nie chcę wracać. Nie podobał mi się ten biedny pan.

– Nie wrócimy – uspokoiła ją Liliana. – Mikrobus zaraz odjeżdża.

– Ale ja chcę posłuchać duchów – upierał się Tyler. McCoy zwichrzył chłopcu włosy.

– I tak byś ich nie usłyszał. Żaden szanujący się duch nie pokaże się przy takim tłumie.

– Ale....

– Tyler, duchy nie istnieją – powiedziała Liliana. – To prawdopodobnie tylko zawodzenie wiatru.

– Chcę usłyszeć wiatr zawodzący jak duchy – nie poddawał się Tyler.

– Mikrobus zaraz odjedzie, Tyler! – krzyknęła Liliana, popychając chłopca i jednocześnie obrzucając McCoya niechętnym spojrzeniem. – Pojedziemy do drugiego fortu. Może tam będą duchy.

Mikrobus jeszcze bardziej się nagrzał, stojąc na słońcu, a wysoka temperatura sprawiała, iż wydawał się bardziej zatłoczony. Tyler, naburmuszony, prychnął pogardliwie.

– Chciałem zobaczyć duchy.

– Nie lubię duchów. Boję się ich – oświadczyła Malwinka.

– Ty się wszystkiego boisz – powiedział lekceważąco Tyler. – Jesteś jak mała dzidzia.

Dzieci zaczęły się kłócić i nie obyłyby się bez rękoczynów, gdyby ich prababcia nie wyciągnęła z torebki cukierków. To zadowoliło ich na kilka minut, ale szybko zaczęły się wiercić, kiedy duszny, zatłoczony pojazd jechał przez dzielnicę zabaw możliwych i lekkomyślnych tego świata. Obojętne na błyszczące jaskinie hazardu i bogate posiadłości, wskazywane przez kierowcę, kręciły się i wierciły. Tyler w kółko pytał, jak długo będą jeszcze jechali do następnego fortu, Malwinka natomiast piszczała, że nie chce iść do żadnego fortu, jeśli znów będzie tam smutny pan.

– Nie cieszysz się, że postanowiłeś przyłączyć się do tej miłej wyprawy w rodzinnym gronie? – spytała Laura McCoya głosem pełnym sarkazmu.

McCoy uśmiechnął się pogodnie i powiedział:

– Przynajmniej możemy siedzieć blisko siebie.

– Rzeczywiście, jesteśmy ściśnięci jak śledzie w beczce – przyznała Laura.

– Zatrzymamy się na dziesięć minut w klasztorze – ogłosił kierowca. – Ruiny tego czternastowiecznego francuskiego klasztoru zostały w latach dwudziestych sprowadzone do Stanów Zjednoczonych przez Williama Randolpha Hearsta. Czterdzieści lat później przeniesiono je tutaj, by wykorzystać tę piękną scenerię. Jest to popularne miejsce kręcenia filmów i zawierania ślubów. Zrozumieją państwo dlaczego, kiedy sami zobaczą prześliczny widok, który się stamtąd rozpościera. Posąg ustawiony w centrum jest współczesny.

Dzieci wyskoczyły z mikrobusu jak z procy. Biegły i piszczały. Babka Laury zachichotała, kiedy Liliana musiała pobiec za nimi, by je złapać.

– Gdyby mogły zakonserwować tę energię, zbiłyby majątek – zauważył McCoy.

– Dlatego Pan Bóg obdarza dziećmi kobiety, kiedy są jeszcze młode – powiedziała Róża.

Laura otoczyła babkę ramieniem i przytuliła ją lekko.

– Wiesz, że potrafisz zakasać i mnie, i Lilianę. Róża w zadumie uniosła brwi.

– Ledwo dawałam sobie radę z tobą i Lilianą, kiedy byliście w wieku Malwinki i Tylera. Nie wiem, czy dzisiaj bym sobie poradziła.

Laura jeszcze raz przytuliła się do starszej pani. Za jej studenckich lat dom Róży Randolph był beztroską przystanią, gdzie mogła zapomnieć o egzaminach i pracach kontrolnych. Wiele razy przyjeżdżała z odległego o dwie godziny Gainesville do Orlando spędzić weekend lub ferie z Różą, kiedy nie miała czasu albo ochoty jechać sześć godzin do Miami, żeby spotkać się z ojcem i siostrą.

Stopniowo, dzięki Róży, Laura pogodziła się ze śmiercią matki i ułożyła sobie jakoś stosunki z ojcem. Z tego względu zawsze darzyła babkę specjalnym uczuciem.

Na łagodnym wzgórzu czekał ich niezwykle widok.

– Coś podobnego! – wykrzyknął McCoy.

– O, Boże! – zachwyciła się Róża.

– Wygląda... przedpotopowo – powiedziała Laura. – Jak ruiny spotykane w Rzymie czy w Grecji.

Kamienie i kolumny raczej markowały budowlę, niż ją tworzyły. Posąg w środku ruin, chociaż współczesny, świetnie pasował do nastroju miejsca. W dole pas turkusowej wody oddzielający obie wyspy ginał w bezkresnym morzu, zlewającym się na horyzoncie z bezchmurnym niebem, po którym toczyła się złota kula słońca. Wszystko – kamienie, zbocze wzgórza, ocean, niebo – zdawało się zatrzymane w czasie.

– Brakuje tylko jednorożców i tańczących nimf – stwierdziła Laura.

– I Pana grającego na flecie – powiedziała w zadumie Róża.

– I jednego czy dwóch satyrów – dodał McCoy.

– Satyrów zostawiam tobie – zażartowała Laura. McCoy wzruszył ramionami.

– Chybabyś nie chciała, żeby nimfy się nudziły?

Laura rzuciła mu uśmiech. Było to takie... w stylu McCoya – trochę nieprzyzwoite i trochę romantyczne, Przybiegła Malwinka, policzki miała zaróżowione z podniecenia, włosy skręciły jej się wokół twarzyczki niczym pierścionki w wilgotnym, gorącym powietrzu; trzymając plastikową różdżkę z mieniającymi się wstążeczkami, przypominała nimfę.

– Podoba mi się tutaj – powiedziała. – Tu jest ślicznie.

– Łatwo zrozumieć, dlaczego ludzie chcą brać ślub w takim miejscu, prawda? – spytała Róża. – To wprost wymarzona sceneria na taką uroczystość.

– Mnie bardziej przypomina miejsce, gdzie poświęcano dziewice – pomyślała Laura na głos.

Natychmiast się zorientowała, że pożałuje tej uwagi, kiedy McCoy bąknął pod nosem:

– To przecież to samo.

Ale Malwinka sprawiła, że pożałowała jeszcze bardziej.

- Kto to jest dziewczica? – spytała dziewczynka.
- To... – Laura zauważyła wesołe iskierki w oczach McCoya, kiedy starała się znaleźć właściwe określenie – to młoda dziewczyna o czystym sercu – powiedziała w końcu.
- Jak ja? – spytała zachwycona Malwinka.
- Właśnie taka jak ty! – potwierdziła Laura z wyraźną ulgą.
- Świetnie sobie poradziłaś – zauważyła Róża. Liliana przyłączyła do nich ze słowami:
 - Niczego sobie miejsce, co?
 - Właśnie rozmawialiśmy o poświęcaniu dziewic – poinformował ją McCoy. Laura, nie przestając się uśmiechać łagodnie, dała mu kuksańca w bok. Malwinka pod wpływem nagłego natchnienia powiedziała:
 - Ciociu Lauro, mogłabyś tu wziąć ślub.
 - Słucham? – spytała Laura zdumiona.
 - Mogłabyś poślubić pana McCoya.

Laura nie odważyłaby się w tamtej chwili spojrzeć na McCoya.

- Nie sądzę...
- Nie jest pan prawnikiem, prawda? – spytał niespodziewanie Tyler, patrząc na McCoya egzaminującym wzrokiem.
- Nie – odparł McCoy, bynajmniej nie speszony.
- Zapomniałeś, Tyler? Pan McCoy jest profesorem – powiedziała Laura, czując ogromną ulgę, że rozmowa zeszła na inny temat. Po chwili stwierdziła, że jej ulga była przedwczesna, bo Tyler zwrócił się do niej:
 - W takim razie możesz go usidlić.
 - Co? – spytała, zaskoczona.
 - Tyler – rzuciła ostrzegawczo Liliana, ale było za późno, by zapobiec katastrofie.
 - Dziadek powiedział, że chciałby, abyś wyszła za męża. Wtedy nie musiałby się tak o ciebie martwić. A mama powiedziała...
 - Tyler! – powtórzyła Liliana, ale na próżno. Chłopiec ciągnął bez troski.
 - Powiedziała, że nie musi się martwić, bo wcześniej czy później kogoś usidlisz, ale na pewno nie prawnika.

Laura spojrzała na siostrę, jakby ją chciała zabić wzrokiem.

- No wiesz!

Liliana otworzyła usta, ale zanim zdołała wykrztusić cokolwiek na swoją obronę, Tyler spytał:

- Ciociu Lauro, mogę popatrzeć, jak będziesz zastawiać sidła na pana McCoya?
- Jeśli ktokolwiek zostanie dziś złapany w sidła, na pewno nie będzie to pan McCoy – oświadczyła Laura, patrząc chmurnie na siostrę. – Miło mi, że

razem z tatą tak się przejmujecie moją osobą.

– Jeśli poślubisz pana McCoya, zostanie moim wujkiem – wtrąciła Malwinka.

Laura westchnęła bezradnie, patrząc na siostrzenicę. Dziewczynka wyglądała jak cherubinek, jej puciołowata buzia była tak szczerą, jak tylko może być buzia niewinnego dziecka. Laura przyklękła i ujęła rączki Malwinki w swoje dłonie.

– Skarbie, dopiero co poznałam pana McCoya. Ludzie nie poślubiają kogoś, kogo dopiero co poznali.

– Ale go lubisz – nie poddawała się dziewczynka. – Tak, ale to nie to samo, co...

– Chcę, żeby ten pan został moim wujkiem – upierała się Malwinka.

McCoy wziął dziewczynkę na ręce.

– A co powiesz na to, żebym został twoim honorowym wujkiem? Obyłoby się bez ślubu.

– Co to znaczy?

– Możesz mnie przysposobić na wujka. Wystarczy, jak machniesz nad moją głową swoją czarodziejską różdżką i powiesz: Oto mój wujek Roy.

– I mogę wtedy do ciebie mówić wujku Royu?

– Oczywiście. I twój braciszek też.

Tyler chrząknął, jakby zwracanie się do McCoya „wujku Royu” nie miało dla niego i tak żadnego znaczenia.

– Chciałem zobaczyć, jak go będziesz usidlała – poskarżył się Laurze.

– Nie zamierzam usidlić pana McCoya ani nikogo – powiedziała Laura.

Klakson wezwał turystów do powrotu. Laura pomyślała, że nigdy nie słyszała piękniejszego ani bardziej wyczekiwanego dźwięku.

– Lepiej się pośpieszmy.

– Zanieś mnie – zwróciła się Malwinka do McCoya.

– Z przyjemnością. Nikt nie potrafi lepiej nosić na rękach małych dziewczynek niż świeżo upieczeni wujkowie.

Laura nie zdawała sobie sprawy, że niemal biegła, póki Liliana nie dogoniła jej i nie zatrzymała, kładąc rękę na ramieniu.

– Lauro... Przepraszam za... za to wszystko. Wiesz, jak to jest... dzieciaki mówią najgorsze rzeczy w najmniej odpowiedniej chwili.

– I cytują całkiem dokładnie – odparowała ostro Laura. – Jednym z powodów, dla których opuściłam Miami, było pragnienie odrobiny prywatności.

– Nikt nie narusza twego prawa do prywatności – zareplikowała Liliana. – Ale myślimy o tobie. I oczywiście czasami rozmawiamy o tobie i o tym, co według nas byłoby dla ciebie najlepsze. Kochamy cię. Wybaczysz mi? – spytała Liliana z nadzieją.

Laura wzruszyła ramionami.

– Cóż tu jest do wybaczenia? Stało się. Żałuję, że akurat w obecności McCoya.

Liliana uniosła pytająco brwi. – Słuchaj, jestem na urlopie, poznałam wspaniałego faceta. To tylko wakacyjna przygoda, nic poważnego. Cieszyłabym się, gdyby nic tego nie popsuło.

Liliana skinęła głową, uśmiechając się lekko.

– Spróbuję nałożyć kagańce kochanym szkrabom. Lepiej nie robiłabyś w ich obecności takich uwag!

Laura, ale nie chcąc ciągnąć tego tematu, skinęła jedynie głową w milczeniu.

McCoy przystanął tuż obok, wciąż trzymając Malwinę na rękach.

– Widzę, że masz ręce pełne roboty – zauważyła Laura.

– Przynosiłam go – oświadczyła dziewczynka. Poczciwy, stary Roy – pomyślał McCoy. Kochany przez dzieci i koty. Nie wiedział, dlaczego od razu zyskiwał sobie ich sympatię. Jeśli chodzi o koty, był prawie pewny, że przyczyną była jego całkowita obojętność względem nich; koty cenią u ludzi tę cechę. Z dziećmi było zupełnie inaczej; chociaż udawał obojętność, jakimś szóstym zmysłem odgadywały, że w głębi duszy lubi dzieci. Ta mała pieszczołka tuląca się do niego nie była pierwszym dzieckiem, które mianowało go honorowym wujkiem.

Ona pierwsza zaproponowała, by zdobył status wujka, poślubiając jej ciocię. Nie wstrząsnęło to starym, cwany wygą, jakim był Playboy McCoy. Była tylko dzieckiem, rozumowała jak one, z ową prostotą i niewinnością, z jakimi dzieci postrzegają świat. Mimo to Roy był poruszony, ponieważ jego mechanizm obronny zadziałał niezwykle wolno – tak wolno, że miał czas wyobrazić sobie Laurę stojącą na szczycie wzgórza w czymś długim, powiewnym i dziewiczo białym.

Starął się o tym nie myśleć podczas jazdy do Fortu Fincastle.

– Fort Fincastle, wzniesiony w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim roku przez lorda Dunmore'a, składa się z dwóch części – powiedział kierowca, kiedy mikrobus zwolnił. – Główny budynek ma kształt dziobu statku. Jest tu również latarnia morska i wieża ciśnień, najwyższa budowla na wyspie. Za drobną opłatą można wejść na jej szczyt.

Tyler zerwał się i pobiegł do wyjścia, jeszcze zanim samochód się zatrzymał, ale Malwinka, rozsiadłszy się wygodnie na kolanach McCoya, nie spieszyła się zbytnio do zwiedzania kolejnego fortu.

Cierpliwość Liliany najwyraźniej była na wyczerpaniu, kiedy obiecała:

– Jeśli się czegoś przestraszysz, zamkniesz oczy i natychmiast wyjdziemy. Zgoda?

Dziewczynka z kokieteryjnym uśmiechem spojrzała na McCoya.

– Wujku Royu, będziesz mnie niósł na rękach?

– Malwinko, jesteś już dużą dziewczynką, możesz iść na własnych nóżkach – zwróciła jej uwagę matka. McCoy uśmiechnął się czarująco do Liliany.

– Niech pozostanie u mnie na rękach, póki się nie przekona, że nie ma się czego bać i dalej może iść sama.

Liliana wzruszyła ramionami.

– Jak pan chce.

Odsunęła się, żeby McCoy mógł wstać, i szepnęła do Laury:

– Przepraszam. Laura uniosła ręce w geście pokonanej i wysiadła z mikrobusu za McCoyem, pocieszając się nieco tym, że był to ostatni przystanek przed powrotem na statek.

McCoyowi wydawało się, że wie co nieco o dzieciach, ale stwierdził, jak potrafią być nieobliczalne, kiedy po wyjściu z samochodu Malwinka krzyknęła podniecona:

– Zabawki!

Wypatrzyła przed wejściem na wieżę sprzedawcę pamiątek.

– Chcę obejrzeć! – zażądała, wierząc się, by ją postawić na ziemi.

– Dobrze! – powiedziała Liliana i kiedy McCoy przyklęknął, by delikatnie postawić dziewczynkę, wyciągnęła rękę do córeczki. – Chodźmy na zakupy.

McCoy z niedowierzaniem potrząsał głową, obserwując dziewczynkę zmierzającą w kierunku straganu z pamiątkami, a potem zauważył ironicznie:

– Oto jakie są kobiety.

– Jak szybko zapominają, co, wujku Royu? – spytała figlarnie Laura.

– Jakie znaczenie ma wujek, kiedy nadarza się okazja zakupów – odparł zabawnym tonem. – Za parę lat będzie szalała w domach towarowych.

– Uwierz mi, ona już wie, co to są domy towarowe. Tyler przyglądał się fortowi, w końcu wskazał wierzchołek wieży.

– Chcę pójść na górę.

Róża zaskoczyła wszystkich, mówiąc:

– Przyda mi się trochę gimnastyki. Może wybierzemy się razem?

Uśmiechając się znacząco do Laury i McCoya, wyciągnęła rękę do prawnuka. Tyler z zapałem zaprowadził ją do drzwi wieży.

Nagle zostali sami. Stało się to tak nieoczekiwanie, że żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. McCoy wiedział, co zrobić: sięgnął po dłoń Laury i ucisnął ją. Ten gest znaczył więcej niż morze słów.

– Chcesz wejść na szczyt wieży? – spytała Laura.

– Niespecjalnie.

– Chcesz obejrzeć pamiątki?

– Nie.

– A co powiesz na sprawdzenie, jaki widok rozpościera się z tej budowli

w kształcie dziobu statku?

McCoy się uśmiechnął.

– Myślałem, że nigdy o to nie zapytasz!

Po krótkim spacerze i wspinacze po wąskich schodach znaleźli się na tarasie widokowym. Liczne łódki z nieskazitelnie białymi żaglami kiwały się leniwie na skrzących się w promieniach słońca turkusowych wodach.

– Mam nieodparte wrażenie, że patrzę na pocztówkę – wyznała Laura. – Tu jest aż za pięknie.

– Jeszcze niezupełnie – nie zgodził się McCoy, stając za nią i obejmując ją w pasie – ale z każdą chwilą jest coraz lepiej.

Laura odprężyła się w jego objęciach, a on oparł brodę na jej ramieniu.

– Widzisz to co ja? – spytał. – Prosto przed nami, z wydętymi żaglami?

– A niby co mam widzieć? „NiCę”, „Pintę” i „Santa Marię”?

– Chodzi mi o czasy nieco późniejsze – powiedział McCoy. – I o piratów.

– Aha.

– Może to być Czarnobrody albo Henry Morgan, albo Calico Jack, przybywający tu, by się zabawić.

– Rozumiem – powiedziała w zadumie Laura. – Czy to znaczy, że powinnam pobiec do rodzinnej chatki i się ukryć?

– Cóż, możesz im usługiwać lub...

– Dziękuję. Wyobrażam sobie, do czego są zdolni po kilku szklaneczkach Whisky. Poza tym podejrzewam, że piraci nie najprzyjemniej pachną.

– Jeśli nie chcesz im usługiwać, możesz się nauczyć władania nożem i przystać do Calico Jacka.

– Myślałam, że kobiety na statku przynoszą pecha.

– Nie Anna Bonney i Mary Read. Całkiem nieźle posługiwały się nożami i nie miały skrupułów, by ich używać.

– Prawdziwe damy. McCoy się roześmiał.

– Niezupełnie. W pełni wykorzystywały swoje... wrodzone wdzięki.

– Co masz na myśli?

– Wyobraź sobie tylko, że jesteś żeglarzem, który Spędził kawałek czasu na morzu, i na pokład wpada parę piratek nagich do pasa... cóż, powiedzmy, że panie stosowały element zaskoczenia.

– Ważniejsza głowa niż siła mięśni. – dopowiedziała Laura.

McCoy znów się roześmiał.

– Ważniejsze piersi niż siła mięśni. Oszczędzały głowy na później, kiedy skazywano je na szubienice. Unikały stryczka, symulując ciążę.

– Czy to mały przykład z twoich wykładów „Seks w ciągu wieków”?

– Słucham? – spytał z roztargnieniem. Czują jego policzek tuż przy swoim uchu. – Och, nie. To z krótkiego zarysu historycznego zawartego w przewodniku, który kupiłem. Ale rzeczywiście mogę to wykorzystać w swoich

wykładach.

– To musi być dla ciebie niezwykle przeżycie znaleźć się w takim miejscu. Tyle historii, i to tak odległej.

Historia? W tej chwili najmniej o tym myślał. Jej włosy pachniały, a dotyk ciała sprawiał, że się niemal rozmarzył.

– Mówiąc szczerze, to jedyna wycieczka, podczas której bardziej interesuje mnie teraźniejszość... i najbliższa przyszłość – powiedział. – Na przykład jak spędzimy resztę dnia. – I ile jeszcze czasu upłynie, nim będę cię miał tylko dla siebie, dodał w myśli.

– Sądziłam, że wybierzemy się na bazar, a potem znajdziemy sobie plażę, żeby trochę poleniuchować – powiedziała Laura.

McCoy jęknął, jakby nagle poczuł ból.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona.

– Właśnie wyobraziłem sobie ciebie w kostiumie kąpielowym.

– Nie wyglądam aż tak okropnie. Ucisnął ją lekko.

– Nie to sprawia, że tracę rozum.

– Specjalnie na ten rejs kupiłam nowy kostium kąpielowy. Jest trochę skąpy, ale pracowałam nieco nad sobą i postanowiłam pokazać rezultaty.

– W takim razie będę zmuszony cały czas spędzić zanurzony w wodzie przynajmniej do pasa.

Ta uwaga zawierała jednoznaczny podtekst, który przejął Laurę dreszczem podniecenia. Pragnęła przez chwilę wykorzystać władzę, jaką nad nim miała. Chciała się nią bawić, delektować jak ostatnimi kroplami wybornego wina na dnie kryształowego kieliszka lub ostatnią czekoladką z bombonierki w kształcie serca. Odsunęła się od niego troszkę i uśmiechnęła słodko.

– Ach, więc masz ochotę popływać.

– Ależ tak – powiedział sarkastycznie McCoy – jestem prawdziwą rybą.

Podniecenie sprawiło, że mięśnie miał napięte do granic możliwości. Duszne, tropikalne powietrze wydało się Laurze nagle ciężkie, jej oddech stał się wolniejszy i głębszy. Fala ciepła zabarwiła policzki na różowo. Odwróciła wzrok, udając zainteresowanie odległą żaglówką, ale było już za późno.

W zmysłowym, gardłowym śmiechu McCoya dosłyszała nutkę drwiącego triumfu.

– Panno Randolph. ma pani ochotę popływać?

ROZDZIAŁ 7

– Ten jest bardzo twarzowy – powiedział McCoy, kiedy Laura, włożywszy kolejny słomkowy kapelusz, przechylała głowę w różne strony, by mógł lepiej ocenić. Wszystkie, które do tej pory mierzyła, wydawały mu się identyczne.

Laura zdjęła kapelusz i odłożyła go na stragan, przecząco kręcąc głową do zawiedzionej właścicielki.

– Dlaczego go nie wzięłaś?

– Bo ci się nie podobał.

McCoy z typowo męskim zniecierpliwieniem wzniosł oczy do góry.

– Przecież powiedziałem...

Laura w kobieco irytujący sposób wzruszyła ramionami.

– Nie zrobił na tobie wrażenia. Widziałam to.

– Kapelusze na mnie nie działają, to fakt. Laura w odpowiedzi roześmiała się cicho i dobrotliwie pokiwała głową, kierując się do następnego straganu.

McCoy nie przepadał za zakupami, ale gotów był na wszystko, byle tylko mieć przy sobie Laurę Randolph. Trudno powiedzieć, że byli sami, ale przynajmniej nie pod czujnym wzrokiem krewnych. Rodzina Laury wróciła na statek na lunch, po którym Malwinka i jej prababka miały zwyczaj ucinać drzemkę.

Prawie od godziny krążyli po bazarze między szeregami kramów, za którymi królowały ciemnoskóre kobiety w wypłowiałych, bawełnianych spódnicach i bluzkach. Czując okazję zarobienia kilku dolarów, unosiły wzrok znad robótek i pytały: „Czym mogę służyć, panienko?” lub „Ile panienka za to da?”

Laura sprawdzała ceny i porównywała torebki, siatki na zakupy i kapelusze, które McCoyowi wydawały się identyczne, więc zastanawiał się, po co te wszystkie ceregiele z wybieraniem. A ona niestrudzenie przymierzała kolejne kapelusze i pytała go o opinię.

Jakby mógł się skoncentrować na kapeluszach, kiedy widział jej usta, pełne i błyszczące, przypominające mu, jakie to uczucie całować ją i trzymać w ramionach!

Wypatrzyła nowy kapelusz, włożyła go, odrzuciła głowę i zmrużywszy oczy, spojrzała na niego spod opadającego randa.

– Co sądzisz o tym? – spytała. Przymierzyła ich już chyba ze trzydzieści i za każdym razem musiał patrzeć na nią i te cudowne usta. Za każdym razem odchyłała głowę, ukazując białą szyję. Zaledwie kilka centymetrów niżej widział jej dekolt w wycięciu bluzki i wy – starczyło tylko troszeczkę puścić wodze fantazji, by wyobrazić sobie nagie piersi.

Co sądzi o tym? A cóż go, u diabła, obchodzą kapelusze? Pod wpływem nagłego impulsu złapał ją i przyciągnął do siebie.

– Ten kapelusz – powiedział, odpychając ją lekko z przesadą typową dla aktorów filmu niemego – wzbudza w mężczyźnie pożądanie.

Delektował się jej zaskoczoną miną, a potem zbliżył usta do jej warg, by ją pocałować. Kiedy ją puścił, zobaczył, że cała drży.

Sam też miał kłopot ze złapaniem tchu.

– Jeśli nie kupisz tego kapelusza, to jakby... freski w Kaplicy Sykstyńskiej miały odpaść. Jakby... Góry Skaliste miały się zawalić.

Laura nie mogła skupić myśli, ale kiedy spojrzała na uśmiechniętą twarz McCoya, też się roześmiała i rzekła do właścicielki straganu:

– Wezmę ten.

Czarnoskóra kobieta w wieku trudnym do określenia, z włosami przewiazanymi bawełnianą chustą, rozpromieniła się na te słowa i zaczęła zachwalać inne towary.

McCoy, obserwując targującą się Laurę, był pod wrażeniem jej entuzjazmu i umiejętności. Zachowywała się jak wytrawny negocjator, okazując zaledwie tyle zainteresowania przedmiotem, by właścicielka straganu zaczęła wymieniać ceny. Potem udawała obojętność, chcąc się przekonać, jak bardzo przekupka jest skłonna obniżyć cenę, byleby tylko sprzedać towar.

Stopniowo przybywało zakupów. Wybrała dużą siatkę na sprawunki, niewielką torebkę i małe koszyczki na drobiazgi. W końcu właścicielka kramu przystąpiła do zachwalania bawełnianych koszulek. Laura przecząco kręciła głową, mówiąc „nie”, ale się zawahała, kiedy kobieta pokazała długą, luźną koszulkę z rysunkiem kotki i napisem „Bahama Mama”. Koszulka miała liczne rozcięcia, które wiele odsłaniały, ale w taki sposób, by nie narazić właścicielki na aresztowanie pod zarzutem nieprzyzwoitego obnażania się w miejscu publicznym.

Kobieta od razu dostrzegła zainteresowanie Laury i wkrótce zaczęły się targi o cenę. W końcu Laura włożyła koszulkę do torby razem z pozostałymi zakupami, zadowolona, że zrobiła taki świetny interes.

Świadomość, że bluzka jest w torbie, wywołała u McCoya dziwny niepokój. Przypomniawszy sobie mgliste napomknienia Laury o tym, że „szuka jakiegoś plażowego wdzianka”. Wreszcie dotarło do niego, że zamierza włożyć tę bluzkę na kostium kąpielowy. Wszystkie te rozcięcia będą się rozchylały przy każdym jej ruchu, a on będzie się temu przyglądał.

– Może kupiłby pan koszulkę? – spytała z nadzieją w głosie przekupka.

– Nie – odparł McCoy. – Zdaje się, że nie ma pani maskotek? – Zwracając się do Laury, wyjaśnił: – Mam kolegę kolekcjonera.

Kobieta pokręciła głową i zaproponowała:

– Proszę spróbować u Honda. – U Honda?

– Na końcu schodami w górę – powiedziała, wskazując ręką. – Może coś będzie miał.

Hondo miał koło pięćdziesiątki, był ubrany w bawełnianą koszulkę i spodnie koloru khaki. Zapytany o maskotki, pokazał im rząd gipsowych kotów, pomalowanych na czarno. McCoy obejrzał jednego uważnie, a potem zwrócił się do Honda:

– Ten będzie w sam raz.

– Do kasyna, tak? – spytał Hondo. – Pan wygra mnóstwo pieniędzy, mając kota ode mnie.

– Nie, nie – powiedział McCoy – nie mam zamiaru... – urwał w połowie zdania i spojrzał na Laurę, uświadomiwszy sobie nagle, że nie rozmawiał z nią o planach na wieczór. Miał nadzieję, że nie zamierza sprawdzić skuteczności maskotki. Sam był jak najdalszy od odwiedzenia jaskiń hazardu. – Chyba nie planujesz dać zarobić jednorękim bandytom, co?

Laura wzruszyła ramionami.

– Nie wybiegałam myślą aż tak daleko naprzód.

– Powinna się pani wybrać do kasyna – rozległ się za nimi czyjś spokojny głos. Odwrócili się zdumieni i ujrzeli wysoką Metyskę. Długie, czarne włosy z rudawobrazowymi pasmami miała misternie zaplecione i ozdobione koralikami.

– Gwiazdy pani sprzyjają – ciągnęła, patrząc na Laurę. – Jestem jasnowidzem. Dostrzegam pozytywne elementy.

w pani aurze.

– Naprawdę? – spytała Laura, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej.

Kobieta się roześmiała.

– To nie czary. To dar natury, nadprzyrodzona moc. – Wyciągnęła przed siebie ręce. – Powrózę pani. Tylko cztery dolary.

Widząc rozbawienie w oczach McCoya, Laura uśmiechnęła się do niego figlarnie, a potem odwróciła się do wróżki i położyła dłonie na jej wyciągniętych rękach. Kobieta zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich oddechów.

– Tak. To pomyślny okres w pani życiu i szansa na wielką miłość. – Uśmiechnęła się, nie otwierając oczu. – Wiele rozkoszy. Tak.

W jej wolno cedzonych słowach brzmiała nutka zmysłowości i nietrudno było sobie wyobrazić, co kobieta widzi. Laurę zaczęły palić policzki.

Wyraz twarzy kobiety zmienił się gwałtownie. Zaczerpnęła powietrza, twarz wykrzywił grymas. Otworzyła oczy i zabrała ręce, jakby dłonie Laury ją parzyły.

– Co to znaczy? Co ujrzałaś? – spytała Laura, przekonana, że kobieta odgrywa sztuczkę na użytek turystów, mimo to dając się wciągnąć w tę zabawę.

Kobieta zmusiła się do uśmiechu.

– Po chwilach szczęścia nadejdzie czas smutku. – Rzuciła McCoyowi

spojrzenie pełne wyrzutu.

McCoy zapłacił za kota, którego Hondo zawinął w gazetę. Laura wyciągnęła z portmonetki banknot pięciodolarowy i podała kobiecie. Biorąc go, Metyska złapała Laurę za rękę i powiedziała konfidencjonalnym szeptem:

– Czasami pozory mylą. Nie bój się kierować głosem serca. Jeśli będziesz tak postępowała, znajdziesz szczęście. – Potem dodała zwykłym tonem: – Przyniosę resztę.

Laura machnęła ręką i kobieta, uśmiechając się, wsunęła banknot do kieszeni spódnicy. McCoy wziął kota pod pachę.

– Czy chcesz jeszcze na coś rzucić okiem? – spytał. Laura pokręciła głową.

– Mam wszystko, czego chciałam. I umieram z głodu! Postanowili przed pójściem na plażę wrócić na statek i zjeść późny lunch. W cieniu straganów było stosunkowo chłodno, ale na zewnątrz słońce mocno przygrzewało.

– Idealny dzień na plażę – zauważył McCoy, kiedy szli wąskimi chodnikami, mijając nie kończący się ciąg wystaw, prezentujących pamiątki, bawełniane koszulki, alkohole i perfumy.

Laura przyznała mu rację.

Dwie i pół godziny później stała roześmiana na plaży, wody Atlantyku obmywały jej stopy, a piasek Bahamów przesypywał się między palcami. Prosto z taksówki pognęła do morza i nadal w jednej ręce trzymała torbę plażową, a w drugiej sandały. Głowę odchyliła do tyłu, by wystawić twarz na pro – mienie słońca.

McCoy stał na brzegu i obserwował Laurę, rozkoszując się jej wolnością i szczęściem. Podziwiał ją. Pragnął jej.

– Chodź. Woda jest cudowna – namawiała go, przepełniona dziecięcą radością.

McCoy ujrzał w myślach wszystkie sceny miłosne w wodzie – niemal czuł sól na ustach, wyobrażając sobie, jak leżą w płytkiej wodzie, spleceni w uścisku.

– Już idę – powiedział, mocując się ze sznurowadłem.

– Jeśli zacznę tonąć, to koniec – zażartowała, wychodząc zwody.

McCoy podskakiwał za nią na jednej nodze, wciąż walcząc z opornym sznurowadłem. Wyjęła z torby ręcznik, rozłożyła go, usiadła wyciągając nogi przed siebie, by go nie zapiaszczyć. McCoy z ulgą opadł obok i wziął się do rozplątywania sznurówki. W końcu, zdesperowany, nie mogąc jej rozwiązać, ściągnął but z nogi.

– Bardzo ładnie – zauważyła kpiąco Laura. – Jak zamierzasz go później włożyć?

Obrzucił ją spojrzeniem, które zazwyczaj rezerwował dla przemądrzałych

studentów.

– Impertynentka!

Laura nie poczuła się obrażona.

– Nie słyszałeś nigdy o klapkach?

McCoy ściągnął drugi but, nim spojrzał na nią chmurnie.

– Nie lubię kłapek.

Laura wyciągnęła z torby tubkę kremu do opalania. McCoy odrzucił but i skupił się na obserwowaniu zgrabnych ruchów dłoni Laury, rozsmarowującej krem na twarzy, ramionach i nogach.

Czując na sobie jego uważne spojrzenie, uśmiechnęła się.

– Potrzebujesz pomocy? – spytał.

– Na razie nie – odparła słodko. – Oczywiście gdy zdejmę bluzkę, z pewnością znajdzie się kilka miejsc, do których nie sięgnę sama.

McCoy zaklął pod nosem. Włożyła na kostium kąpielowy różowy komplet z szortami i fragment ciała poniżej pasa był teraz osłonięty kawałkiem błyszczącej, wściekle różowej tkaniny. Zaczął się zastanawiać, jaką nową torturę wymyśli Laura, kiedy zdejmie szorty.

– Próbujesz mnie wykończyć, co? Uśmiechnęła się zalotnie.

– Chcę jedynie, żebyś stracił głowę.

– Straciłem ją, kiedy cię pocałowałem po raz pierwszy.

– Czy myślałeś, żeby się zwrócić do kogoś o poradę? McCoy zachichotał.

– Interesuje mnie tylko taka, zgodnie z którą mógłbym przebywać sam na sam z tobą.

– Rozpustnik! – wykrzyknęła, a potem rzuciła w niego tubką z kremem. – Masz. Oszczędź sobie cierpienia w przyszłości.

McCoy złapał tubkę i spojrzał na Laurę tak, jakby chciał spytać: Kobieto, do czego próbujesz mnie nakłonić?

– Nie wiem, dlaczego mężczyźni nigdy nie stosują kremów do opalania. Boją się, że to niemęskie czy co?

– Zazwyczaj nie ulegam oparzeniom słonecznym. Laura prychnęła.

– W taki bezchmurny dzień? Będziesz mi później dziękował. Rzucił jej przebiegły uśmiech.

– Zgoda – powiedział, ściągając przez głowę bawełnianą koszulkę. – Ale nie wszędzie sięgnę sam.

– Liczyłam na to – stwierdziła Laura.

– Czarownica! – rzucił McCoy, niedbale nakładając krem na twarz i tors.

Laura przysunęła się do niego i dotknęła palcem grubej warstwy kremu na jego policzku, po czym rozsmarowała go na brodzie i szyi.

– Trzeba rozprowadzić krem równą warstwą. Ich spojrzenia się spotkały.

– Smaruj, skarbie. Smaruj wszędzie, gdzie uważasz za stosowne.

Czy to szorstkość jego policzka, błysk namiętności w jego spojrzeniu czy

też ton głosu sprawiły, że Laura stopniała jak wosk? Nie wiedziała. I właściwie było jej to obojętne. Wiedziała jedynie, że odczuwa przyjemność dotykając go, a jego południowy akcent pobudza jej zmysły.

– Naprawdę jesteś z Teksasu? – spytała.

– Urodzony i wychowany, jak mawiają w tamtych stronach.

– Więc jakim cudem poczciwy chłopak z Teksasu skończył jako profesor historii w Orlando na Florydzie?

Smarowała mu teraz ramiona.

– Można powiedzieć, że nie miałem innego wyjścia. Na absolwentów historii nie czeka wiele miejsc pracy.

– A dlaczego właśnie historia? – spytała Laura z roztargnieniem, smarując jego gładką skórę.

– Przeznaczenie, skarbie. Byłem skazany na historię. Moja babcia była założycielką okręgowego towarzystwa historycznego.

Dłoń Laury znieruchomiała.

– Ciekawe, w ile z twoich opowieści mogę wierzyć – powiedziała.

Chciała wierzyć we wszystko. Chciała, żeby istniał naprawdę. Pragnęła, żeby to, co czuła, było prawdziwe, a nie wymaginowane.

Uniósł dłoń do jej twarzy.

– Dlaczego miałbym cię okłamywać, skarbie?

Nic nie powiedziała. No właśnie, dlaczego miałby ją okłamywać?

– W parku okręgowym był amfiteatr i każdego lata wystawiano tam wielkie widowisko historyczne – ciągnął. – Brałem w nich udział, odkąd nauczyłem się chodzić. Zazwyczaj byłem osadnikiem, ale czasami otrzymywałem rolę żołnierza armii Sama Houstona. Któregoś roku byłem Indianinem.

Wyciągnęła rękę, a on wycisnął na nią pokąźną ilość kremu.

– Wyobrażam sobie ciebie jako aktora.

– Występuję wyłącznie w sztukach historycznych – zastrzegł się. – Odtwarzanie na scenie dawnych dziejów przybliża przeszłość. Mój dziadek był zapalonym amatorem inscenizacji bitew. Co roku jeździliśmy do San Jacinto.

– Czy to ten, który podczas drugiej wojny światowej służył w marynarce?

– Nie. Ten drugi.

Zamknął oczy i westchnął zmysłowo. Laura stwierdziła, że od dłuższej chwili masuje mu ten sam fragment torsu. Gwałtownie cofnęła rękę.

McCoy otworzył jedno oko i uniósł kąciuki ust w figlarnym uśmiechu.

– Nie przerywaj teraz, skarbie. Zdaje się, że jesteśmy bliscy osiągnięcia cudownej Laura prychnęła żartobliwie.

– Nie zapomnij o bokach. Cholernie boli, kiedy człowiek się tam spieczę.

Laura posmarowała kremem każdy centymetr jego obnażonego ciała. Nie był kulturystą, ale uważała, że jest ładnie zbudowany, kłatkę piersiową miał

szeroką i silnie umięśnioną, w pasie był szczupły. Ujęła kępkę czarnych włosów porastających tors.

– Czy usunąłeś je sobie woskiem, kiedy grałeś Indianina?

McCoy zachichotał.

– Nie zgodziłbym się nawet w imię wierności historycznej! – Otworzył oczy i spojrzał na nią pożądliwie. – Jestem stworzony dla przyjemności, a nie cierpienia.

Położył się na brzuchu, podkładając sobie ręce pod głowę. Z westchnieniem zamknął oczy.

– Potorturuj mnie jeszcze trochę.

Laura wycisnęła mu na plecy nieco kremu, a potem rozprowdziła go na karku, ramionach i plecach, aż do miejsca, gdzie sięgał pasek spodni.

– Nazywasz to torturami?

– A co to jest twoim zdaniem? – mruknął.

– Sądząc z twoich pomruków powiedziałabym, że to raczej gra wstępna.

Roześmiał się cicho.

– Skarbie, jeszcze nie słyszałaś, jak potrafię mruzczeć! Laura wypatrzyła fragment skóry w pobliżu pasa i uszczypnęła go. McCoy krzyknął i podskoczył gwałtownie.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Dla zasady – wyjaśniła Laura. – Cierpienie rozwija charakter.

Mruknął coś niewyraźnie i znów ułożył się na ręczniku. Laura usiadła ze skrzyżowanymi nogami i spojrzała na połyskującą wodę. Po chwili milczenia powiedziała:

– Kocham wodę. To się ma chyba we krwi, kiedy się rosło nad morzem.

– Mieszkałaś w Miami?

– Tak. Spędziłam wiele letnich dni na plaży. – Westchnęła. – Ocean zawsze wpływał na mnie kojąco. Kiedy mi było bardzo ciężko, chodziłam na plażę, patrzyłam, jak fale biją o piasek, wdychałam powietrze przesycone zapachem soli i ryb.

– Kiedy było ci tak ciężko? I dlaczego? Laura wzruszyła ramionami.

– Och, typowe problemy nastolatki: rozterki miłosne, kłopoty w szkole i w domu.

– Nie zgadzałaś się z ojcem? McCoy zauważył, że spochmurniała.

– Szttywniejesz na każdą o nim wzmiankę. Jeśli jestem wścibski...

– Nie – odparła, patrząc na wodę. – Nie jest tajemnicą, że mamy z ojcem różne poglądy. W dużym stopniu były to konflikty typowe dla wieku dojrzewania, szczególnie po tym, jak moja matka...

Nim urwała, dosłyszał w jej głosie nutkę wciąż żywego żalu. Czekał w milczeniu, aż znów zacznie mówić.

– Umarła, gdy miałam szesnaście lat. Zupełnie niespodziewanie. Przeszła

drobną operację usunięcia torbieli jajnika. Kiedy analizy laboratoryjne potwierdziły, że guz nie był złośliwy, odetchnęliśmy z ulgą. Potem wdała się infekcja...

Głos znów jej się załamał. Wzruszyła ramionami.

– Nie wyglądało to na nic poważnego. Wszyscy ulegają infekcjom. Łyka się antybiotyk.

Urwała. McCoy odniósł wrażenie, że Laura stara się walczyć ze wzruszeniem. Już chciał jej powiedzieć, że nie musi o tym mówić, kiedy znów się odezwała.

– Okazało się, że jest uczulona na antybiotyk. Była już osłabiona operacją. Jej odporność... Zanim znaleźli skuteczny lek... umarła.

McCoy usiadł i delikatnie położył jej ręce na ramionach. – To musiało być dla ciebie ciężkie przeżycie. Westchnęła i przygarbiła się.

– Liliana chodziła już do college’u, mieszkała osobno. Właśnie zaręczyła się z Markiem, więc u niego szukała oparcia. W wielkim, pustym domu zostałam tylko ja z ojcem.

McCoy zaczął masować jej napięte mięśnie. Laura jęknęła, kiedy trafił na bardziej wrażliwe miejsce, a potem pochyliła głowę i odetchnęła głęboko, poddając się masażowi.

– Byłam w szoku – powiedziała. – Ojciec też. Przekonana, że nigdy się nie otrząśnie z bólu, byłam gotowa się nim zaopiekować. A kiedy się otrząsnął... nie potrafiłam mu wybaczyć, że potrafi wieść normalne życie. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo musi schlebiać mężczyźnie powodzenie, gdy niespodziewanie staje się świetną partią. Poślubił moją matkę, kiedy jeszcze studiował, a teraz nagle, w wieku czterdziestu pięciu lat, został najbardziej rozrywanym facetem w mieście.

– Nie zawsze jest to takie przyjemne, jak wygląda z boku. Laura roześmiała się cicho.

– Mówisz, jakbyś wiedział to z własnego doświadczenia. Założę się, że masz kalendarz wypełniony spotkaniami towarzyskimi.

– To stosunkowo mały ośrodek akademicki. Jestem kawalerem, uczciwym i dobrze wychowanym, wystarczająco dorosłym, by głosować, a żyjącym samotnie. To sprawia, że jestem skarbem dla swatów i celem dla zdesperowanych łowczyń mężów, a także wybawieniem dla wszystkich, którzy wydają przyjęcia towarzyskie.

– Zaczekaj, aż odkryją, jak potrafisz masować. McCoy pochylił się i pocałował Laurę w szyję.

– To nie masaż, skarbie. To gra wstępna.

Laura nie zamierzała się z nim sprzeczać, szczególnie gdy musnął ustami wrażliwe miejsce poniżej jej ucha i ugryzł ją lekko.

– Cudownie smakujesz.

Pochyliła się, by znaleźć się poza zasięgiem rąk McCoya.

– Co my tu robimy, kiedy moglibyśmy być gdzieś sam na sam, oddając się miłości, która odmienia życie, rozpala zmysły, odbiera rozum?

Laute zauważyła sarkastycznie:

– Czy to nie jedna z najpiękniejszych plaż na świecie? McCoy wyciągnął się na ręczniku.

– Skarbie, to było pytanie retoryczne. – Sięgnął po jej dłoń, splótł swoje palce z jej palcami i uściśnął je lekko. – Rozmawialiśmy o tobie i twoim ojcu – przypomniał.

– Na pewno chcesz usłyszeć tę starą historię?

– Skarbie, jestem przecież historykiem. I chcę wiedzieć o tobie wszystko. Jeśli dobrze zrozumiałem, nie spodobało ci się jego... przebudzenie, zwłaszcza gdy zaczął się umawiać z kobietami.

– Jesteś bardzo bystry. Nie mogłam się z tym pogodzić. Wtedy pojawiła się Cynthia. Był taki nieszczęśliwy, taki samotny, i tak mu schlebiali zainteresowanie kobiet. Przypominał bezradne dziecko. Próbowałam mu tłumaczyć, co z niej za ziółko, ale nie słuchał. Zresztą dlaczego miałby słuchać? Byłam wrogo nastawiona wobec każdej kobiety, której okazał zainteresowanie. Skąd mógł przypuszczać, że tym razem miałam rację?

– Oportunistka?

Laura całkiem poważnie spytała:

– Czy zwrot „niedobra macocha” wywołuje w tobie jakieś skojarzenia?

– Poślubił ją?

– Zaledwie kilka miesięcy po ślubie Liliany i Marka.

I wtedy naprawdę zaczęły się problemy. Nie zgadzałyśmy się z Cynthią, z ojcem skakaliśmy sobie do oczu, czuł się rozdarty. Kiedy jego małżeństwo zaczęło się rozpadać, był obłożony ze Wszystkich stron, a ja przy każdej okazji powtarzałam mu z satysfakcją: „A nie mówiłam?”

McCoy wciąż trzymał dłoń Laury, przesuwając po niej palcem. Miał czarodziejskie palce. Ta myśl dodała tylko oliwy do ognia, który w niej rozpałił.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Siedemnaście – powiedziała smutno. – I zaczynałam naukę w ostatniej klasie liceum. W połowie roku szkolnego o jego rozwodzie pisały wszystkie gazety. – Patrzyła nie widzącym wzrokiem na wodę. – Nigdzie bardziej nie kochają głośnych rozwodów niż na południu Florydy. Nie było, broń Boże, żadnych narkotyków i dewiacji seksualnych, tylko liczne oskarżenia o znęcanie się psychiczne i zdrady.

– Było ci wstyd.

– Musiałam codziennie chodzić do szkoły ze świadomością, że moi koledzy i koleżanki, których znałam całe swoje życie, czytają te sensacje. Nienawidziłam ojca za to, że się z nią nie dogadał. Pragnęła jedynie pieniędzy,

zawsze mógł ich zarobić więcej. Wystarczyło znaleźć jakiegoś nadzianego mordercę, pragnącego dzięki zdolnemu obrońcy uniknąć kary. – Czyżbym słyszał krytykę jego stylu pracy?

Laura roześmiała się gorzko. – Mamy z ojcem różne poglądy na prawo i amerykański wymiar sprawiedliwości. Gdyby jej zapłacił – ciągnęła cicho – sprawa nie trafiłaby do gazet. Czuł się jednak skrzywdzony i był zły. Tu chodziło o zasady. Jeśli potrafił sprawić, że mordercy wychodzili wolno, nie mógł pozwolić, żeby jakaś chciwa jędra puściła go z torbami. Była związana z mężczyzną, z którym miała romans długo przed tym, nim poznała mego ojca. Typowy żigolak bez grosza przy duszy. Umilkła i westchnęła głęboko.

– Potrafiłam zrozumieć mego ojca, ale nadal nie mogłam się z nim zgodzić. Był na tyle naiwny, by się z nią ożenić, mimo że go ostrzegałam. Nawet Liliana przyznawała mi rację, chociaż jako żona protegowanego ojca nie ucierpiała tak przez rozgłos nadany całej sprawie. On popełnił błąd, ale ja ponosiłam konsekwencje. Przynajmniej tak to wtedy odbierałam.

– Twoje rozgoryczenie jest do pewnego stopnia usprawiedliwione – zgodził się. – Rodzice powinni brać pod uwagę, jaki wpływ wywierają ich decyzje na życie dzieci. Byłaś wtedy w wieku, w którym dziewczęta są szczególnie wrażliwe.

Laura skierowała twarz w stronę słońca, nie otwierając oczu.

– Jakoś to przeżyłam, ale całkowicie się zbuntowałam. To nie był zwykły, młodzieńczy bunt. Byłam za mądra... – roześmiała się – ...albo zbyt głupia, żeby brać narkotyki lub sypiać z chłopakami. Zaczęłam myśleć po swojemu i podejmować decyzje, które doprowadzały go do wściekłości.

– Moja droga, cóż może zrobić taka mała, słodka dziewczynka jak ty, by doprowadzić tatusia do wściekłości? Co najwyżej przemierzał całą noc pokój tam i z powrotem i zamartwiał się z powodu tych wszystkich jurnych chłystków, którzy z największą ochotą zapoznaliby cię z przyjemnościami życia seksualnego.

Laura odpowiedziała w ten sam żartobliwo-ironiczny sposób:

– Czy wiesz to z własnego doświadczenia?

– Nie jako ojciec, ale jako jurny chłystek... – Uśmiechnął się, ukazując dołeczki. – Skarbie, wiesz, jak na mnie działasz... W jaki sposób doprowadzałaś swego ojca do rozpacz?

– Ogłosiłam niezależność. Chciał, żebym studiowała prawo w Miami, więc wybrałam University of Florida – głównie dlatego, że znajdował się sześć godzin jazdy od Miami – aby studiować ekonomię.

Z tonu jej głosu zniknął ból.

– Chciał, żebym latem przyjeżdżała do domu i pracowała w jego biurze, ale ojciec mojej współlokatorki był prezesem banku w Orlando i załatwił nam pracę u siebie, więc spędzałam letnie miesiące u babki. Kiedy skończyłam

studia, chciał, żebym wróciła do Miami i poprowadziła mu kancelarię.

– Kierownik kancelarii Edwarda Randolpha to nie najgorsza posada dla kogoś prosto po studiach – zauważył McCoy.

– Ale to była kancelaria Edwarda Randolpha, a ja znajdowałam się w cieniu Edwarda Randolpha przez całe życie. W gruncie rzeczy chodziło o to, żebym popracowała tam, póki nie pójdę w ślady. Liliany i nie poślubię odpowiedniego, młodego, dobrze zapowiadającego się adwokata, pragnącego ucześcić się Edwarda Randolpha i w ten sposób zdobyć sławę i pieniądze.

– Więc postawiłaś na niezależność.

– Zaczekałam, aż ogłoszą nabór do pracy w banku, i udowodniłam, że potrafię zachować swą niezależność.

McCoy musnął jej szyję.

– Taka śliczna, a taka niezależna.

– Ładnie z twojej strony, że to zauważyłeś.

– Że zauważyłem? Skarbie, ostatniej nocy mi się śniłaś. Pocałunki i przekomarzenie sprawiły, że Laura się odprężyła. Ogarnęło ją błogie zadowolenie.

Lauro, co porabiałaś na urlopie?

Przeżyłam szaloną wakacyjną przygodę z cudownym facetem... ach, ale na mnie działał! Nawet na publicznej plaży, w pełnym słońcu. Zupełnie, jakbyśmy byli sami...

Gdyby nie czuła na twarzy gorących promieni słońca, a pod sobą twardego piasku, mogłaby pomyśleć, że wszystko to sobie wymyśliła, od chwili gdy ostatniej nocy Roy McCoy wynurzył się z mroku na pokładzie statku. Działo się to jednak naprawdę i gorąco pragnęła przeżyć ten wakacyjny romans.

Od dawna marzyła, by ktoś taki jak Roy McCoy próbował ją uwieść. Ponieważ na to czekała, zamierzała delectować się każdą wspólnie spędzoną chwilą, napięciem wywołanym ich wzajemną fascynacją, przewidywaniem tego, co w sobie odkryją, kiedy zostaną kochankami, czarownej mocy miłości.

Chociaż najchętniej wyciągnęłaby się obok niego i zdała się na bieg wypadków, szturchnęła lekko McCoya w bok.

– Czas, żebyś zmoczył swoje nóżce.

– Czy mam najpierw posmarować wszystkie te miejsca, do których nie możesz sama sięgnąć?

– Myślisz tylko o jednym.

– Masz rację!

Roześmiał się zmysłowo. Laura podniosła się i z największą przyjemnością rozpięła szorty i zsunęła je, czując na sobie wzrok McCoya, a potem zaznała niemałej satysfakcji, słysząc, jak jęknął, gdy pociągnęła za końce bluzki, tworząc węzeł. Węzeł, który się nie chciał rozwiązać. Laura zmarszczyła czoło. Oto nadarzyła się okazja, żeby zachować się jak światowa i

doświadczona dziewczyna, a teraz co! Całe szczęście, że nigdy nie była zmuszona pracować jako striptizerka – umarłaby z głodu!

Jej nadzieje, że McCoy niczego nie zauważył, rozwiały się, kiedy spytał z przekąsem:

– Jak długo można rozwiązywać jeden głupi węzeł? Laura odwróciła się do niego i spojrzała z miną niewiniątka.

– Słucham?

McCoy powtórzył pytanie i dodał:

– Jeśli chcesz się nade mną znęcać, czemu nie wybierzesz bardziej humanitarnych sposobów, na przykład pędów bambusa, elektrowstrząsów...

– Tyle gadania o jeden głupi węzeł – odparła Laura.

– Tu nie chodzi o węzeł! – zawołał McCoy. – Tylko o... O, rany!

Uporała się wreszcie z supłem i zdjęła bluzkę. Stała przed nim w czymś, co z całą pewnością można było uznać za prawdziwe narzędzie tortur. McCoy nie wierzył własnym oczom. Było to sprzeczne z prawami natury. Jak może być wszystko przesłonięte... i nic nie zakryte?

– McCoy? – spytała zaniepokojona.

– Możesz w czymś takim doprowadzić mężczyznę do gwałtownej śmierci!

– Przecież to tylko kostium kąpielowy – tłumaczyła Laura, obracając się, by mógł ją obejrzeć ze wszystkich stron.

– Tylko kostium kąpielowy – powtórzył.

Cholerny strój kończył się z tyłu kilka centymetrów poniżej pasa, a z boków zakrywał piersi w sposób, który napełniał człowieka nadzieją, że gdyby materiał przypadkiem troszeczkę się przesunął...

Laura wcisnęła McCoyowi do ręki tubkę, odwróciła się do niego plecami i powiedziała:

– Nie mogę tam sięgnąć.

– Cóż, to ciężka praca, ale ktoś musi... Wierz mi, to sprawi więcej bólu mnie niż tobie.

– Wcale mnie nie boli. – Laura mruczała jak kotka. Zdaniem McCoya kobieta nie miała prawa mówić takim tonem, jeśli nie była sam na sam z mężczyzną.

Mimo woli westchnął głęboko. Gdyby jej skóra nie przypominała w dotyku atlasu... Gdyby jej ciało było chłodne, a nie takie gorące i kobiece... I gdyby było nieruchome, a nie giętkie i uległe... I gdyby nie była taka ponętna.

Przycisnął śliską od kremu dłoń do jej karku, zachwycając się kibicią, tworzącą łagodne wygięcie, wyobrażając sobie, jak odrobina płynu spłynęłaby do tego zagłębienia, gdyby Laura położyła się na brzuchu – na przykład kropla wina, którą spiłby spragnionymi ustami. Wzdrygnęłaby się, czując chłód cieczy, a potem odprężyła, kiedy musnąłby ją gorącymi wargami...

Jakby w odpowiedzi na jego fantazje drgnęła lekko; McCoy objął ją ramieniem i przycisnął do siebie, czując miły dreszcz, gdy dotknęła pośladkami jego uda. Nachylił się i pocałował ją w ramię. Musiał odchrząknąć, nim przemówił.

– „Kres taki byłby celem na tej ziemi najpożądańszym”.

– Panie profesorze, Szekspir na plaży? – spytała, opierając się o niego leniwie.

– Jeśli słowa poety pasują... – Ej, McCoy!

McCoy zaklął pod nosem i odsunął się trochę od Laury na widok swoich studentów, ubranych w stroje plażowe i dźwigających torby z niezbędnym ekwipunkiem.

– Oto ktoś, kogo nam właśnie potrzeba – powiedział Mike Baskin, wczorajszy Elvis, spoglądając na Laurę.

– Zastanów się dobrze, Baskin – ostrzegł go McCoy.

– Ej, nawet nie wiesz, czego szukamy.

– Nieważne, tutaj tego nie znajdziecie.

– Potrzebna nam jeszcze jedna dziewczyna, żeby obie drużyny liczyły tyle samo osób.

– W co gracie? – spytała Laura.

O, nie, pomyślał McCoy. Nie zrobi tego. Nie może tego zrobić...

– W siatkówkę – powiedział Mike.

– Przywieźliście na Bahamy siatkę do gry w siatkówkę? – spytał z niedowierzaniem McCoy.

– A komu potrzebna siatka? – odparł Mike.

– Narysowaliśmy na piasku linię, która udaje siatkę – wyjaśniła czarnoskóra dziewczyna, która na wczorajszej zabawie była przebrana za pieśniarkę bluesową. – Ale brakuje nam jednej zawodniczki. – Towarzyszył jej przystojny Murzyn. Nie ulegało wątpliwości, że to przez niego zabrakło równowagi w drużynach.

– Wyobraźcie sobie, że macie trzecią zawodniczkę – zaproponował z naciskiem McCoy.

– To niemożliwe.

– Cóż, w takim razie musicie sobie poszukać kogoś innego, ponieważ panna Randolph i ja...

– Ubóstwiam siatkówkę – przerwała mu Laura.

– Świetnie! – rozpromienił się Mike.

– Co mam robić, kiedy moja towarzyszka będzie grała w siatkówkę? – burknął McCoy.

– Przyglądać się – zaproponowała Laura, uśmiechając się tak słodko, że McCoyowi nigdy by nawet nie przeszło przez myśl, że Laura ma skłonności sadystyczne, gdyby nie wiedział, że specjalnie doprowadza go do szaleństwa.

Jeśli myślała, że będzie się przyglądał, jak gra w siatkówkę odziana w ten... w ten kostium kąpielowy...

– Przydałby nam się sędzia – odezwał się Jason. Będzie podskakiwała, pochylała się i wyginała, cała będzie w ciągłym ruchu i...

– Sędzia?

– Tak. Bezstronny arbiter, który mówiłby, czy piłka prze – szła przez siatkę czy nie, czy znalazła się poza boiskiem... – Przez siatkę, która nie istnieje? – spytał kpiąco McCoy, ale nikt nie zwrócił uwagi na jego sarkazm.

– Cudownie – powiedział Mike. – Mamy drużyny liczące tyle samo zawodników i sędziego. Dzięki.

– Dlaczego nie mianujecie sędzią jednego spośród was? – zaproponował McCoy. – Wtedy nie będzie wam potrzebna dodatkowa zawodniczka. – A on nie będzie musiał patrzeć na Laurę grającą w tym kostiumie. Wystarczająco ryzykowne było przyglądanie się jej, jak oddycha, poza tym nie przypadł mu do gustu pomysł, żeby przeżywający burzę hormonalną studenci widzieli każdy jej ruch.

– Jest nas za mało – wyjaśniła Melissa. – Co to za drużyna, w której jest tylko dwóch zawodników.

– Tylko jeden set – poprosiła Laura. – Tylko do dwudziestu jeden punktów.

Tylko godzina nieznośnych tortur, pomyślał McCoy. Gdyby była jego córka, owinąłby ją w ręcznik plażowy i odwiózł do domu, poza zasięg wzroku nienasyconych studentów i turystów, którzy się tu akurat znajdują i zatrzymają na tyle długo, by się zaślinić do pasa.

Oczywiście ktoś bardziej obiektywny doszedłby do wniosku, że będzie tylko jedną z kilku niemal nagich młodych kobiet w kostiumach kąpielowych, grających z takim zapałem w siatkówkę, i że z pewnością część lubieżnych spojrzeń widzów spocznie na zgrabnych ciałach Niki i Melissy. McCoya nie było stać na obiektywizm, o czym dobitnie świadczyła jego niechęć do sędziowania. Laura nie była jego córką, co znaczyło, że wprawdzie wzbudzała w nim instynkt opiekuńczy, ale nie ojcowski. Był rozdrażniony jak ogier zamknięty w boksie tuż obok klaczy, i niemal równie zniecierpliwiony. Tylko o jednym myśli? Jeszcze jej pokaże!

– Stop! Panie sędzio, prosimy o werdykt!

McCoy ocknął się, uświadomiwszy sobie, że całkowicie przestał kontrolować przebieg gry.

– Przynieście panu sędziemu okulary! Robi się za stary, by wszystko dojrzeć, – Bardzo śmieszne, Baskin – mruknął McCoy.

– Czy piłka wyleciała poza boisko, czy nie? To przesądzi wynik meczu.

– Właśnie! A prowadzimy jednym punktem albo... – spojrział wyniośle na drużynę kobietą – ...albo dwoma?

– Dwoma? – odparła Nika. – Chciałbyś!

– Piłka wylądowała daleko za linią boiska. Prawda, McCoy?

McCoy miał ochotę przyznać punkt chłopakom, aby przyśpieszyć koniec meczu, ale frustracja nie pozbawiła go całkowicie poczucia sprawiedliwości.

– Przepraszam, chłopaki. Musicie to powtórzyć. Nie zauważyłem.

Nika się roześmiała.

– Akurat! Wcale się nie przyglądałeś grze.

– To prawda, cały dzień jesteś rozkojarzony. Dlaczego? – spytał Mike, przyglądając się Laurze w taki sposób, że McCoy zapragnął przywrócenia kar cielesnych dla bezczelnych, młodych smarkaczy.

– Znowu myśli o historii – powiedziała wczorajsza zwolenniczka abstynencji, która, jak się dowiedziała Laura, miała na imię Melissa. Najwyraźniej studenci od dawna żartowali w ten sposób z McCoy'a, używając słowa „historia” w charakterze eufemizmu, zastępującego wyraz „kobiety”.

Laura starała się zachowywać obojętnie, ale trudno było się nie roześmiać, skoro stanowiła obiekt tak nie ukrywanego zainteresowania McCoy'a. Przyglądał jej się podczas gry i Laura nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek zainteresowanie mężczyzny sprawiało jej większą przyjemność. W jego obecności czuła się piękna i ponętna. Prowokowała go do granic wytrzymałości i rozkoszowała się tym.

– Czy to nie twój serw, Baskin? – burknął McCoy.

– Powtarzamy serw pod przymusem – odparł Mike, rzucając chmurne spojrzenie McCoyowi. – Dziewiętnaście osiemnaście, prowadzą mężczyźni.

– Już niedługo! – odkrzyknęła Nika.

– Tak, Mike – zawtórowała jej Melissa. – Ciesz się, póki jeszcze możesz. Prowadzisz ostatni raz w tym życiu.

– Jesteście mocne w gębie – odparował Mike wyrzucając piłkę w górę. – Szkoda, że nie potraficie grać w siatkówkę!

– Pokażemy ci, jak się gra! – krzyknęła Nika, odbijając piłkę.

– Ooo, udało jej się trafić w piłkę – powiedział Mike, odbijając ją z powrotem.

– Bohater! – krzyknęła Melissa, z łatwością przerzucając piłkę na stronę chłopaków.

– Cizia! – odgryzł się Mike, odbijając piłkę oburącz wysoko ponad głowami dziewcząt.

– Cizia? – krzyknęły razem oburzone dziewczęta. Melissa pobiegła za piłką.

– Dwadzieścia osiemnaście, prowadzą panowie – ogłosił arogancko Mike.

– To oznacza wojnę! – oświadczyła Laura.

McCoy się uśmiechnął. Nie miał nic przeciwko kilku potyczkom z pełną determinacją bojowniczką odzianą w obcisły, wściekle różowy kostium,

szczególnie jeśli dysponowała takim orężem, jak Laura Randolph. Nie była to pierwsza rzecz, która mu przychodziła na myśl na widok jej zgrabnego tyłeczka, ledwo co osłoniętego, i tych piersi, tak opiętych ową różową materią, przypominającą drugą skórę; Wolałby się oddawać miłości odmieniającej życie, rozpalającej zmysły, odbierającej rozum...

Walka o następny punkt była zażarta, zdobyły go panie, a potem nastąpiło wyrównanie i dogrywka. Serwowała Nika i McCoy mógł tylko patrzeć z niedowierzaniem na to, co nastąpiło później. Sądząc po zaciekłości gry, można by pomyśleć, że stawką był złoty medal olimpijski, albo że drużynę, która przegra, czeka publiczna hańba.

Albo wyrok śmierci! – pomyślał ironicznie McCoy, zastanawiając się, jak dmuchana piłka plażowa może wzbudzić takie emocje. Kilka razy przeleciała nad wyimaginowaną siatką, nim po mocnym wybiciu upadła w pobliżu linii wyrysowanej na piasku. Obie drużyny podbiegły do niej i zaczęły się przepychać, co zakończyło się kolizją, w wyniku której Mike i Laura przewrócili się na piasek.

McCoy podbiegł do niej.

– Nic ci się nie stało?

Wsparła się na łokciu i spojrzała na niego. Chichotała.

Chichotała! – rozzłościł się McCoy. Serce mało mu nie wyskoczyło z piersi, a ona leżała na piasku i chichotała! A obok niej tarzał się jeden z jego studentów, który mógłby być... mógłby być jej młodszym bratem. Upadli w taki sposób, że ich nogi się dotykały i Laura niezwykle wolno odsunęła swoje.

Teraz, kiedy się nad tym zastanowił, stwierdził, że Baskin gapił się na nią przez cały czas. I też się nie kwapił, żeby odsunąć nogi.

McCoy zjeżył się na myśl o tym, jak bardzo życie jest niesprawiedliwe. Wyciągnął rękę, by pomóc Laurze wstać. Tak świetnie mu szło, a tu musieli pojawić się jego studenci z tym zwariowanym pomysłem gry w siatkówkę.

Laura otrzepała piasek z ud i pośladków. Na ten widok McCoyowi aż zakręciło się w głowie, ale zauważył, że Baskin też ją obserwuje – i to z bardziej korzystnej pozycji. Przybrał surową minę i warknął:

– Baskin, nie musisz grać tak brutalnie. Pamiętaj, że to nie futbol. Mogła sobie coś zrobić.

– Warto było dla decydującego punktu – zaszczebiotła Laura.

– Decydującego punktu? – wykrzyknął Jason. – Nie zdobyłyście punktu. Koniec gry.

– Wykluczone! – zaperzyła się Laura, zyskując natychmiastowe poparcie członkiń swej drużyny. – Zablokowaliśmy piłkę.

– Akurat! – wykrzyknął Jason, zdobywając równie natychmiastowe, jednogłośnie poparcie kolegów.

– No pewnie! – nie poddawała się Nika.

– Nie rozstrzygnięta gra – oświadczył Baskin. – Powinniśmy powtórzyć.
– Powtórzyć? Przegraliście. Przyjmijcie to jak mężczyźni.
– Chcę usłyszeć oficjalne stanowisko sędziego – powie – dział Baskin, patrząc na McCoya. Pozostali też spojrzeli na niego wyczekująco.

McCoy się zdenerwował. Stanowisko? Jak piłka może dotknąć nie istniejącej siatki? – No więc jak? – spytał Jason. – Powtarzamy?

McCoy nie wiedział, jak zareagować, ale był całkowicie pewny, że ma dosyć tej idiotycznej gry. Akurat kiedy miał zamiar przemówić, Laura ujęła go pod rękę, uśmiechnęła się do niego i odezwała przymilnie:

– McCoy wie, że gra skończona, prawda?

– McCoy?! – wykrzyknął zaczepnie Baskin.

McCoy spojrział na Baskina, potem na Laurę, znów na Baskina i wzruszył ramionami.

– Przykro mi, chłopaki.

Dziewczęta wydały okrzyk radości. Chłopcy zaprotestowali. Laura uśmiechała się zadowolona z siebie. – Oszukaństwo! Z góry ustalony wynik meczu! – wykrzyknął Mike.

– Tak – zgodził się Jason. – Nie wyglądaliśmy wystarczająco seksownie w swoich kąpielówkach.

– Macie rację – powiedział zdecydowanie McCoy, a potem uśmiechnął się do Laury.

– Napijmy się czegoś! – zaproponowała Melissa. – Pokonani stawiają.

– Tak! – zgodziła się Nika. – Pokonani stawiają.

– Pod warunkiem, że zgodzicie się na rewanż – odparł Baskin.

– Możecie robić, na co macie ochotę – powiedział McCoy. – Ale bez nas.

– Jak to? – rozległo się chóralne pytanie. – Drużyny nie będą liczyły tyle samo zawodników.

– Właśnie. Potrzebna nam Laura – powiedziała Nika. – Ona zdobyła punkt meczowy.

– Starczy! – odparł McCoy, obejmując Laurę w pasie władczym gestem. – Zamierzaliśmy popływać, kiedy pojawiliście się i przeszkodziliście. Teraz idziemy do wody.

– Nie zostaniesz, żeby wypić za nasze zwycięstwo? – spytała Melissa.

– Nie zostanę – oświadczył McCoy.

– McCoy! – sprzeciwiła się Laura. – Jest gorąco. Mam ochotę...

– Popływać – podpowiedział jej, nim miała szansę dokończyć. Jeśli ona albo jego studenci myśleli, że spędzą resztę popołudnia, sącząc poncz rumowy i grając w siatkówkę, to się grubo mylili.

– ...się napić – dokończyła Laura.

– Ochłodziś się w wodzie – odparł McCoy, porywając ją na rękę.

– Co to za dzikie metody?! – spytała z oburzeniem Laura, ale się nie

wyrywała, za co McCoy był jej niezwykle wdzięczny. Numer z noszeniem na rękach okazał się trochę trudniejszy, niż to wyglądało na filmach, szczególnie gdy się biegło po piasku. A raczej brnęło.

– Po prostu przejąłem kontrolę – wyjaśnił McCoy, mając nadzieję, że jego głos nie zdradza wysiłku. Na filmach wyglądało to tak prosto. Jeśli od tego wszystkiego wypadnie mu dysk...

– Nade mną? – spytała Laura, próbując przybrać rozgniewany ton.

– Nad wypadkami – wysapał McCoy.

– Jesteś w szortach!

– Woda im nie szkodzi – wystękał. Jak daleko jeszcze do wody? Nie podobał mu się ten szalony pomysł odgrywania *macho*. Boże, a co będzie, jeśli ją upuści?

ROZDZIAŁ 8

Laura nieraz całowała się na plaży, ale jeszcze nigdy z Royem McCoyem. I podobnie jak czarowny pocałunek w blasku księżyca, słodki na dobranoc i ostentacyjny na bazarze, tak i pocałunek w sięgających im do pasa wodach Atlantyku był wyjątkowy i nieporównywalny z niczym.

McCoy mocno przytulił Laurę. Morska woda oblewała pieśczośliwie ich ciała, słońce napełniało przyjemnym ciepłem, wietrzyk osadzał na ustach sól.

Woda falowała w rytm ich serc. Czując jej miarowe uderzenia, Laura przypomniała sobie wypowiedziane wcześniej słowa McCoya. „Co my tu robimy, kiedy moglibyśmy być gdzieś sam na sam, oddając się miłości, która odmienia życie, rozpala zmysły, odbiera rozum?”

Odurzona pocałunkiem, uświadomiła sobie, że pragnie znaleźć się sam na sam z McCoyem. Potrzebowała potwierdzenia tego, że jest pożądana przez mężczyznę, który wiedział, jak sprawić, by kobieta czuła się pożądana.

Jak spędziłaś urlop, Lauro?

Kochałam się jak szalona z zabójczo przystojnym facetem.

– Kto pierwszy dobiegnie do ręcznika? – krzyknęła, kiedy w końcu przestali się całować.

– Czyżbyś chciała mi dać do zrozumienia, że ty, urodzona syrena, gotowa jesteś wrócić na suchy ląd? – zażartował McCoy. Jakoś mu się udało donieść Laurę na rękach do wody bez trwałych uszkodzeń kręgosłupa. Spędzili ponad godzinę, brykając, śmiejąc się, chlapiąc i pluskając.

– Chyba na dziś masz dosyć słońca. Nos zrobił ci się czerwony.

– Czerwony? – McCoy odruchowo uniósł rękę do twarzy.

– Mam cię! – rzuciła Laura przez ramię i pobiegła przed siebie. Kostium kąpielowy trochę jej się z tyłu podciągnął, ukazując śnieżnobiałą skórę na pośladkach. McCoy specjalnie został parę kroków z tyłu, by móc podziwiać ten widok.

Kiedy dotarł na miejsce, wycierała się ręcznikiem. Przyglądał się zafascynowany, żałując, że to nie on jej dotyka. Uśmiechnęła się i spytała:

– Gotów do powrotu na statek?

McCoy skinął głową, starając się nie wyciągać z tego niewinnego pytania zbyt śmiałych wniosków. Cóż innego im pozostawało? Nie powiedziała, czy pójdą każde do swojej kabiny, ale zachował dość zdrowego rozsądku, by jej o to nie zapytać.

Szybko się spakowali i złapali taksówkę. Laura, ubrana w powycinaną koszulkę, kupioną na bazarze, usiadła bliżej McCoya, niż to było konieczne. Wziął to za dobry znak, szczególnie gdy oparła mu głowę na ramieniu i westchnęła.

– Bardzo ci się podoba ten kapelusz? – spytał McCoy.

– Kapelusz? – powiedziała Laura, przesuając palcem wzdłuż runda kapelusza, przemoczonego i kompletnie zdefasonowanego. – Mój nowy kapelusz? Kupiony na największym na świecie bazarze z wyrobami ze słomy? Ten, który według ciebie wzbudza pożądanie? Ten, który przemienił cię w Rudolfa Valentino? Ten, który bezlitośnie utopiłeś w Atlantyku, wykonując numer godny jaskiniowca?

Chociaż starała się zachować poważną minę, McCoy dostrzegł w jej oczach filuterne błyski.

– Jesteś na mnie zła? – spytał.

– Zła? To za mało powiedziane. Wściekła. Nigdy ci tego nie wybaczę.

Jednak jej zachowanie przeczyło słowom. Otarła się policzkiem o jego ramię. McCoy objął Laurę, a ona przytuliła się do niego i położyła mu rękę na piersi.

McCoy zamknął oczy. Kiedy poczuł pod palcami jej słodkie, dziewczęce ciało w jednym z rozcięć bluzki, na jego twarzy pojawił się rozmarzony uśmiech.

Resztę drogi odbyli w milczeniu, a gdy taksówka zajechała na nabrzeże, Laurze wyrwał się cichy jęk protestu, że już trzeba wysiadać. Zdaniem McCoya był to kolejny obiecujący znak.

Odprowadził Laurę do jej kajuty ciekaw, czy zaprosi go do środka. Zastanawiał się, czy w razie czego się nie wprosić. Gdy mocowała się z zamkiem, McCoy stwierdził, że jest zdenerwowany. Zdenerwowany! Kiedy ostatni raz zdarzyło mu się stać na progu mieszkania kobiety i odczuwać lęk, czy przypadkiem wszystkiego nie popsuje? Nie tylko liczył, że zostanie zaproszony; bał się, że zrobi coś niewłaściwego, gdyby tak się nie stało. Kiedy ostatni raz tak mu zależało na kobiecie, w dodatku na takiej, z którą jeszcze nie spał?

Laura przekroczyła próg i spojrzała na niego niepewnie. McCoy uśmiechnął się, by dodać jej odwagi.

– Cóż...

– Było bardzo miło – powiedział.

– Tak. – Unikała jego wzroku.

Poczuł lekki zawód. Cmoknął ją w policzek.

– Chyba...

– McCoy? – odezwała się gwałtownie. Uniósł brwi.

– Czy nie chcesz... Czy nie masz ochoty... – Pociągnęła nosem i wyrzuciła jednym tchem: – Skoro już mam przez ciebie we włosach piasek, mógłbyś przynajmniej pomóc mi się go pozbyć! Dżentelmen...

– Skarbie, wiesz, że moja mama wychowała mnie na dżentelmena. – Wszedł do środka i szybko zamknął za sobą drzwi, żeby się przypadkiem nie

rozmyśliła.

– Kabina prysznicowa jest... dosyć ciasna – ostrzegła go z nieśmiałym uśmiechem.

McCoy chrząknął.

– Nie będziemy potrzebowali dużo miejsca, skarbie. Laura ściągnęła przez głowę koszulkę i rzuciła ją na łóżko, zsunęła sandaalki, po czym złapała McCoya za rękę.

– No, dalej. Czas, żebyś pokazał, co potrafisz. Tylko nie zrób wstydu swojej mamie.

Zaprowadziła go do łazienki i weszła do malutkiej kabiny prysznicowej. Odkręciła wodę i sprawdziła dłonią, czy temperatura jest odpowiednia. Nim McCoy zdjął tenisówki i koszulę, wyregulowała ciepłotę wody.

– Następny ruch należy do ciebie – powiedziała.

– Nie zapomniałaś o czymś? – spytał McCoy. Laura spojrzała na swój kostium kąpielowy.

– Och, zawsze po powrocie z plaży biorę prysznic w kostiumie. Nie muszę go później płukać.

McCoy wszedł w szortach do kabiny, jedną ręką ujął prysznic, a drugą zasunął plastikową zasłonkę. Laura zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu.

– Szampon stoi na półeczce.

Kabina była tak mała, że chociaż się starał zachować ostrożność, nie udało mu się nie trącić jej niechcący kolanem w udo, szturchnąć łokciem w ramię, otrzeć o plecy.

Skierował strumień wody na jej ramiona, a potem na włosy, by spłukać piasek i sól. Odkręcił szampon, zanurzył palce w jej włosach i masował skórę głowy. Z góry leciała ciepła woda. Wszystko to było niezwykle podniecające. Laura nie mogła uwierzyć, że zwykłe czynności mogą wywołać aż takie podniecenie.

– Coś ty robił do tej pory? – mruknęła. – Dorabiałeś na studiach, myjąc włosy?

– To mój debiut, skarbie – powiedział, zastanawiając się, dlaczego nigdy wcześniej nie pomyślał, jakie możliwości kryją się w tej prostej czynności. Przy każdym ruchu ocierali się o siebie. Laura mruczała jak kotka, którą drapie się po brzuszku, co znaczyło, że istnieją duże szanse ściągnięcia z jej rozkosznego ciała tego skąpego kostiumu kąpielowego.

Doszedł do wniosku, że nie jest źle, ale mogło być lepiej.

– Też mam piasek we włosach – powiedział.

– Naprawdę?

– Przecież dobrze o tym wiesz. Sama mnie kilka razy przytopiłaś.

– Pierwszym razem za karę, a później w obronie własnej.

– Zamilkła na chwilę, a potem spytała: – Na pewno chciałbyś, żebym ci

go wyplukala?

– Skarbie, jesteś chyba jasnowidzem. Czytasz w moich myślach.

– Nie trzeba być jasnowidzem, żeby wiedzieć, co ci chodzi po głowie – stwierdziła Laura. Ona też myślała tylko o tym, i to bardzo intensywnie.

– Cóż, tak byłoby sprawiedliwie – odparł.

– Skoro jesteś... – Laura westchnęła, czując, jak McCoy całuje ją w ramię – ...skoro byłeś taki uprzejmy... – Zsunął ramiączko kostiumu kąpielowego i pocałował ją w to miejsce.

– ...ale będziesz musiał wejść pod prysznic...

– To się da załatwić – odparł, objął ją i zrobił półobrót. Dzięki temu znalazł się pod strumieniem wody, a Laura twarzą do plastikowej zastłonki. Odwróciła się przodem do niego.

– Szampon!

Wręczył jej butelkę, wylała nieco szamponu na dłoń i odstawiła butelkę na półeczkę. Podniosła ręce, by namydląć mu włosy, ale było jej w tej pozycji bardzo niewygodnie.

– Gdybyś tak...

– Zawsze chętnie spełniam prośby kobiet – powiedział i opuścił głowę, żeby jej ułatwić zadanie. Jego usta znalazły się tuż obok jej piersi. McCoy nie przepuściłby takiej okazji; kiedy mu namydlała włosy, całował jej dekol.

Laura czuła, że nogi ma jak z waty. Nigdy w życiu nie doznała czegoś podobnego, ale ostatecznie nigdy wcześniej nie była z McCoyem. Z jej ust wydobyło się westchnienie, kiedy uświadomiła sobie, że całkiem zsunął jej jedno ramiączko, odsłaniając kawałek piersi.

– Może powinieneś... Spojrzał jej w oczy.

– Co?

– Spłukać szampon? Roześmiał się.

– Ależ proszę bardzo.

Odchylił głowę do tyłu tak, że jego włosy znalazły się pod strumieniem wody. Przechylał ją na boki, by spłukać dokładnie pianę, a potem zrobił krok do przodu.

Spojrzenie, jakim obrzucił Laurę, dosłownie zaparło jej dech. Był taki przystojny, taki męski, taki... o jakim marzyła całe życie. I stał tak blisko, że czuła jego gorący oddech.

Para kłębiła się w malutkiej kabinie, zamazując kontury ich postaci. W powietrzu unosił się ziołowy zapach szamponu. Laura nie potrafiła już odróżnić jawy od snu. Zresztą wcale tego nie chciała.

McCoy pocałował ją najpierw w usta, a potem obsypał pocałunkami twarz, szyję i dekolt. Zsunął jej drugie ramiączko kostiumu i zaczął całować piersi.

Laura stała zupełnie bezwolna, poddając się jego pieszczotom.

Niecierpliwym ruchem zsunął ramiączka kostiumu jeszcze niżej, aż ukazały się nagie piersi.

Nie dotknął ich – tylko pożerał wzrokiem. Podziwiał je i rozkoszował się nimi. To okazało się bardziej podniecające od wszelkich pieszczot. Laura czuła, że cała płonie.

W końcu wyciągnął ręce, by odwrócić ją plecami do siebie. Wziął prysznic i skierował strumień wody na jej ramiona tak, że spływała po piersiach i plecach.

Przyglądał się zafascynowany, jak migotliwe strużki ściekają po jej gładkiej skórze. Pożądanie niemal go paraliżowało. Bał się ją objąć, nie wiedząc dlaczego. Jednego był pewny: że Laura jest inna niż wszystkie kobiety, jakie znał.

Wolno zsunął jej kostium z bioder, jedną ręką mocując się z elastycznym materiałem.

Nie rozczarował się tym, co ujrzał. Była zgrabna, ciało miała jędrne, a jej krągłości przykuwały wzrok. Odziana jedynie w obłok pary wydawała się eteryczna – i boska. Chyba przez całą minutę po prostu gapił się na nią, niezdolny do najmniejszego ruchu. Spostrzegłszy kilka ziarenek piasku, które przylepiły jej się do pośladków, skierował tam strumień wody i palcami startł piasek.

Z ust Laury wydobył się ni to jęk, ni to westchnienie. Zacisnął konwulsyjnie dłoń na jej ciele.

Odwróciła się i ich spojrzenia się spotkały.

– Wiedziałam, że to się odbędzie w ten sposób – powiedziała.

McCoy pochylił się i pocałował ją. Nie w usta, jak się spodziewała. Ani nie w piersi, napięte z oczekiwania. Ale w czułe miejsce poniżej mostka. Wolno przesuwał usta coraz wyżej, aż znalazły się na wysokości piersi.

Laura jęknęła, kiedy zaczął je całować, omijając jednak nabrzmiące, bolące sutki. Objęła go za głowę, przybliżyła usta do jego warg i łapczywie je pocałowała. Upajała się smakiem jego ust, jego owłosiona klatka piersiowa łaskotała ją w sutki. Podniecał ją nawet szorstki materiał jego szortów.

Podniecał, ale nie dawał zaspokojenia. Laura spytała gwałtownie:

– Dlaczego wciąż jesteś w spodenkach, kiedy moglibyśmy się oddawać miłości, która odmienia życie, rozpała zmysły, odbiera rozum?

– Zabij mnie, jeśli wiem, skarbie – powiedział McCoy i odsunął się od niej nieco, by zsunąć szorty.

ROZDZIAŁ 9

– Pomóc ci? – zaoferowała się Laura, ale szybciej, niż zdołałby odpowiedzieć, rozpiął szorty i zdjął je razem z kąpielówkami. Patrząc na niego bezwstydnie, powiedziała: – Widzę, że sam sobie poradziłeś.

– Zdaje się, że wystąpiłaś przed chwilą z jakąś propozycją?

– Z propozycją? – spytała z roztargnieniem.

– Miała coś wspólnego z miłością – powiedział żartobliwie.

– Ach. Chodzi ci o miłość, która odmienia życie, rozpala zmysły, odbiera rozum?

– O, właśnie.

– To nie była moja propozycja – oświadczyła – tylko twoja. Wystąpiłeś z nią jeszcze na plaży.

– Na plaży zadałem jedynie retoryczne pytanie. Z propozycją wystąpiłaś ty.

Te dołeczki. Boże, nawet gdyby dożyła setki, była trzykrotnie zameźna i urodziła tuzin dzieci, nigdy nie zapomni dołeczków McCoya. Wyciągnęła rękę, by ich dotknąć.

– To niezwykle ponętna propozycja.

– Najbardziej ponętna, jaką usłyszałem od lat – zgodził się. Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. – Och, skarbie, jak kobieta może być aż tak słodka?

To była cudowna chwila, spowijał ich obłok pary, z góry leciała gorąca woda. Pragnienie, by poczuć go w sobie, sprawiło, że jednocześnie ogarnęło ją dziwne omdlenie i niecierpliwość.

– McCoy – szepnęła.

– Słucham?

– Nie sądzisz, że zajmujemy zbyt pionową pozycję? Uśmiechnął się.

– Skarbie, gdybym cię nie znał lepiej, pomyślałbym, że próbujesz mnie zaciągnąć do łóżka.

– McCoy! – powiedziała z irytacją.

– Nie musisz mi powtarzać dwa razy – oświadczył, niechętnie ją puszczając i szykując się do wyjścia z kabiny. Wyciągnął rękę, by zakręcić wodę.

– Zaczekaj! – poprosiła. – ... – Co się stało?

– Masz piasek na pośladku.

– Aż tak uważnie mi się przyjrzałaś?

Laura złapała prysznic i skierowała strumień wody na jego pośladki.

– I pomyśleć, że miałam zamiar ci powiedzieć, że jesteś niezwykle przystojny!

– Możesz delikatnie zetrzeć piasek ręką. Posłuchała go.

McCoy podskoczył i zaprotestował głośno, kiedy poczuł mocnego klapsa.

– A niech cię, moja droga. Nie uprzedziłaś mnie, że lubujesz się w czymś takim.

– To nie miało nic wspólnego z seksem. To zwyczajny klaps – odparła, uśmiechając się słodko. – A jak tam sytuacja z przodu? Nie ma piasku?

– Nie.

– Lepiej sprawdzić – powiedziała. – Tyle tam fałdów skóry, w które mógł się dostać piasek.

Dotknęła go delikatnie, a woda spływająca pomiędzy jej palcami działała jednocześnie kojąco i pobudzająco. McCoy zamknął oczy.

– Skarbie – ostrzegł ją. – Jeśli nie przestaniesz, możesz się niebawem przekonać, jak to jest kochać się w pozycji pionowej.

– Gadanie – stwierdziła. – Zaczynam podejrzewać, że potrafisz tylko mówić, zamiast działać.

– Tak? – zaperzył się McCoy. – Chcesz mnie zobaczyć w akcji? Proszę bardzo! – Szybko zakręcił wodę.

Kiedy chwycił ją za rękę i odsunął plastikową zasłonkę, poczuła mrowienie w całym ciele. Bardzo lubiła, gdy sprowokowany przez nią przejmował inicjatywę, choć w gruncie rzeczy był delikatny i nieśmiały. Jej dzikus z dołeczkami.

Właściwie nie był wcale taki delikatny, kiedy ją wycierał ręcznikiem, ale można to było uznać za ciekawe doświadczenie. Zyskała również dzięki temu dosyć czasu, by otworzyć kosmetyczkę i wyciągnąć z niej parę foliowych opakowań, które wsunęła przed wyjazdem, choć właściwie nie spodziewała się, że pozna kogoś i przeżyje szaloną, wakacyjną przygodę. Kto by pomyślał, że spotka kogoś takiego jak Roy McCoy?

– Czego tam szukasz? – spytał McCoy. – Nie musisz się malować.

Laura wcisnęła mu w rękę paczuszki.

– Profesorze, liczę, że jest pan dżentelmenem. Jeśli oczywiście się pan nie rozmyślił – powiedziała, kierując wzrok na jego męskość.

McCoy zarzucił jej ręcznik na głowę i zaczął wycierać włosy.

– Skarbie, jestem zdecydowany od chwili, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy.

Laura odsunęła kawałek ręcznika, by spojrzeć na niego.

– McCoy? Przestał ją wycierać.

– Przestań już i weź się do roboty.

– Och, skarbie... – Odrzucił ręcznik w kąt i porwał ją w ramiona. To był typowy pocałunek McCoya – nieprawdopodobnie słodki i niezwykle podniecający. Laura zamknęła oczy.

Wszystko, co się działo potem, zlało się w jedno pasmo rozkoszy.

Kochała się z nim, zapomniawszy o całym świecie. W ostatnim przeblasku świadomości stwierdziła, że tak właśnie powinna wyglądać miłość; że właśnie dlatego ludzie od niepamiętnych czasów odczuwają fascynację drugim człowiekiem.

Laura nie mogła się wprost doczekać chwili, kiedy wreszcie zazna szczytu rozkoszy. Przywarła do McCoya, czuła pod swymi dłońmi jego twarde mięśnie, wpiła się w niego, pragnąc położyć kres udęce.

Całkowicie oddany miłości, przeczuwając, moment fizycznego spełnienia, McCoy jedynie podświadomie czuł, jak idealnie są dobrani, jak się dopełniają jako kochankowie. Każdy ruch jej ciała, każdy zduszony jęk przybliżał ich do celu. W końcu westchnęła przeciągle, jej ciałem wstrząsnął konwulsyjny spazm, a jego ogarnęło zapomnienie i ekstaza.

Oddychając ciężko, tulili się do siebie. Bali się poruszyć, póki świat wokół nich nie przestanie wirować. Sekundy przemieniły się w minuty. W końcu serca zaczęły im bić normalnym rytmem, ale ciała nadal pozostawały związane.

McCoy pocałował Laurę w oczy, nos i usta i niechętnie wyswobodził się z jej uścisku.

– Zaraz wracam.

Słaniając się pokonał kilka metrów, dzielących go od łazienki. Dziwił się, że w ogóle jest w stanie chodzić po tym, co właśnie przeżył.

– Witaj z powrotem, nieznajomy – powiedziała, gdy wrócił i wsunął się pod koc.

– Nieznajomy? – Chrząknął, a potem oświadczył: – Chyba już nie, skarbie. – Przewrócił się na bok, żeby móc ją mocniej przytulić, i z satysfakcją słuchał jej westchnienia pełnego zadowolenia, gdy pocałował ją w skroń.

– Mogę cię o coś spytać?

McCoy domyślał się, o co jej chodzi. Będzie chciała wiedzieć, czy stanęła na wysokości zadania. Dlaczego wszystkie kobiety mają takie niskie mniemanie o swoich możliwościach?

– To było... – Nie potrafił wyrazić słowami tego, czego właśnie doznał. Ale dla niej postanowił to opisać. – To było niezwykle. Byłaś...

– Nie o to chciałam zapytać.

– Nie? – Boże, jak dobrze czuć ją obok siebie. – Nie. Chodzi o coś... bardziej osobistego.

McCoy musnął ustami jej ucho.

– Pytaj, skarbie. Cały zamieniam się w słuch. Zachichotała.

– Niezupełnie, mój drogi! Niezupełnie. McCoy chrząknął na taką zasadniczość.

– Zanim zapytam, chcę, żebyś coś wiedział. Rozumiem, że istnieją sprawy... otoczone tajemnicą i czasami można odpowiedzieć... właściwie,

choć niekoniecznie całkowicie zgodnie z prawdą. Bo prawda absolutna nie zawsze jest najlepsza. Chodzi mi o to, że niekiedy małe kłamstewka mogą kogoś uszczęśliwić, a prawda może sprawić ból...

– Jeśli zamierzasz mnie zapytać, czy masz za grube uda albo czy piersi nie zaczynają ci się robić obwisłe, złoję ci skórę – zagroził McCoy.

– Wiem, że moje uda są...

– Idealne – wtrącił McCoy. Laura się uśmiechnęła.

– Teraz, skoro już wiem, że stać cię na drobne kłamstwa, mogę ci zadać pytanie, które mnie nurtuje. A dla twojej informacji, mój drogi, moje piersi nie zaczynają się robić obwisłe.

– Nigdy nie twierdziłem nic podobnego.

– Cóż, to nie ja zaczęłam mówić o obwisłych piersiach.

– Kobiety! – jęknął McCoy. – No, śmiało. Zadaj to pytanie, na które chcesz w odpowiedzi usłyszeć kłamstwo.

– Właściwie nie chcę, żebyś skłamał. Chcę jedynie, żebyś był... miły.

– Pytanie, Lauro. – Zaczynał myśleć, że łatwiej już chyba byłoby rozmawiać o ich stosunku.

Laura podparła się na łokciu, żeby widzieć jego twarz.

– Czy kiedykolwiek zwracałeś się do jakiejś kobiety „skarbie”, kiedy sam lub oboje byliście nago?

– To jest to pytanie? – spytał.

Laura skinęła głową i czekała na odpowiedź. Nagle poczuła, że McCoy trzęsie się, nie mogąc dłużej powstrzymać śmiechu. Pozwoliła mu się wyśmiać do woli, a potem spytała:

– No więc jak?

Znów wybuchnął śmiechem.

– McCoy! – wykrzyknęła rozdrażniona.

– Nie – powiedział w końcu. Pocałował ją w usta. – Jesteś jedyną kobietą na świecie, do której zwracam się „skarbie”, czy jesteś ubrana, czy naga.

– Kłamczuch! – krzyknęła rozżłoszczona.

– Przysięgam! Gdybyś nie była tak cholernie ponętna, wyrzuciłbym cię z tego łóżka.

– To moje łóżko – przypomniała mu Laura. – I to obrzydliwe powiedzieć coś takiego kobiecie, z którą dopiero co kochałeś się w sposób odmieniający życie, rozpalający zmysły, odbierający rozum.

– A więc – spytał z zadowoloną miną – było ci dobrze? Westchnęła głęboko.

– Było tak, jak się tego spodziewałam. – Ułożyła się wygodniej. – Odmieniłeś moje życie, rozpalisz zmysły, odebrałeś rozum.

McCoy ujął ją pod brodę.

– Ty mnie też, skarbie – powiedział, a potem pocałował ją tak, jak tylko

on potrafił.

– McCoy? – mruknęła, kiedy oderwał usta od jej warg, by pocałować ją w szyję.

– Tak? – spytał z roztargnieniem, przesuwając dłonią po jej piersi.

– Odbierz mi jeszcze trochę rozumu.

Z głębokiego snu wyrwał ich dzwonek telefonu. Laura rzuciła do słuchawki omdlewającym głosem „halo”, słuchała przez chwilę, a potem powiedziała:

– Och, Liliano, to już tak późno? Spojrzała na McCoya i uśmiechnęła się.

– Nie. Chyba nie zejść do restauracji. Wróciłam z plaży zmęczona i zasnęłam z mokrymi włosami, więc mam na głowie szopę. Albo zjem w bufecie, albo poczekam do północy. Słucham? A cóż to za pytanie?

Patrząc na McCoya, zdusiła chichot.

– Prawdę mówiąc, nie jestem sama. – Słuchała przez chwilę, a potem powiedziała: – Tak. Dziękuję. Dobrze mówisz, mamusiu. Ucałuj ode mnie słodkie maleństwa, dobrze? I smacznego. Do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się.

– Dzieciaki koniecznie chciały pójść po ciocię Laure, ale Liliana je powstrzymała. – Dotknęła wilgotnych włosów. – Muszę okropnie wyglądać. Nigdy nie kładę się z mokrą głową.

McCoy pogładził ją po policzku. Mógł jej powiedzieć, że wygląda w jego oczach jak kobieta, która się kochała i sprawiło jej to przyjemność; ale czy zrozumiałaby, jak bardzo łąchce męską dumę takie jawne okazywanie zadowolenia?

– Jakbym usnęła z mokrymi włosami – powiedziała.

– Jesteś cudownie potargana – poprawił ją McCoy. – I ponętna jak diabli.

Laura wzniosła oczy.

– Mężczyźni!

McCoy takim samym tonem powiedział:

– Kobiety!

Zapanowało milczenie, które przerwał McCoy.

– Lauro?

– Tak?

Ku swemu zdumieniu stwierdził, że ma jej bardzo dużo do powiedzenia, ale wszystko, co mu przychodziło do głowy, zabrzmiałoby albo protekcjonalnie, albo trywialnie.

Po chwili Laura zagadnęła: – McCoy?

– Tak?

– Jestem spragniona. Uniósł brwi.

– Znowu?

– Przestań. Chce mi się pić i jeść. Może skoczylibyśmy do bufetu?

– Mam inne plany na wieczór.

– Tak? – Laurze na chwilę serce zamarło w piersiach. Nie liczyła, że ich przygoda będzie trwała dłużej niż do zawinięcia statku do portu w Miami, ale nie spodziewała się rejterady zaledwie w kilka godzin po tym, jak poszli do łóżka.

– Dotyczą nas obojga – powiedział uspokajająco. – To niespodzianka. Masz pół godziny, żeby doprowadzić włosy do ładu i się ubrać. Nie obowiązuje strój wieczorowy.

– Dokąd pójdziemy?

McCoy sprawiał wrażenie niezwykle z siebie zadowolonego.

– Jeśli ci powiem, coż to będzie za niespodzianka? Wykorzystując chwilę jego nieuwagi, Laura usiadła mu na brzuchu i żartobliwie wykręciła mu rękę nad głową.

– Mamy swoje sposoby, żeby zmusić ludzi do mówienia. McCoy spojrzał na jej piersi, znajdujące się zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy. Zdecydowanie nie były obwisłe. Nic a nic.

– Dobrze – powiedział, udając znudzenie. – Wyznaczone ci pół godziny zaczęło się dwie minuty temu i jeśli stracisz czas na znęcanie się nade mną, będziesz zmuszona iść z takimi włosami jak teraz.

– W tej sytuacji – powiedziała Laura, puszczając go – idę wziąć prysznic.

– Przecież już brałaś prysznic – przypomniał jej McCoy.

– To było kilka godzin temu. Zresztą, muszę znów zmoczyć włosy, inaczej sobie z nimi nie poradzę. – Poszła do łazienki i teatralnym gestem zamknęła za sobą drzwi.

McCoy zaczął szukać poszczególnych części garderoby, a przynajmniej tych, które umożliwiłyby mu pokazanie się na korytarzu bez gorszenia starszych pań. Kiedy miał zamiar zapukać w drzwi łazienki, uchylły się na tyle, by można było przez nie wysunąć rękę.

– Mogą ci się przydać – powiedziała Laura, wymachując jego wilgotnymi kąpielówkami.

Wciągając je, mamrotał:

– Nie powinnaś tak łatwo rezygnować ze znęcania się nade mną.

– Wybacz, ale nic nie słyszę, kiedy leci woda! – krzyknęła z łazienki.

– Do zobaczenia, skarbie! – zawołał przez zamknięte drzwi.

Pojawił się punktualnie, niosąc dużą latarkę i torbę na zakupy ze znakiem firmowym armatora. Nie chciał powiedzieć Laurze, co jest w środku. Zapewnił ją jedynie, że większość to rzeczy nadające się do jedzenia.

Był nie mniej zagadkowy, podając taksówkarzowi adres, a enigmatyczna

odpowieź kierowcy rzuciła niewiele światła na cel ich wyprawy. Taksówkarz sprawiał wrażenie zdziwionego, że każe mu się o tej porze jechać do wskazanego miejsca i nie ukrywał swych wątpliwości.

– Nie ma teraz po co jechać. Wszystko pozamykane. McCoy zapewnił go, że mimo to pragnie się tam udać.

– Przecież jest ciemno – powiedział kierowca. – Lepiej się wybrać za dnia.

– Mam latarkę – oświadczył McCoy.

Kierowca się roześmiał.

– Niewiele panu pomoże.

– Zaryzykujemy – powiedział McCoy, a potem uśmiechnął się do Laury i ścisnął jej rękę. – Chyba nie boisz się duchów, co?

– Duchów? Dokąd ty mnie zabierasz?

– Powinny być w miarę łagodne – zażartował.

– Och, w takim razie nie ma sprawy – odparła. McCoy roześmiał się cicho. W milczeniu jechali wąskimi ulicami, obserwując kolorowe szyldy sklepowe. Początkowo cukiernie, pizzerie i inne lokale gastronomiczne, należące do światowych sieci restauracji, sprawiały, że ulice bardzo przypominały amerykańskie miasta, ale kiedy wyjechali z dzielnicy handlowej, nie ulegało wątpliwości, że znajdują się na tropikalnej wyspie. Malownicze domy były rzadziej porzrucane, drogi gorzej oświetlone, a kierowca zaczynał zdradzać coraz większy niepokój. W końcu zatrzymał taksówkę.

– Dalej nie pojedę, proszę pana.

Rozpoznając Fort Charlotte, Laura spojrzała pytająco na McCoya. Mrugnął i uśmiechnął się.

– Czego się więcej boisz, skarbie – mnie czy duchów?

– Wsiadają państwo? – spytał kierowca, najwyraźniej pragnąc jak najszybciej stąd odjechać.

McCoy spojrzał na Laurę.

– Decyzja należy do pani.

Laurę opadły wątpliwości. Ostatecznie co wiedziała o McCoyu? Potem do głosu doszedł zdrowy rozsądek. Był profesorem podróżującym ze studentami. Jej siostra na pewno się domyśli, że Laura jest z nim, gdyby więc coś się stało...

– A więc jak, skarbie? – spytał i uśmiechnął się kusząco, ukazując dołeczki.

– Jesteś nienormalny – odparła – ale jeśli masz w torbie jedzenie, wchodzę w tę grę.

McCoy wyciągnął portfel i dał kierowcy kilka banknotów.

– Za półtorej godziny musimy wrócić na statek. Kierowca się zawahał, ale zmiękł, kiedy McCoy wetknął mu jeszcze jeden banknot pięciodolarowy i powiedział:

- Dostaniesz następną piątkę, kiedy zawieziesz nas do portu.
- Za półtorej godziny – powiedział taksówkarz, patrząc na zegarek. –

Będę czekał pięć minut.

McCoy włączył latarkę i oświetlając drogę, ruszył w stronę wejścia do starego fortu.

– I co teraz? – spytała Laura, kiedy dotarli do zamkniętej na kłódkę bramy.

– Małe czary-mary – powiedział McCoy. Laura ze zdumieniem obserwowała, jak otworzył kłódkę, spuścił łańcuch i uchylił bramę na tyle, by mogli przez nią przejść. – *Voilà!*

– Wszystko to zaplanowałeś! – krzyknęła Laura.

– Mówiłem ci, że przygotowałem niespodziankę – powiedział.

– Ale jak?

– Wystarczyło trochę zielonych, które trafiły w odpowiednie ręce. Niektóre zjawiska występują we wszystkich kulturach.

Nagle wszystkiego się domyśliła. Przypomniała sobie McCoya pogrążonego w rozmowie z przewodniczką.

– Załatwiłeś to z tą młodą przewodniczką. McCoy się pochylił, by pocałować ją w czubek nosa.

– Jest pani bardzo bystra, panno Randolph. Dostaje pani piątkę.

– Bystra, dobre sobie! Byłam pewna, że z nią flirtowałeś. McCoy wybuchnął głośnym śmiechem.

– Kobiety! Spróbuj zrobić coś niezwykłego, a zaraz myślą, że ma się nieczne zamiary.

Kiedy się znaleźli za bramą, spowaźniał. Oświetlał nierówny dziedziniec i upomniał, by uważała. Zatrzymali się przed wejściem do budynku. Padające z wnętrza fortu światła dawały niesamowitą poświatę.

Podziemne sale wydawały się większe, koło tortur bardziej realistyczne, manekin „ofiary” bardziej ludzki. Laura wzdygnęła się i odwróciła, skupiając całą uwagę na McCoyu, który oświetlał latarką przylegające sale. Woląta nie dociekać, co tak szeleści, kiedy do ciemnych pomieszczeń wtargnął gwałtownie strumień światła.

Przeszli do jednej z sąsiednich sal.

– Wymarzone miejsce na piknik, prawda?

– Piknik?!

– Ani jednej mrówki!

– Tylko pająki, skorpiony, nietoperze i... – Nagle uzmysłowiła sobie z przerażającą jasnością: była w towarzystwie kompletnego wariata. Daleko od ludzi. W obcym mieście. Czy policja w Nassau ma wydział zabójstw? Czy mieli dostęp do skomputeryzowanej sieci danych o przestępstwach?

– Rozłożysz koc czy ja mam to zrobić?

Myśląc, że lepiej go nie drażnić, wyjęła koc i rozpostarła go na kamiennej posadzce. McCoy usiadł i zaczął opróżniać torbę, zaglądając do każdego wyjmowanego pudełka. W końcu wykrzyknął triumfalnie:

– Świetnie. Mamy to, czego nam potrzeba.

Wyjął trzy świece w szklanych lichtarzykach i pudełko zapalek, ustawił je na środku koca i zapalił. Zadowolony z efektu wyłączył latarkę i odłożył ją na bok.

– Czy nastrój jest wystarczająco romantyczny? Romantyczny? Laura przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu. Jego ciemne włosy połyskiwały, w przystojnej twarzy nie dostrzegła nic niepokojącego, kiedy uśmiechnął się do niej czule. Nagle serce zabiło jej mocniej na wspomnienie jego pieszczot; ciągle jeszcze czuła na ciele delikatne muśnięcia jego dłoni.

Może wcale nie był wariatem o morderczych skłonnościach, tylko szalenie romantycznym facetem, lubującym się w teatralnych efektach.

Laura nie wiedziała – płakać czy się śmiać – kiedy dotarło do niej, że znowu dała się nabrać McCoyowi!

Torba na zakupy i jej magiczna zawartość pozwoliły na urządzenie prawdziwej uczy. Była nawet butelka schłodzonego wina i kieliszki na smukłych nóżkach. Jedli kawałki melona, winogrona, warzywa pokrojone w słupki, kostki sera, cieniutkie plasterki wołowiny i indyka, małe bułeczki posypane sezamem i makiem. Na deser były maślane ciasteczka w kształcie kwiatków i paluszki w czekoladzie.

Laura i McCoy wznosili toasty i sączyli wino. Jedli, żartując na temat orgii urządzanych w epoce Cesarstwa Rzymskiego. Zwracała się do niego „Cezarze”, on mówił do niej „Kleopatro”.

Kiedy się najedli, McCoy wyciągnął przed siebie nogi, a Laura położyła mu głowę na kolanach. Gładził ją po włosach i twarzy.

– Skąd ci przyszło do głowy, żeby się tu wybrać? – spytała.

– Ten fort liczy sobie wieki. Urzekła mnie jego historia. „Urzekła mnie jego historia”. Nawet wyrażał się ładnie, elegancko, choć zarazem prosto.

– Nie można zrozumieć historii jakiegoś miejsca, kiedy się je zwiedza w tłumie turystów – ciągnął.

– A teraz możesz ją zrozumieć? – spytała.

– Mniej więcej. Trochę mnie rozpraszasz.

– Ja? – spytała niewinnie.

– Tak – odparł, wzdychając. – Pięknie pachniesz. Dobrze mi z tobą i jesteś nieprawdopodobnie śliczna w blasku świec.

– Twoje słowa mają jakąś czarowną moc – powiedziała, nie próbując nawet ukrywać swego zdumienia. – W chwilach takich jak ta, nie jestem do końca pewna, czy cię jednak nie wymyśliłam. Trochę się boję, że otworzę oczy i stwierdzą, że stoję na pokładzie statku w swoim przebraniu, że wciąż trwa

Halloween, a ty istniałeś tylko w moich marzeniach.

– Istnieję naprawdę, skarbie. Wierz mi. W przeciwnym razie ta kamienna posadzka nie uwierałaby mnie tak w siedzenie, a krew nie płynęła mi szybciej w żyłach na twój widok.

– No widzisz, znów zachowujesz się, jakbym cię wymyśliła. Skąd wiesz, co powiedzieć, bym czuła się pożądana?

McCoy się roześmiał.

– Skarbie, mówię to, co czuję. Jesteś jedną z najbardziej powabnych kobiet, jakie spotkałem.

Nastąpiła chwila Wymownej ciszy. Laura pomyślała, że gdyby jakimś zrządzeniem losu czas musiał się zatrzymać, nie miałaby nic przeciwko temu, by zostać tu z Royem McCoyem na zawsze. W końcu powiedziała cicho:

– Jaki tu spokój.

– Uhm – zgodził się – aż trudno uwierzyć, że tu straszy.

– To dlatego ten kierowca był taki zdenerwowany?

– Mieszkańcy wyspy wierzą, że nocami nawiedzają to miejsce duchy poległych żołnierzy. Przewodniczka była zaskoczona, kiedy jej powiedziałem, że chcę tu przyjść wieczorem.

– Myślisz, że coś w tym jest?

McCoy zastanowił się chwilę, nim odpowiedział.

– Nie wierzę w żadne czary-mary, hokuspokus. Gdyby istniała legenda o jakimś konkretnym duchu, biednej, niespokojnej duszyczce, może bardziej byłbym skłonny dać wiarę.

– A więc wierzysz w duchy?

– Powiedzmy, że dopuszczam ich istnienie. Krąży zbyt wiele relacji pochodzących z rozmaitych, niezależnych źródeł, często znacznie odległych w czasie, aby całkowicie wykluczyć istnienie duchów. Kiedy mamy do czynienia jedynie z powszechnym przypuszczeniem, że gdzieś straszy, i to na wyspie, gdzie kultura w dużym stopniu opiera się na przesądach, skłonny jestem raczej sądzić, że to piski nietoperzy albo ptaków, które przypadkiem dostały się do środka i nie mogą się uwolnić, lub odgłosy wiatru.

– Mówisz bardzo przekonująco.

– To wcale nie znaczy, że wszyscy ci żołnierze nie są teraz z nami. Czuję ich obecność, a ty?

Laura nie odczuwała niczego takiego, ale była zafascynowana McCoyem i nowym rysem jego osobowości.

– Co pan czuje, profesorze? Proszę mi opisać.

– Zamknij oczy i skup się – powiedział. – Nic nie słyszysz?

– A co powinnam słyszeć?

– Historię – powiedział. – Przeszłość. Ludzi, którzy latami pracowali w pocie czoła, wznosząc ten fort. Ludzi, którzy tu żyli. Słuchaj. W sąsiednim

pomieszczeniu właśnie grają w karty. Jeśli dobrze nadstawisz ucha, dobiegnie cię odgłos tasowanych kart i brzęk monet na becze, zastępującej stolik. Z drugiego końca rozlega się czyjś śpiew. Ktoś nuci sprośną balladę, a może sentymentalną pieśń miłosną.

Wiem, kto tu jest sentymentalny, pomyślała Laura. Cudownie, rozczulająco sentymentalny. Jak będzie się mogła z nim rozstać? Serce jej pęknie na milion kawałków.

– Tam leży żołnierz na swojej pryczy i czyta list przy świetle kaganka. Słysząc szelest papieru, kiedy odwraca kartkę. Od ponad miesiąca co noc czyta ten list. W kółko.

– Od kogo jest ten list? – spytała Laura.

– Od żony albo ukochanej. Może od ojca. Właściwie nie ma to znaczenia. Tęskni za domem, list jest od kogoś bliskiego.

– Profesorze McCoy, jak na historyka jest pan bardzo sentymentalny.

– Ty tak na mnie wpływasz.

– Czego jeszcze mam nasłuchiwać?

– Odgłosów kroków. Chrapania. Śmiechu. Dzwonów ze statków stojących.

Mrozący krew w żyłach wrzask przerwał mu w pół zdania. Głośny, dziki, przeraźliwy, wypełnił podziemne sale i odbił się echem od kamiennych ścian. Laura usiadła gwałtownie i spojrzała przerażona na McCoya. Zerwali i pobiegli w kierunku schodów wiodących na zewnątrz. McCoy zachował tyle zimnej krwi, by złapać latarkę, ale jej nie zapalił, bo pokonywali zdradzieckie stopnie tak szybko, jak się dało.

Kiedy w końcu znaleźli się na dziedzińcu, w łagodnych ciemnościach księżycowej nocy, przytulili się do siebie mocno i stali tak, póki nie przestali dygotać. Wrzask ustał równie gwałtownie, jak się rozległ, zostawiając po sobie przeraźliwą ciszę.

– Może powinieneś zrewidować nieco swoje poglądy na temat tego ducha – powiedziała Laura. – W imię bezstronności.

– To nie był duch!

– Och, przepraszam. Może się omyliłam. Może to był tylko zwykły demon z zaświatów. – Wzdrygnęła się i przytuliła mocniej do McCoya, – To może być coś znacznie mniej złowieszczonego – powiedział.

Kolejny jęk przeszył powietrze, tym razem z miejsca odległego zaledwie kilka metrów od drzwi na drugim końcu koszar. Spojrzeli w tamtą stronę i zobaczyli kota z wysoko uniesioną głową.

Na jego wezwanie odpowiedziało kolejne demoniczne wycie ze środka budynku i kocur rzucił się w tamtą stronę.

McCoy przytulił Laurę.

– Jeszcze jedna historia miłosna ze szczęśliwym zakończeniem. Ejże,

czyżbyś... – Cała się trzęsa albo tak mu się wydawało. Odsunął się na tyle, by móc spojrzeć jej w twarz, i stwierdził, że zanosi się śmiechem. – Co cię tak rozbawiło? – spytał.

Nabrała głęboko powietrza, by się opanować.

– My! Zostaliśmy ukarani za brak wiary w duchy!

– Wcale nie myślałem, że to duch! – powiedział, jakby dotknięty samym przypuszczeniem.

– Załóżmy! McCoy, tak szybko zmykaliśmy, że cudem się nie pozabijaliśmy.

Zachichotał.

– Masz rację.

Stali, śmiejąc się i tuląc do siebie. Laura zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie jej tak dobrze jak teraz. Jej uwagi nie uszło nic – ani spowijające ich aksamitne ciemności, ani pieszczotliwy wietrzyk, ani padający na nich srebrny blask księżyca.

Odchyliła głowę i zobaczyła, że McCoy wpatruje się w nią z taką miłością w oczach, że zamarła, czekając na jego pocałunek.

W końcu oderwał usta od jej warg, ale nie wypuszczał jej z objęć. Przytuliła twarz do jego piersi i słuchała miarowego bicia serca. W pewnej chwili stwierdziła, że gdyby już nikt nigdy nie pocałował jej przy blasku księżyca, zestarzeje się, wiedząc, że całował ją mężczyzna, który mógł stanowić inspirację dla poetów. Poznała słodycz jego miłości, moc jego uczucia, a także emocje, które w niej budził.

– Chodźmy rzucić okiem na okolice – powiedział. Udali się na taras widokowy na skraju fosy. Poniżej, aż po horyzont, fale połyskiwały w świetle księżyca. Laura pomyślała, że już zawsze widok oceanu będzie jej się kojarzył z tym miejscem i z McCoyem.

– Myślisz o piratach? – spytała zadumana. McCoy zaśmiał się zmysłowo.

– Nie.

Objęła go za szyję.

– Powiedz mi, o czym myślisz?

– Że chciałbym się z tobą kochać w blasku księżyca.

– Nic nie stoi na przeszkodzie.

– Och, skarbie – powiedział, krzywiąc się, jakby poczuł nagły ból. – Gdybym wiedział... Za kilka minut przyjedzie taksówka, jeśli się spóźnimy, będziemy tu musieli zostać do rana. – Objął ją i spojrzął czule. – Nie ma się co spieszyć. Jeszcze nadarzy się okazja...

Laura miała nadzieję, że McCoy się nie zorientuje, że oczy błyszczą jej od powstrzymywanych łez. Czy zdarzy się jeszcze taka noc? Czy znajdą drugie takie odludne miejsce w blasku księżyca?

– Skarbie... – odezwał się.

– Przytul mnie – powiedziała, tuląc twarz do jego piersi. – Obejmij mnie z całej siły.

ROZDZIAŁ 10

Wszystko było jak we śnie: poranne słońce, turkusowy ocean, wiatr szarpiący rondo sfatygowanego słomkowego kapelusza Laury, odziani w kostiumy kąpielowe pasażerowie żaglówek, wymachujący rękami i kołyszący biodrami w rytm południowoamerykańskich melodii granych przez miejscowy zespół na pokładzie „Morskiego Diabła”, który płynął z przystani w Nassau w kierunku wyspy Blue Lagoon.

McCoy znajdował się na głównym pokładzie z Laurą i jej bliskimi. Liliana popijała poncz ramowy, a Róża robiła zdjęcia Malwince i Tylerowi, próbującym tańczyć calypso. Studenci McCoya siedzieli przy stoliku po drugiej stronie parkietu, śmiejąc się i przekomarzając.

Tylko turyści mogą się zachwycać południowoamerykańskimi rytmami i ponczem ramowym o dziewiątej rano, pomyślała Laura. Turyści i kobiety, które spędziły noc z Royem McCoyem. Niewiele spała, ale była raczej ożywiona niż zmęczona. Przypuszczała, że sprawiła to odmieniająca życie, rozpalająca zmysły, odbierająca rozum miłość.

Po powrocie na statek pospacerowali trochę po pokładzie w blasku księżycy, a potem udali się do jej kabiny i znów się kochali. Laura obudziła się w ramionach McCoya, czując się tak, jakby znalazła na ziemi kawałek raju.

Pomiędzy jedną a drugą piosenką studenci McCoya Zaczęli mu dawać znaki. Kiedy spojrzał w ich stronę, Mike pokazał palcem Melisę, nadmuchującą plażową piłkę.

– Rewanż! – krzyknął.

Z irytacją potrząsając głową, McCoy machnięciem ręki odrzucił propozycję.

– Powinienem posłuchać rady matki – burknął. – Chciała, żebym został ortodontą.

– Gdybyś został ortodontą – powiedziała Laura, przesuwając palcem po jego dłoni – nie byłbyś na tym statku, udając, że podróżujesz w czasie.

McCoy zmarszczył czoło.

– Nie ma róży bez kolców, co?

Laura pomyślała, że mimo tego gderania i narzekania było oczywiste, że między nim a studentami panowały przyjazne stosunki – wynikające z wzajemnego szacunku i więzi koleżeńskich.

Pół godziny później dopłynęli do Blue Lagoon, prawdziwego raju na ziemi. Przed pójściem na plażę zwiedzili wysepkę. Tyler i Malwinka wypatrzyli hamaki, rozwieszane między palmami, i uparli się, żeby je wypróbować. Chichotali, bo hamaki wymykały im się z rąk, gdy usiłowali się na nie wdrapać, a potem bujali się tam i z powrotem, jakby to były wielkie huśtawki.

– Chcesz spróbować? – szepnął McCoy Laurze prosto do ucha.

Nieznacznie wskazała ręką babkę i odszepnęła:

– Później.

W końcu doszli na piaszczystą plażę nad laguną. Laura i Liliana zajęły się rozkładaniem kocy, a Róża poszła z dziećmi pobrodzić w wodzie. Laura posmarowała McCoya kremem, po czym zdjęła bluzkę, by mógł się zrewanżować.

Liliana, która też smarowała się kremem, zauważyła żartobliwie:

– Ej, wy tam dwoje, nie spoufalajcie się zanadto. Nie chciałabym opowiadać swoim dzieciom bajeczek o pszczołkach i motylkach. Są jeszcze na to za małe. Laura skwitowała jej uwagę śmiechem.

– Jakby nie widziały w telewizji reklamy džinsów!

Po kilku minutach Róży udało się zagonić dzieci na koc.

– Jaka jest woda? – spytała Liliana.

– Mokra – odparł Tyler.

– Nie jest zimna?

– Nie – powiedziała Malwinka. – W sam raz.

– Jest dość silny prąd – wtrąciła Róża. – Jeśli dzieci będą chciały się kąpać, jedno z was musi im towarzyszyć.

– Chcę od razu iść popływać – oświadczył Tyler, ściągając przez głowę koszulkę.

– Ja też – powiedziała Malwinka. – Chcę, żeby poszedł z nami wujek Roy.

Liliana, zajęta smarowaniem syna kremem, rzuciła:

– Pan McCoy może nie mieć teraz ochoty na pływanie.

– Jak to nie! – odezwała się Laura. – Wujek Roy właśnie mówił, że już nie może się doczekać, kiedy pójdzie się kąpać.

„Wujek Roy” spojrział na nią zaskoczony, ale zareagował właściwie.

– Racja! Będzie dużo śmiechu, kiedy razem z ciotką Laurą pobawimy się w morskie potwory, prawda?

– Tak! – krzyknął Tyler, unosząc ręce nad głowę jak atakujący niedźwiedź i wydając przeraźliwy ryk.

Malwinka podbiegła do McCoya.

– Chcę na barana.

McCoy uklęknął, żeby mogła usiąść mu na ramionach.

– Teraz możemy udawać wielkiego potwora – powiedziała dziewczynka, kiedy McCoy się wyprostował.

– Racja! – zgodził się McCoy. – Dalej, na nich! Pobiegł prosto na Laurę, a ta złapała Tylera za rękę i powiedziała:

– Chodź! Pokonamy ich w wodzie.

Tyler przystanął tuż nad wodą, znów przybrał pozę atakującego

niedźwiedzia, a potem pobiegł za Laurą do morza.

– Ale silne fale – powiedział, kiedy stanął po kolana w wodzie.

Chociaż woda nie sięgała Laurze nawet do kolan, musiała walczyć z prądem, wiedziała więc, że Tylerowi jest jeszcze trudniej ustać. Ukłękła i powiedziała, by usiadł jej na barana.

– Teraz my jesteśmy więksi – zauważyła.

– Tak! – powiedział Tyler i wrzasnął przeraźliwie na widok McCoya i siostry.

Dzieci robiły dużo hałasu, ale silny prąd uniemożliwiał wszelkie szybsze ruchy.

– Może pobawimy się w coś innego? – zaproponował McCoy po pięciu minutach.

– Ale w co?

– Mam pomysł – powiedział. – Chodźcie ze mną.

Dzieciaki nie chciały wyjść z wody, ale szybko się udobruchały, kiedy zobaczyły, że McCoy kieruje się w stronę jaskrawożółtych nadmuchiwanych kół, leżących pod daszkiem z liści palmowych.

Serce Laury przepełniła czułość, kiedy patrzyła na swych siostrzeńców, uczepionych koła większego od nich.

– Są tacy kochani – wyrwało jej się.

– Nie są najgorsi – zgodził się McCoy.

Wielki, twardy, sentymentalny McCoy! Był taki cudowny, nie mniej pochłonięty zabawą niż dzieci. Odwróciła się do niego i uśmiechnęła obiecująco.

– Jesteś dobrym kumplem. Może znajdę jakiś sposób, by ci okazać wdzięczność.

– Przypomnę ci o tym, kiedy będziemy sami – obiecał McCoy, obdarzając ją swym najbardziej zabójczym uśmiechem.

Zmysłowy podtekst jego słów spowodował, że Laura poczuła mrowienie w całym ciele, ale kiedy patrzyła w ciemnoniebieskie oczy McCoya, uświadomiła sobie nagle jeszcze coś: zakochała się. Niech zlitują się nad nią wszyscy święci, zakochała się – całym sercem, duszą i ciałem – w Royu McCoyu!

Playboy McCoy. Podrywacz, spryciarz. Pożeracz serc. O Boże, jak mogła do tego dopuścić? Pragnęła jedynie przeżyć wakacyjną przygodę, romans, który mogłaby wspominać, chciała urozmaicić życie, bo stało się zbyt nudne, wypełnione jedynie pracą, pozbawione radości i bliskości drugiego człowieka. Powinna wiedzieć, że trudno mu się będzie oprzeć – z tymi dołeczkami i zmysłowym uśmiechem, z tymi czarnymi włosami, szerokimi barami i umięśnionymi nogami. Któż by się nie zakochał w Royu McCoyu?

Jeśli szaleństwem było się w nim zakochać, szaleństwo to uważała za

całkowicie usprawiedliwione. Ostatecznie była tylko kobietą, a on był Playboymem McCoyem, uosobieniem jej snów, zmysłowych i romantycznych fantazji. Zresztą kto powiedział, że musi się to skończyć wraz z wakacjami? Mieszkali w tym samym mieście. Nadal mogli się spotykać. Podobała mu się. Może z czasem.

Akurat! Uroczy kawaler, w którym się podkochiwały wszystkie studentki, otoczony wianuszkami kobiet pragnących zwrócić na siebie jego uwagę, rozchwytywany przez panie domu zarządzające przyjęciami, nagle postanowił zrezygnować z tego wszystkiego, bo znalazł kobietę swoich marzeń...

Prędej jej kaktus na dłoni wyrośnie. Nie, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Mogła oczekiwać po McCoyu dokładnie tego, czego się spodziewała, kiedy zdecydowała się na ten romans: wakacyjnej przygody. Wiedziała, że kiedy wszystko się skończy, będzie jej trochę smutno; ale nie myślała, że aż tak bardzo się zakocha.

– Ciociu Lauro...

Głos Tylera wyrwał Laurę z zamyślenia. Spojrzała na siostrzeńca. – Słucham?

– Nie pójdziesz z nami do wody? Jest bardzo fajnie.

– Tak! – zachichotała Malwinka. – Bardzo fajnie. Dzieci znajdowały się w środku dużego, nadmuchiwanego koła, którego się kurczowo trzymały rączkami. Piszcząły z uciechy, kiedy McCoy nim obracał. Laura poczuła, że już jej krwawi serce. Miała dopiero dwadzieścia pięć lat, jej zegar biologiczny ledwo co zaczął odmierzać czas. Ale obserwując mężczyznę, w którym była do szaleństwa zakochana, bawiącego się z dziećmi, które były jej tak drogie, poczuła nagle przemożną chęć uwicia sobie gniazdko.

Czemu nie? – krzyczał jej kobiecy instynkt, chociaż zdrowy rozsądek ostrzegał, że to tylko marzenia. Dlaczego to miałyby się nie spełnić, skoro ziściły się inne? Dlaczego nie mogła mieć nadziei na dalsze szczęśliwe życie, skoro już znalazła miłość bardziej szaloną od najbardziej szalonych marzeń?

Kiedy znów wróciła do rzeczywistości – a nie mogła powiedzieć, co tym razem wyrwało ją z zamyślenia – stwierdziła, że McCoy patrzy na nią uważnie. Wiedziała, że zorientował się, o czym myślała; musiało to być wypisane na jej twarzy tak wyraźnie jak tytuły w popołudniówkach.

Niestety, jego reakcja była równie oczywista: odwrócił wzrok, jakby nie mógł znieść tęsknoty, którą ujrzał w jej oczach.

Zatwardziały stary kawaler w pełnym odwrocie, pomyślała Laura, czując pierwsze ukłucie w sercu. Boże, jeśli tak bardzo ją bolało odkrycie, że nie interesuje go „wspólne długie i szczęśliwe życie”, co będzie, kiedy nadejdzie chwila pożegnania?

Na szczęście nie miała czasu się nad tym zastanawiać, ponieważ usłyszała, jak ktoś na brzegu woła ją i McCoya. Spojrzała w tamtą stronę i

zobaczyła studentów, machających do nich.

– Czas na rewanż – zawołał Mike, podrzucając piłkę w powietrze.

– Jesteśmy zajęci – odpowiedział McCoy.

– Potrzebna nam Laura! – nie poddawała się Nika. – Nie możemy grać nierównymi siłami.

McCoy był gotów znów zaprotestować, ale Laura krzyknęła:

– Zagram.

Zanim wyszła z wody, zwróciła się do McCoya:

– Chcesz, żebym przysłała tu Lilianę?

– Niech sobie czyta – powiedział McCoy. – Jest nam bardzo dobrze.

Prawda, dzieciaki?

Przytaknęły głośno.

– Widzisz? – uśmiechnął się McCoy.

Laura zwerbowała na arbitra swą babkę. Gra szybko nabrała rumieńców. O każdy punkt toczyła się zażarta walka i Róża musiała kilka razy wydawać rozstrzygające decyzje.

Po zdobyciu przez oba zespoły po osiemnaście punktów McCoy i dzieci przyłączyli się do małej grupki widzów. Mecz się zbliżał do końca i zawodnicy zrobili się bardziej zaciekli. Malwinka kibicowała dziewczętom, Tyler – chłopakom. McCoy zachował dyplomatyczną neutralność, ale uniósł kciuki w górę, kiedy Laura przebiła piłkę i ustaliła wynik na dziewiętnaście punktów.

Mecz trwał jeszcze jakieś dwadzieścia minut, ale zwyciężyli chłopcy. Kiedy ucichły wiwaty, Mike zwrócił się do McCoya:

– Widzisz, co się dzieje, kiedy mamy arbitra, który obserwuje grę, a nie pupę Laury?

– Baskin! – ostrzegł go McCoy. – Uważaj, co mówisz. Są tu dzieci.

Nie wspominając o mojej babce, pomyślała Laura.

– Tak, McCoy. Dość szybko się uwinęliście – nie rezygnował Mike. – Co zrobiliście z Laurą, zadzwoniliście do Biura Wynajmu Dzieci?

McCoy nie zaszczycił go odpowiedzią, ale uwaga ta bardzo rozśmieszyła Tylera.

– Biuro Dzieci! – zawołał rozbawiony.

– Jest jeden-jeden – powiedziała Nika. – Musimy po obiedzie zagrać o mistrzostwo.

– Obiad! – krzyknął Mike. – Żarcie! Tak! Chcę jeść!

– Tak! Musimy się porządnie najeść, jeśli chcemy pognębić dziewczyny.

– Pognębić? Chyba w marzeniach – powiedziała Melissa. – Mieliście po prostu szczęście.

– O, teraz zwalasz wszystko na łut szczęścia? Jakbyście wy nie miały szczęścia poprzednim razem. Szczęścia i ślepego sędziego! A propos, pokonani stawiają picie, pamiętacie? Ja proszę o piwo.

– Popieram! – zgodził się Jason i przekomarzając się, ruszyli na poszukiwanie restauracji.

– Nie obraziłbym się na coś do zjedzenia i zimnego do picia – powiedział McCoy. – Zgłodniałem, zmagając się z tym prądem.

– Chcę wrócić do wody – oświadczyła Malwinka.

– Ja też – powiedział Tyler.

– Miejcie trochę litości! – zwróciła się do nich Laura. – Pan McCoy spędził z wami dużo czasu. Jeśli jest głodny, powinniśmy go nakarmić.

Obiad był w bardzo amerykańskim stylu – kurczaki z rusztu i hamburgery podane w barze niedaleko plaży. Dzieci zaraz po jedzeniu chciały się kąpać, ale Liliana, robiąc oko do Laury, zwróciła im uwagę, że muszą trochę odpocząć, i zaproponowała jeszcze jeden spacer po wyspie. Róża znalazła sobie hamak i zdrzemnęła się po emocjach sędziowania.

Laura i McCoy też wybrali sobie hamak w cieniu, na uboczu. Nie drzemali, tylko leżeli przytuleni. Kiedy jeden z oficerów rozrywkowych ze statku ogłosił, że za chwilę rozpoczną się gry i konkursy, Laura westchnęła i spytała:

– Chcesz obserwować wyścigi krabów?

– Kiedy mogę tu zostać z tobą? Za nic w świecie – odparł McCoy.

– Mogłabym tak leżeć wiecznie – zgodziła się Laura, mając nadzieję na jakiś znak z jego strony, że chciałby tego samego.

Miło byłoby usłyszeć kilka słów na ten temat, ale musiała się zadowolić westchnieniem i uściskiem; przypuszczała, że mężczyzna, który zachował kawalerski stan tak długo jak McCoy, rozwinął sposób wyrażania uczuć bez słów, aby nie zostać schwytanym w pułapkę, gdyby wymknęło mu się coś, co można by wziąć za obietnicę.

Och, McCoy, dlaczego nie mógłbyś się we mnie zakochać?

Milczeli przez kwadrans, w końcu Laura odezwała się cicho:

– Nad czym tak się zamyśliłeś?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– A powiesz mi?

– Podziwiałem twoje uda.

– Moje uda? – Leżała z jedną nogą wyciągniętą, a drugą zgiętą w kolanie, aby utrzymać hamak w równowadze.

– Właśnie to – powiedział McCoy, przesuwając palcem po wewnętrznej stronie jej uda.

– To może być jedna z tych sytuacji, kiedy trzeba się uciec do małego kłamstwa. Jeśli przez nieuwagę wymknie ci się w związku z moim udem słowo „grube”, ani się obejrzysz, jak wylecisz z tego hamaka.

McCoy się roześmiał.

– Skarbie, to jedna z rzeczy, które nie wymagają kłamstwa. Twoje udo

jest idealne. Tak idealne, że przez ostatnie piętnaście minut zastanawiałem się nad zrobieniem na nim malinki.

– Malinki?

– Nie udawaj, że nigdy nie słyszałaś o malince. Zaczyna się od pocałunku...

– Wiem, co to jest malinka! – przerwała mu Laura, przeklinając się, że nie może opanować rumieńca.

– Ale nigdy nie zaznałaś tej przyjemności, co?

– Oczywiście, że tak!

– Oczywiście, oczywiście – powtórzył McCoy.

– Jesteś niebezpiecznie blisko wylądowania na twardej ziemi – ostrzegła go.

McCoy odwrócił głowę, żeby pocałować ją w szyję.

– Skarbie, chyba nie masz zamiaru mnie wyrzucić? Nie wtedy, kiedy rozprawiamy o malinkach.

– Nie rozprawiamy o malinkach, ty o nich mówisz – powiedziała.

– Ale ty o nich myślisz. Nie próbuj się wypierać.

– Zarozumialec! – sapnęła.

– Skarbie, nie bądź taka zła. Dobrze wiedzieć, o czym myślisz. Już to wystarcza, żebym poczuł się cudownie.

Westchnął przesadnie.

– Skarbie, wyobraźnię pomaga żyć. Pomyśl tylko. Ja. Ty. Moje usta. Twoje udo.

Laura tak świetnie to sobie wyobrażała, że ledwo mogła oddychać. McCoy nie poddawał się.

– Najpiękniejsze w tym wszystkim byłoby to, że nikt poza nami by o tym nie wiedział. To tak, jakbyś miała tatuaż na pupie. Nikt by niczego nie podejrzewał, póki sama byś nie powiedziała. Koleżanki pytałyby, jak było na wakacjach, uśmiechałyby się i mówiła, że cudownie, ale w głębi duszy cała byś płonęła, wiedząc, że masz tam ten znak. I zaczerwieniłabyś się, tak jak teraz, a twoje koleżanki pomyślałyby, że za dużo czasu spędziłaś na słońcu.

– Nie zaczerwieniłam się! – zaprotestowała Laura.

– Jesteś czerwona jak burak.

– To... A niech cię diabli, McCoy. Nie masz prawa wprawiać mnie w taki stan samym gadaniem.

– Nie rozumiem dlaczego – powiedział. – Ty samą obecnością wprawiasz mnie w taki stan. A twoje udo znajduje na wprost mojej twarzy, więc nie możesz mieć pretensji, że mnie zainspirowało.

Kilka godzin później stali na pokładzie łodzi, obserwując, jak wyspa Blue Lagoon zamienia się w punkcik.

Wyrzucono ich z hamaka – dość bezceremonialnie zdaniem McCoya – aby rozegrać kolejny mecz siatkówki. McCoy znów poszedł z dziećmi do wody. Róża i Liliana z dziećmi wróciły na statek wcześniej, a McCoy i Laura jeszcze zostali na wyspie. Trochę popływali, zmagając się z prądem, potem położyli się na ręczniku, żeby im wyschły kostiumy, nim wsiedli na ostatnią łódź.

Zespół grał, studenci tańczyli. McCoy wolał stać z Laurą na pokładzie. Wystarczyło lekko pochylić głowę, by dotknąć ustami jej karku. Rondo kapelusza stanowiło pewną przeszkodę, ale był uparty.

Pocałował ją w ucho i szepnął:

– To już niedługo. Spłuczemy piasek, umyję ci włosy, potem zaniosę cię do łóżka i zabierzemy się do tej malinki. Zacznę od krótkiego pocałunku. Może cię nawet ugryzę – oczywiście leciutko.

Wyrwała mu się i stanęła tak, żeby móc widzieć jego twarz.

– McCoy...

W jej wzroku było tyle uwielbienia, że McCoyowi zapało dech. Uniósł rękę do jej twarzy i uśmiechnął się ciepło.

– Jest tak cudownie. Nie chcę, żeby to się skończyło – powiedziała szybko.

– Wakacje zawsze się kiedyś kończą – odparł.

Laura odwróciła wzrok. Przeczował, że jest bliska łez, ale nie wiedział, jak ją pocieszyć. Ujął ją pod brodę i spojrzał prosto w oczy.

– Mamy jeszcze jedną noc i dzień w Key West, a potem jeszcze jedną noc na morzu.

Rozmyślnie nie wspomniał o przyjęciu urodzinowym jej babki, ponieważ nie został na nie oficjalnie zaproszony.

Laura smutno skinęła głową, objęła go w pasie i wtuliła twarz w jego szeroką pierś.

– Ejże! – powiedział. – To tylko koniec rejsu, a nie świata. Tak ci się wydaje, pomyślała Laura.

– To będzie koniec naszego świata – szepnęła.

– Wykluczone, skarbie – powiedział, klepiąc ją po plecach. – Mieszkamy w turystycznej stolicy świata. Pomyśl, ile będziemy mieli radości, włącząc się razem po Orlando. Jeśli zateścimy za morską przygodą, możemy pojechać do Disneylandu i popływać statkiem pirackim. Albo urządzić sobie hawajską ucztę w Morskim Królestwie udając, że jesteśmy w bufecie na statku.

Nabrała trochę otuchy.

– Naprawdę?

– Myślałaś, że nie poproszę cię o numer telefonu? Sądziła, że kiedy opuszczą pokład statku, nigdy więcej go nie zobaczy. McCoy nie wiedział, czy wlać jej trochę oleju do głowy, pocałować żarliwie, czy też zachować żartobliwy

ton. Zdecydował się na to ostatnie.

– Skarbie, za kogo ty mnie uważasz? Wiedz, że nie robię malinki na udzie pierwszej lepszej dziewczyny z brzegu. To, że nazywają mnie Podrywacz, jeszcze nie oznacza, że nadaję się tylko do łóżka.

– McCoy – powiedziała groźnie. Uśmiechnął się i uniósł jedną brew.

– Chcesz, żebym cię przytulił? Objęli się.

Kilka minut później studenci McCoy'a namówili ich, żeby zatańczyli.

Po dwóch prawie bezsennych nocach, dwóch meczach siatkówki i zmaganiu się z prądem w lagunie Laura powinna odczuwać zmęczenie. Tymczasem była niezwykle ożywiona. Wprost tryskała energią. Zamierzał kontynuować ich znajomość po powrocie do Orlando! Może ich uczucie jeszcze się rozwinie. Może się wypali. Ale przynajmniej będzie wiedziała. Nie będzie musiała snuć domysłów. Wmieszali się w tłum pasażerów. Byli już na trapie, kiedy Laura sięgnęła do torby plażowej po okulary słoneczne i stwierdziła, że ich tam nie ma.

– Musiały wypaść, kiedy przewróciła się torba – powiedziała McCoyowi.
– Pójdę ich poszukać. Nie były tanie.

Porwał ich strumień wysiadających pasażerów.

– Wrócę po nie – zaoferował się McCoy. – Będzie mi łatwiej przecisnąć się przez ten tłum. Zaczekaj na mnie na brzegu. – Pochylił się, żeby szepnąć jej do ucha: – Pamiętaj, co mamy w planie, kiedy już będziemy w twojej kajucie.

Laura nie myślała o niczym innym, stojąc na nabrzeżu i obserwując McCoy'a, wchodzącego po trapie. Zastanawiała się, czy zawsze będzie się tak zachowywał i jak długo będą odczuwali na swój widok to dziwne podniecenie, jeśli nadal będą się spotykali. Bardzo chciała się przekonać.

Dotarł do końca trapu i obejrzał się. Laura już miała podnieść rękę, żeby mu pomachać, kiedy na twarzy McCoy'a pojawił się wyraz konsternacji. To, co nastąpiło potem, zobaczyła jak na zwolnionym filmie. Wiedziała, że nigdy tego nie zapomni.

Przypuszczała, że kobieta stojąca na końcu trapu była jedną z pasażerek statku wycieczkowego albo pracownikiem firmy, która organizowała wyprawy na Blue Lagoon. Miała na sobie oszałamiająco piękną sukienkę z materiału w egzotyczny deseń, która podkreślała jej zgrabną figurę. Rude włosy były krótko podcięte i wymodelowane. Wszystko to Laura zauważyła jak bezstronny obserwator, czekając na McCoy'a. Teraz wszystkie te szczegóły stanęły jej żywo przed oczami, kiedy kobieta podbiegła do McCoy'a, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w sposób, jaki powinien być zabroniony w miejscu publicznym.

ROZDZIAŁ 11

Przez kilka sekund Laura stała jak skamieniała. Dopiero potem znaczenie tego, co ujrzała, dotarło do jej świadomości. McCoy całujący kobietę. Jeszcze nie dopłynęli do Miami, a już był z inną. Zamierzali iść do jej kajuty. Zamierzali się kochać.

Ból był nie do zniesienia. Nie mogła tak tu stać i patrzeć, jak McCoy całuje się z inną kobietą. Musiała stąd uciec. Natychmiast. Cofnęła się o krok. Wtedy McCoy uniósł głowę i zobaczył ją. Nie mogła dłużej tego znieść. Odwróciła się i pobiegła prosto przed siebie.

Nie miała dokąd uciec. Mogła tylko stanąć na końcu kolejki pasażerów, czekających, by wejść na pokład „Morskiego Diabła”. Z trudem powstrzymując łzy, wyciągnęła z torby plażowej kartę pokładową. Przed oczami cały czas miała tamtą kobietę – taką piękną, wytworną i wymuskaną. Poczowała się przy niej brzydka i zaniedbana – nagle uświadomiła sobie, że ma na skórze piasek i sól, na głowie zdefasonowany kapelusz, jej bawełniana koszulka jest tandetna w porównaniu z sukienką w egzotyczny deseń, a plażowe klapki okropne przy eleganckich sandałkach. Kobieta całująca się z McCoyem przypominała orchideę, tymczasem ona, Laura Randolph, była jedynie chwastem.

Wiedziała, że McCoy będzie próbował ją odszukać, i nie było sposobu, by tego uniknąć. Pragnęła jak najszybciej znaleźć się w swej kajucie, ale najpierw musiała odstać w kolejce. Przybiegł zadyszany i wymówił jej imię.

Odwróciła się do niego plecami. Nie chciała z nim rozmawiać. Nie mogła. Jeszcze nie teraz. Wszystko było jeszcze takie świeże. Musiała pobyć trochę sama, żeby ochłonąć i zebrać siły.

McCoy nie należał jednak do ludzi, którzy się łatwo poddają. Stał tuż za nią.

– Lauro, to wcale nie było to, co myślisz.

– Jest twoją siostrą? – spytała Laura, odwracając się w jego stronę, próbując gniewem zamaskować ból.

– Oczywiście, że nie. Ale...

– W takim razie to było to, co myślę – odparła ostro.

– Nie wiedziałem, że się tutaj zjawi. Ma na imię Diana. Chodziliśmy ze sobą. Bardzo krótko. Spotkaliśmy się zaledwie parę razy. Przysięgam, że nie wiedziałem, że tutaj będzie. Jest agentką biura podróży. To ona załatwiła zniżkę dla kółka historycznego. Postanowiła mi zrobić niespodziankę.

– Twoje szczęście – powiedziała Laura z sarkazmem – i moje. Gdyby nie pojawiła się teraz, tylko wieczorem na kolacji, musiałabym... musiałabym amputować nogę, żeby się pozbyć tej malinki. – Nie zdawała sobie sprawy, że podniosła głos, póki nie spostrzegła, że ludzie się jej przyglądają.

– Skarbie... – Wyciągnął rękę, ale cofnęła się gwałtownie.
– Nigdy więcej tak do mnie nie mów, ty... Playboyu! Ty Podrywaczu!
– Przynajmniej mnie wysłuchaj!
– Słuchałam cię, odkąd cię poznałam, i jak na tym wyszłam?
– Od naszego spotkania ani razu o niej nie pomyślałem. Po powrocie do Orlando zerwałbym z nią.

– Cóż, masz problem z głowy. Od Trójkąta Bermudzkiego do Blue Lagoon byłam ja. Z Nassau do Miami popłyniesz w towarzystwie Diany.

– Lauro... Znów odtrąciła jego rękę, kiedy próbował ją objąć.

– Zostaw mnie w spokoju, McCoy. Musisz teraz zabawić Dianę, a mnie potrzebny jest prysznic. Czuję się podle.

McCoy powstrzymał się od zaoferowania pomocy przy myciu włosów. Uraził ją i była zła, ale z pewnością kiedy ochłonie, wysłucha go.

– Dobrze, dam ci teraz spokój. Spotkamy się później, skarbie. Musimy sobie wszystko wyjaśnić.

Uspokoila się. Pomyślał, że może minął jej gniew. Sięgnęła do torby plażowej, wyciągnęła z niej tubkę kremu do opalania, odkręciła nakrętkę i wycisnęła zawartość opakowania na jego głowę.

– Wracaj do swojej... ślicznotki.

Stał bez ruchu, krem spływał mu z włosów, widział, jak machnęła kartą pokładową przed nosem stewarda stojącego u wejścia na trap, i torując sobie drogę wśród wolno przesuwających się pasażerów, zniknęła mu z oczu.

Laura spędziła pod prysznicem ponad godzinę – namydlając się, szorując, spłukując i szlochając. Wszystko, nawet zapach szamponu, przypominał jej McCoya.

Playboy McCoy. Łobuz! Jak mogła być aż tak naiwna? Ten południowy urok. Ten pocałunek na bazarze. Piknik w starym forcie. I to gadanie o malince na udzie! Wzdrygnęła się na myśl, ile kobiet chodzi po świecie z malinkami na udach, pamiątkami po Playboyu McCoyu. Może opatruje je autografem! Albo robi im zdjęcia do swego albumu.

Wytarła się, owinęła mokre włosy ręcznikiem i położyła się do łóżka – tego, którego nie dzieliła z McCoyem. Dzięki Bogu, że w kajucie były dwa.

Na zmianę waliła pięścią w poduszkę, płakała, walczyła z czkawką i wściekała się. Wymyślała sobie, że uwierzyła, iż marzenia się spełniają, i McCoyowi, bo on to sprawił.

Zamówiła przez telefon wino i piła je prosto z butelki.

Co piętnaście minut dzwonił telefon, ale nie podnosiła słuchawki. Po ósmym telefonie rozległo się pukanie do drzwi. Powtarzało się również co piętnaście minut, ale nie zwracała na nie uwagi, póki nie usłyszała zza drzwi głosu Liliany.

– Lauro? To ja, Liliana. Pan McCoy się niepokoi. Prosił, żebym sprawdziła, jak się czujesz.

– Żyję, oddycham, zostało mi jeszcze pół butelki wina. Możesz mi powiedzieć, że czuję się wspaniale – oznajmiła Laura przez zamknięte drzwi.

– Nić mu nie powiem, póki cię nie zobaczę – odparła Liliana.

Laura zmarszyła czoło. No tak, to cała Liliana. Wiedząc, że się jej tak łatwo nie pozbędzie, wpuściła siostrę do środka.

– On jest załamany. – Liliana przysiadła w nogach wolnego łóżka.

– Dobrze mu tak. – Pociągnęła łyk wina, a potem podała butelkę siostrze.

– Masz ochotę? Zagraniczne.

Liliana obrzuciła butelkę pogardliwym spojrzeniem. Laura wzruszyła ramionami i pociągnęła drugi łyk.

– Nie wiedział, że tamta kobieta się tu pojawi – powiedziała Liliana.

– Tutaj, w Miami, w Orlando. Nieważne, gdzie by się pojawiła, rzecz w tym, że w ogóle się pojawiła.

– Lauro, nie wiedział, że cię spotka. Nie możesz mieć do niego pretensji o to, że żył, zanim wszedł na pokład tego statku.

– Jeśli przyszedł tu, by go bronić, to możesz już sobie pójść. Chciałaś się przekonać na własne oczy, że nic mi nie jest. Zobaczyłaś.

– Zobaczyłam – powiedziała Liliana – ale wcale nie jestem pewna, że wszystko z tobą w porządku.

– Zranił mnie. Próbuję sobie z tym poradzić.

– Z pomocą butelki wina.

– Jedna butelka wina nie oznacza jeszcze, że jestem beznadziejną alkoholiczką! – wykrzyknęła Laura. – Liliano, może przestałabyś mi w końcu matkować.

– Chciałam tylko...

– Ty zawsze „tylko chcesz” – powiedziała Laura. – Od śmierci matki próbujesz kierować moim życiem.

– Nieprawda! – zaprotestowała Liliana. – Byłaś taka młoda, próbowałaś wcielić się w matkę, zamiast być sobą. Potem tatuś poślubił Cynthię i straciłaś grunt pod nogami. Ktoś musiał nad tobą czuwać. Może czasami byłam zbyt surowa, ale nie miałam doświadczenia w matkowaniu. Ostatecznie jestem od ciebie niewiele starsza.

Laura westchnęła znużona.

– Domyślam się, że powiesz mi teraz, że wszystko robiłaś z miłości do mnie i dla mojego dobra.

Liliana się uśmiechnęła.

– Wyjęłaś mi te słowa z ust, siostrzyczko.

– Cyniczka!

Nastąpiła chwila milczenia. Liliana westchnęła.

– Możesz mi powiedzieć wszystko o McCoyu? Rozczesując palcami wilgotne włosy, Laura zaczęła mówić.

... – Co tu jest do powiedzenia? Widziałaś go. To przystojniaczek. Wiedziałam, że jest playboyem, mimo to zakochałam się w nim. Teraz płacę za swoją głupotę.

– Chcesz posłuchać rady starszej siostry?

– Nie.

– I tak ci powiem. Laura zmarszczyła czoło.

– Lauro, naprawdę mu na tobie zależy. Jest kompletnie załamany.

– A ja nie? Całuje go ciepłarniana orchidea, w miejscu publicznym, w środku dnia, i to on jest tym poszkodowanym?

– Nie możesz go winić za jej czyny. Porozmawiaj z nim, a przynajmniej dopuść do siebie myśl o rozmowie z nim.

– Może później. Jutro. Jeszcze nie dojrzałam do rozmowy. – Spojrzała błagalnie na siostrę. – Naprawdę chciałabym zostać teraz sama.

– Na pewno? – spytała Liliana z powątpiewaniem. – Dziś wieczorem jest rewia. Może się jeszcze zdecydujesz pójść. Słodkie maleństwa bardzo by się ucieszyły.

Słodkie maleństwa! – przypomniała sobie Laura. Nie pomyślała, jak zareagują na nagłe zniknięcie wujka Roya.

– Wiedzą?

– Odszukał nas w restauracji. Spytały, gdzie jesteście. Powiedział, że bierzesz prysznic. Nie widziałam powodu, by próbować im cokolwiek wyjaśnić.

– Nie jestem w nastroju do rewii – powiedziała zdecydowanym tonem Laura. Gdyby pojawił się McCoy...

Liliana wstała.

– Dobrze. Ale gdybyś zatęskniła za towarzystwem... Laura skinęła głową. Liliana podeszła do drzwi. Na progu znieruchomiała.

– Jest tam, prawda? – spytała Laura.

– Czekaj na końcu korytarza. Teraz idzie w tę stronę. – Spojrzała na Laurę. – Mogę go nie wpuścić, jeśli sobie tego życzysz.

Laura wzięła butelkę i pociągnęła długi łyk wina.

– Niech wejdzie. Czemu nie? Wyglądam jak straszdyło, ale co mi tam.

Na twarzy Liliany pojawiło się powątpiewanie, ale skinęła głową i wyszła, zostawiając uchylone drzwi. Po chwili stanął w nich McCoy.

– Wejdz. – Laura usiadła na łóżku, pod plecy położyła sobie poduszkę.

Spojrzał na nią tak, jak tylko on potrafił.

– Boże, ale ślicznie wyglądasz!

– Oszczędź sobie trudu. Nie należę już do twojego haremu.

– Nie mam haremu. Słuchaj, rozumiem, że możesz być na mnie wściekła.

– Wściekła? – powtórzyła Laura dziwnie opanowanym tonem. – Wcale nie.

– Kłamczucha.

Laura była zbyt bliska hysterii, by się bronić lub sprzeczać, McCoy nie spuszczał z niej wzroku.

– Nie mogę uwierzyć, że przekreśliłaś wszystko, co się między nami wydarzyło, przez jedno drobne nieporozumienie.

– Drobne nieporozumienia to zdaje się twoja specjalność. I nie rozumiem, jak można nazywać „drobnym nieporozumieniem” kobietę, która wygląda, jakby zeszła z okładki magazynu mód.

– Nie mówiłem o Dianie! Mówiłem o jej niespodziewanym pojawieniu się, kiedy... Nie mogła sobie wybrać gorszego momentu.

– Jestem pewna, że kobiecie o takich... zaletach wybaczysz tę niezręczność.

– Nie będę się poniżał, żeby odpierać takie oszczerstwa.

– Jesteś prawdziwym dżentelmenem.

– Do diabła! Wybacz mi, jeśli poczułaś się urażona, ale nie oczekuj przeprosin za to, że nim cię poznałem, spotykałem się z innymi kobietami.

Zapanowała cisza, ciężka i głucha. W końcu McCoy powiedział:

– Teraz powinnaś rzucić mi się w ramiona i przyznać, że zareagowałaś przesadnie.

Laura odpowiedziała groźnym spojrzeniem, które McCoy skwitował uśmiechem.

– Daj spokój, skarbie. Im szybciej się pocałujemy i zapomnimy o tamtej sprawie, tym szybciej będziemy mogli przystąpić do robienia malinki.

Laura z całej siły cisnęła w niego poduszką. – Nie mów do mnie „skarbie”!

McCoy nie mógł uwierzyć, że kobieta może być aż tak uparta. Podniósł poduszkę i położył ją delikatnie, na łóżku u jej stóp, a potem usiadł.

– Wynoś się z mojego łóżka!

McCoy zerwał się i spojrzał na nią poważnie.

– Może potrzebujesz więcej czasu na przemyślenie tego wszystkiego.

– Daj spokój, McCoy. Z nami koniec.

– Nie uwierzę, że jesteś gotowa wszystko przekreślić przez takie głupstwo!

– A ja nie mogę uwierzyć, że gotów jesteś zrezygnować z takiej kobiety. Przypuszczam, że tydzień temu o tej porze zostawiłaś malinkę na jej udzie.

– Dla twojej informacji... Laura zasłoniła sobie uszy rękami.

– McCoy, nie chcę cię słuchać. Proszę, żebyś sobie stąd poszedł i zostawił mnie w spokoju.

– Nigdzie nie pójde, póki nie wleję trochę oleju do twojej głupiej główki!

– Dostyc już mnie próbowałaś zbałamucić! – odparła Laura. – Ty i ten twój... południowy akcent. Dałam się nabrać. Jak się wyraziłeś? Że kupiłabym wieżę Eiffla od paryskiego straganiarza. Wiedziałam, że to tylko sen, wakacyjna przygoda, ale uwierzyłam, że może potrwa to dłużej przez te... przez te twoje cholerne dołączki, przez to twoje gadanie o wspólnej wyprawie do Disneylandu...

McCoy widział, że powstrzymuje łzy, i odruchowo przysunął się, by ją pocieszyć. Ale cofnęła się gwałtownie i powiedziała histerycznie:

– Nie zbliżaj się do mnie. Smutno pokiwał głową.

– Naprawdę zaczęłam mieć nadzieję, że... że może to coś więcej niż... niż wakacyjna przygoda. Ale życie lubi dawać obuchem w głowę, kiedy się człowiek najmniej tego spodziewa.

– Lauro, ile razy mam ci powtarzać? Byłem nie mniej zaskoczony od ciebie. Wyjaśniłem już Dianie, że między nami wszystko skończone...

– A więc udało ci się podczas jednego rejsu złamać serce dwóm kobietom. Jeśli się pośpieszysz, może uda ci się złamać serce trzeciej, nim statek dopłyne do Miami.

– „Nie ma na świecie nic gorszego niż miłość, która zamieniła się w nienawiść” – mruknął.

– Gdyby nie Diana dzisiaj, to za tydzień byłaby jakaś Barbie, za dwa tygodnie Cassandra, i tak... do końca świata!

– Nie masz żadnych podstaw, by tak mówić.

– Zupełnie żadnych! – oświadczyła sardonicznie Laura. – Prawdopodobnie nawet wcale nie chcesz, żeby traciły dla ciebie głowy.

– Traciły głowy? – powtórzył McCoy. – Chodzi ci o miłość? Prawdziwą? Po wsze czasy?

– Nie udawaj takiego zdziwionego. Nie zaprzeczysz, że wiedziałeś, o czym myślę, kiedy bawiłeś się dziś z dziećmi i zauważyłeś, jak ci się przyglądam. Od razu zrejterowałeś!

McCoy dobrze pamiętał tamtą chwilę. Trudno ją było zapomnieć. W końcu powiedział:

– Może uciekałem przed własnymi myślami.

Jej zdumiona mina sprawiła mu wielką przyjemność.

– A skoro już o tym mowa, zadaj sobie pytanie, czy kobieta, która jest naprawdę zakochana, miałaby tak mało zaufania do mężczyzny, którego kocha?

– Nie wszyscy mężczyźni, dla których kobiety tracą głowę, zasługują na bezgraniczne zaufanie – powiedziała smutno:

Nastąpiła chwila bolesnego milczenia. W końcu McCoy westchnął znużony.

– Może oboje potrzebujemy trochę czasu, by wszystko przemyśleć.

Laura skinęła potakująco głową. McCoy spojrział jej prosto w oczy i

powiedział:

– Opuszczam tę kajutę, skarbie, ale to nie znaczy, że znikam z twojego życia.

Laura wpatrywała się w zamknięte drzwi, w końcu pozwoliła, żeby długo powstrzymywane łzy popłynęły jej po policzkach.

– Nie... mów... do mnie... „skarbie” – szepnęła żałośnie.

McCoy usłyszał głosy dzieci i wstrzymał oddech, póki nie zobaczył, że jest z nimi Laura. Wspomniała, że podczas postoj w Key West jej babka i siostrzeńcy chcieli zobaczyć skarb, który ekipa Mela Fishera wydobyła z „Atochy”, więc czekał przed muzeum, mając nadzieję, że się pojawią.

Przemykał się przez sale, chowając za gablotami, żeby go nie zauważyła. Czekał, kiedy będzie sama. Patrzył, jak cierpliwie odpowiada na pytania dzieci i pokazuje im eksponaty.

Powiedziała, że go kocha. Przez całą noc nie mógł przez to spać. W końcu doszedł do wniosku, że nie tyle wywołała w nim popłoch, ile go ucieszyła – zwłaszcza gdy przestał się jej opierać i sam przyznał, że też stracił głowę.

Okazja spotkania z kobietą, którą kochał, nadarzyła się, kiedy Laura zatrzymała się dłużej przed gablotą z ciężkim, złotym naszyjnikiem, a jej siostra zawołała dzieci, by pokazać im inny eksponat. Jak mógł najciszej stanąć za nią, woląc ją przestraszyć niż ryzykować, że mu umknie.

Laura nie wiedziała, skąd miała pewność, że stanął za nią McCoy. Może podświadomie rozpoznała zapach jego płynu po goleniu i poczuła bijące od niego ciepło. Tak czy inaczej, wiedziała, że to McCoy. Stała bez ruchu, bojąc się, że kiedy się odwróci, rzuci mu się w ramiona.

– Piękny, prawda? – powiedział, mając na myśli masywny, złoty łańcuch z ciężkim, wysadzonym drogimi kamieniami wisiorkiem.

Laura skinęła głową w milczeniu.

– Nie wyrzuciłabyś go, prawda?

– Wyrzuciłabym...? – Nie wiedziała, do czego zmierza; jej umysł nie pracował jak należy. – Oczywiście, że nie. Jest bezcenny.

– A przecież to tylko przedmiot, Lauro. A rzeczy nie są tak ważne jak ludzie i ich uczucia. Dlaczego jesteś gotowa zrezygnować z nas, choć zatrzymałabyś ten kawałek metalu i kilka błyszczących kamyczków?

Zesztywniała.

– Nie bądź śmieszny. Cóż to za porównanie.

– Czyżby? – powiedział, unosząc rękę, by przesunąć palcem po jej karku.

– Myślisz, że ten złoty łańcuch sprawiłby ci taką przyjemność jak dotyk mej dłoni? Niektórym kobietom z pewnością tak, ale ty do nich nie należysz. I między innymi za to cię kocham.

– Nie szafowałabym tym słowem, McCoy. Niektóre kobiety gotowe w to uwierzyć. – Odsunęła się od niego. – Na szczęście ja do nich nie należę.

– A jeśli mówię poważnie?

– Wujek Roy! – Malwinka podbiegła do niego i objęła go za nogę. – Widziałeś skarby?

McCoy, odpowiadając dziewczynce, patrzył w oczy Laurze.

– Tak, żabko. Widziałem. Zdaje się, że potrafię docenić prawdziwe skarby lepiej od niektórych ludzi.

Malwinka do końca zwiedzania nie odstępowała McCoya, a potem zapytała, czy zje razem z nimi obiad na statku. Laura wstrzymała oddech, bojąc się, że McCoy może skorzystać z tej okazji, ale odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała jego odpowiedź.

– Bardzo bym chciał, duszko, ale muszę dziś po południu coś załatwić.

Sposób, w jaki to powiedział, i wyraz jego oczu zaniepokoiły Laurę. Nim się rozstali, delikatnie uściśnął jej ramię i szepnął prosto do ucha:

– Zastanów się nad tym, co ci powiedziałem, skarbie.

Po obiedzie Laura przeniosła swoje rzeczy do babki, żeby ojciec mógł zająć jej kajutę. Kiedy babka drzemała, Laura zajęła się lekturą czasopism, które wzięła na drogę, a jeszcze nie miała okazji do nich zajrzeć. W innych okolicznościach poszukałaby sobie leżaka w cieniu, z widokiem na wodę, ale nie chciała ryzykować spotkania z McCoyem albo jego niespodziewanym gościem, więc zadowolila się wąskim łóżkiem w kajucie.

Ojciec pojawił się z olbrzymim bukietem róż dla swej matki. Złożył jej życzenia, uściśnął Laurę, wziął klucz do kajuty i opuścił je, mówiąc, że zanim statek wypłynie do Miami, musi załatwić kilka telefonów.

– Telefonów? Tato, jesteś na urlopie! – zaprotestowała Laura.

– Dasz wiarę? Kiedy się meldowałem, wręczono mi garść wiadomości – odparł Edward. – Prawdopodobnie jakiś drobny kryzys w biurze.

– Ludzie nie potrafią się bez ciebie obejść – powiedziała Róża, z dumą spoglądając na syna.

Edward pocałował ją w czoło.

– Zadbam, żeby się wszystkim zajęto i nic nie zakłóciło twojego przyjęcia urodzinowego. Właśnie dlatego zorganizowałem je na statku.

Godzinę po tym, jak Edward opuścił kajutę matki, McCoy stał pod drzwiami kabiny, która kiedyś należała do Laury, wahając się, czy zapukać. Jeśli było coś bardziej onieśmielającego niż spotkać się ze sławnym na cały świat adwokatem, to tylko spotkać się ze sławnym na cały świat adwokatem w kajucie, w której spędził dwie noce z jego córką. Starał się o tym nie myśleć, kiedy czekał, aż Randolph otworzy mu drzwi.

Adwokat obrzucił go badawczym spojrzeniem.

– Profesor McCoy?

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać, panie Randolph.

Edward wpuścił go do środka i zamknął drzwi.

– Panie profesorze, czy to wizyta w interesach? Chodzi o poradę prawną?
– Nie, proszę pana – odpowiedział McCoy, starając się nie patrzeć na łóżko, na którym kochał się z Laurą. – To sprawa osobista. Chodzi o pańską córkę Laurę.

– Mam w walizce butelkę bardzo dobrej szkockiej whisky – powiedział Edward, znów obrzucając McCoya uważnym spojrzeniem. – Może napijemy się po szklaneczce?

– To świetny pomysł, proszę pana.

– Wyglądasz ślicznie w tej sukience.

Laura uśmiechnęła się do babki, zadowolona, że pamiętała, jak bardzo starsze panie lubią proste, różowe suknie-tuby ozdobione przy rękawach i na dole koronkami.

Pomimo komplementu babki Laurze nie poprawił się humor. Była rozdrażniona i wyczerpana, nie mogła się pozbyć uczucia klęski. Cieszyła się na przyjęcie, wiedząc, że potem będzie mogła położyć się do łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i nie pokazywać się nikomu na oczy, póki statek nie dopłynie do Miami.

– Dziś wieczorem wszyscy będą patrzeć na ciebie, babciu – powiedziała, wygładzając spódnice szyfonowo-atłasowej kreacji Róży. Nagle objęła babkę za szyję i przytuliła się mocno. – Jesteś taka elegancka. Chciałabym kiedyś być taka jak ty.

– Moim zdaniem wyrosłaś na śliczną panienkę – odrzekła Róża.

Pojawiły się jako ostatnie w sali wynajętej przez Edwarda. Różę powitały oklaski trzech pokoleń krewnych. Starsza pani cała się rozpromieniła. Laura uśmiechnęła się, widząc zadowolenie babki, kiedy Edward zaprowadził matkę na honorowe miejsce i pomógł jej usiąść.

– Jest dodatkowe nakrycie – zauważyła Laura, kiedy reszta zebranych zajęła miejsca.

– Zaprosiłem gościa – wyjaśnił Edward. – Powinien tu być lada moment.

– Tajemniczy gość – powiedziała Róża. – Jakie to intrygujące!

Jakie to w stylu Edwarda Randolpha! – pomyślała Laura z oburzeniem. Na przyjęcie urodzinowe własnej matki! Miała tylko nadzieję, że nie zaprosił żadnego ze swych głośnych klientów z morderczymi skłonnościami. Wciąż jeszcze pielęgnowała swoją złość, kiedy usłyszała rozradowany głosik Malwinki.

– Wujek Roy!

McCoy wyglądał zabójczo w ciemnym garniturze, koszuli w delikatne prążki i w jedwabnym krawacie. Laura powstrzymała się, żeby nie krzyknąć. Nie miał prawa tu przyjść, przymilać się do jej rodziny i wyglądać tak cholernie seksownie. Kiedy usiadł naprzeciwko niej, unikała jego wzroku, skupiając całą uwagę na ojcu. Edward odpowiedział na jej groźne spojrzenie beztróskim

uniesieniem ramion.

Laura się nachmurzyła. Jak to możliwe? Była tak zdezorientowana, że nawet nie wiedziała, na kogo się bardziej gniewa.

Pojawił się kelner i nalał wino. McCoy przywitał się ze wszystkimi, w końcu czując utkwiony w sobie wzrok Laury, mrugnął do niej porozumiewawczo. Niech diabli wezmą te jego niebieskie oczy! – pomyślała Laura. I te dołeczki, i ten jego czarujący uśmiech! Jak się oprzeć takiemu mężczyźnie? Była tylko kobietą. I, niech Bóg jej wybaczy, nie mogła się powstrzymać od wyobrażania sobie, jak robiłby jej malinkę na wewnętrznej stronie uda.

Ojciec wniósł toast za zdrowie i szczęście Róży, mąż Liliany poszedł za jego przykładem. Oczywiście McCoy też musiał wnieść toast, roztaczając wokół urok i zachowując się bardzo szarmancko.

Przyszło czterech kelnerów, podali parującą zupę, a potem wzięli się za ręce i zaśpiewali dla Róży „O Sole Mio”.

Laura nie mogła się skupić na jedzeniu, czując tak blisko siebie McCoya. Prawie nie tknęła zupy, grzebała w sałacie, skubnęła trochę głównego dania, modląc się, żeby dotrzeć do tortu urodzinowego i ceremonii wręczania prezentów.

Ze skruceniem ojcu karku mogła poczekać do rana.

Za każdym razem, gdy Laura patrzyła w kierunku McCoya, był zajęty czarowaniem jej rodziny. Zdawał się mieć dodatkowy zmysł, którym wyczuwał, kiedy na niego patrzyła, bo zawsze to zauważał, uśmiechał się do niej i robił oko.

Gdzieś między daniem głównym a tortem urodzinowym z siedemdziesięcioma pięcioma świeczkami Malwinka wdrapała się McCoyowi na kolana i nie ruszyła się do chwili, kiedy Róża zaczęła odpakowywać prezenty.

Oczywiście McCoy kupił Róży idealny prezent: album z kolorowymi zdjęciami skarbu wydobytego z „Atochy”, który podziwiała w muzealnym sklepie z pamiątkami. Róża podziękowała gorąco McCoyowi i powiedziała:

– Profesorze McCoy, tak się cieszę, że mógł pan tu dzisiaj przyjść.

– Uważam za zaszczyt, że zostałem zaproszony – odparł szarmancko McCoy.

– Bzdura! – burknął Edward. – Ostatecznie jest pan właściwie członkiem rodziny. Tego było za wiele!

– Członkiem rodziny?! – wybuchnęła Laura. Liliana była zachwycona.

– Lauro, czyżbyś coś przed nami ukrywała?

– Czy zostaniesz moim prawdziwym wujkiem? – spytała Malwinka.

– Usidlisz go teraz? – dopytywał się Tyler, okazując nagle zainteresowanie.

McCoy wyciągnął rękę i zwichrzył Tylerowi włosy. – Już mnie usidliła, chłopcze.

– Nieprawda! – zaprotestowała Laura.

– Słyszałem co innego – powiedział Edward. – Dużo trzeba, żeby wyrzucić na mnie wrazenie, ale udało się to temu młodemu człowiekowi. Przyszedł do mnie dziś po południu, przedstawił się, powiedział, że chce się żenić i poprosił o moje błogosławieństwo.

– Żenić?

Edward roześmiał się i zwrócił do McCoya.

– Czyżby nic pan jej o tym nie wspomniał?

– Wcale mu nie chodziło o twoje błogosławieństwo – powiedziała Laura, patrząc chmurnie na McCoya. – Chce cię wykorzystać, żeby mną manipulować.

Ojciec nie przejął się jej słowami.

– Mężczyzna może... trochę koloryzować w chwilach emocji, aby zdobyć... względy kobiety, ale ktoś w wieku McCoya, z jego pochodzeniem, niewiele by zyskał, okłamując ojca dorosłej kobiety – chyba że wroga. W tym przypadku, a mówię to bez niepotrzebnej skromności, bardzo wpływowego wroga w stanie, w którym wykłada na stanowym uniwersytecie. Musiałby być szalony, żeby narażać się na moją wściekłość tylko dlatego, żeby się trochę z tobą zabawić... Spojrzał groźnie na McCoya.

– Chyba że nie mówił tego poważnie.

– Zapewniam pana, że nie cofnę ani jednego swojego słowa.

– Skąd mam wiedzieć, czy nie chce mnie wykorzystać, żeby zbliżyć się do ciebie? – zwróciła się Laura do ojca.

– A po co miałbym to robić? To ty mnie pociągasz – powiedział McCoy, a potem dodał: – Bez urazy, proszę pana.

– Nie obraziłem się, synu – uspokoił go Edward.

– Dosyć tego! – krzyknęła Laura, wstając i rzucając serwetkę na stół. Spojrzała na Różę. – Najlepsze życzenia z okazji urodzin, babciu. Nie chciałabym wychodzić, ale nagle... – rzuciła ojcu gniewne spojrzenie – nagle rozbolała mnie głowa!

Ledwo weszła do kajuty i ściągnęła pantofle, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Jeśli to ty, McCoy, możesz się iść utopić! – krzyknęła.

– Lauro, to ja, twój ojciec – rozległ się energiczny głos Edwarda Randolpha.

Laura doszła do wniosku, że równie dobrze może go udusić dziś wieczorem i oszczędzić sobie kłopotu rano. Otworzyła drzwi.

Ojciec wszedł do kajuty.

– Mówiłaś coś?

Laura się nachmurzyła.

– Nie.

Po chwili milczenia Edward powiedział:

– Lauro, w swojej pracy spotykam wielu ludzi. Lepszych i gorszych.

Laura chrząknęła, słysząc ten eufemizm.

– Możesz się dąsać, ile chcesz, młoda damo. Pozostaje faktem, że nie byłbym dziś tym, kim jestem, gdybym nie znał się na ludziach. A instynkt mi mówi, że ten McCoy to porządny facet.

– Czasami instynkt zawodzi.

Edward przez chwilę przyglądał jej się uważnie, a potem powiedział czule:

– Mówi mi również, że w grę wchodzi wielkie uczucie. Spojrzała na niego chmurnie, ale nie zaprzeczyła. Edward objął ją i przytulił.

– Lauro, nie będę ci mówił, co masz robić, ale pozwól, że udzielię ci jednej ojcowskiej rady. A przynajmniej podzielę się swoją opinią. Ten chłopak jest w tobie zakochany. Jeśli odwzajemniasz jego uczucie...

Laura pomyślała chwilę, nim zapytała:

– To co?

– Poprosił, żeby ci powiedzieć, że będzie w swojej kajucie, gdybyś chciała się z nim zobaczyć.

– Więc uważasz, że powinnam...

– Tylko ty możesz podjąć decyzję. Tylko ty wiesz, co czujesz. Ale powiem ci, czego nie powinnaś robić. Nie powinnaś nigdy pozwolić, żeby strach lub duma powstrzymały cię przed zrobieniem czegoś, co przyniosłoby ci szczęście.

Laura smutno pokiwała głową. Nigdy nie słuchała jego rad, ale tym razem nie miała ochoty się buntować. Mówił jak ojciec, a nie jak szef.

Odwróciła się i przytuliła do ojca. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak go objęła.

– Jedno z nas wydorosłało – powiedziała. – Nie jestem pewna które.

Edward się roześmiał.

– Ja też nie. Ale cieszę się, że odzyskałem córkę, nawet zupełnie dorosłą.

– Och, tatusiu – powiedziała. – Kocham go.

– W takim razie co tu robisz z takim starym ekscentrykiem, kiedy powinnaś teraz być z tym przystojnym, młodym profesorkiem?

Cmoknęła go w policzek.

– Dziękuję, tatusiu. Uśmiechnął się.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Laura z powrotem włożyła pantofle i przez chwilę kręciła się przed lustrem. Nagle spojrzała na ojca z miną pełną przerażenia.

– Babcia! – przypomniała sobie. – Gdy mnie tu nie zastanie...

– Nie martw się babcia – powiedział Edward. – Nie sądzę, by ją

specjalnie zdziwiła wiadomość, że wolisz spędzić ostatnią noc na statku z tym młodym człowiekiem.

Laura pobiegła do kabiny McCoya. Potem przez pięć minut stała pod jego drzwiami, nim zebrała się na odwagę i zapukała. Otworzyły się natychmiast. McCoy porwał ją w ramiona i zamknął za nimi drzwi.

– Myślałem, że już nigdy nie przyjdiesz.

Po raz pierwszy znalazła się w jego kajucie. Było w niej pełno kwiatów i świec. Na stoliku obok łóżka chłodziła się butelka wina.

– Jeśli w szafie schowała się kobieta, uduszę was oboje – ostrzegła.

McCoy uśmiechnął się i otworzył drzwi do malutkiej garderoby. Były tam tylko jego ubrania i buty. Ich spojrzenia się spotkały.

– Bałam się myśleć, że marzenia mogą się ziścić – powiedziała.

– To, co czuję do ciebie, jest zupełnie realne.

– McCoy, nie chcę cierpieć. Nie chcę zaskoczyć cię kiedyś z jakąś kobietą, nie chcę, żebyś mi powiedział, że pokochałeś inną.

– Czekałem na ciebie całe życie. Nie potrzebuję żadnej innej kobiety.

– Boję się.

– Ja też. To dla mnie również coś nowego.

– Jesteś taki... jesteś przecież Playboyem, McCoy.

– Już nie.

Laura spojrzała na migocące płomienie świec stojących obok łóżka – były to te same świece, przy których urządzili sobie piknik w starym forcie.

– Nigdy się nie kochałam w blasku świec. McCoy uśmiechnął się szeroko i zgasił światło.

– Okłamałam cię – wyznała. – Nigdy nikt nie zrobił mi malinki.

– Wiedziałem o tym.

– Szczególnie na udzie. McCoy westchnął.

– Och, skarbie, mogę temu zaradzić.

Laura odwróciła się do niego tyłem i odgarnęła włosy z karku, żeby mógł jej odpiąć sukienkę. – McCoy?

– Tak? – spytał, całując jej kark.

– Nigdy nie przestali mówić do mnie „skarbie”.